

P. 9786 chr. Arch.
KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/126

1958



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

MAREK HŁASKO LAUREATEM "KULTURY"

J. MIEROSZEWSKI: **DIALEKTYCZNE
MEDYTACJE NA TRASIE W-Z**

B. TABORSKI: **POKOLENIE CZYLI TRAKTAT
O NISZCZENIU KWIATÓW**

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski :	<i>Dialektyczne medytacje na trasie</i>	3
	<i>W—Z</i>	13
Paweł Hostowiec :	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> ..	24
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmety z dziennika</i>	33
Wiesław Wohnout :	<i>Canelloni</i>	33



Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Z kraju zachodzącego słońca</i>	51
Osamu Dazai :	<i>Zona Villona</i>	56



Salomea Kapuścińska :	<i>Las</i>	70
Ireneusz Iredyński :	<i>Wszystko jest obok</i>	71
Ludwik Buyno :	<i>Błogosławion</i>	72

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	73
Redakcja :	<i>Ataman Petlura</i>	78

K R A J

Zbigniew Jordan :	<i>O sytuacji w filozofii</i>	79
Wincenty Cygan :	<i>Odwiedziłem Ojczyznę</i>	88

SPRAWY I TROSKI

Melchior Wańkowicz :	<i>O wydaniu krajowym „Monte Cas-</i>	
	<i>sino”</i>	97
Zdzisław Broncel :	<i>Spóźnieni i nieprzekonani</i>	114

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Ludwik Honigwill :	<i>Dlaczego?</i>	117
--------------------	------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Nagroda Literacka „Kultury”</i>	125
Jan Brzękowski :	<i>Gramatyka historycznego malarstwa</i>	126
—	<i>„Inny świat” po włosku</i>	127
—	<i>Komunikaty</i>	128

KSIAŻKI

Bolesław Taborski :	<i>Pokolenie czyli traktat o niszczeniu</i>	
	<i>kwiatów</i>	130
Michał Sokolnicki :	<i>Historia a ewidencja</i>	146
Andrzej Vincenz :	<i>Ruś Zakarpacka</i>	148
Candidus :	<i>Humanista na wojnie</i>	152



Z. Mycielski, J.B. Ożóg, Wł. Pobóg-Malinowski, A. Uziem- bło, B. Taborski :	<i>Listy do Redakcji</i>	156
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień – Avril

1958

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

CYGAN Wincenty ur. w 1917 r. we wsi Berehy Dolne k. Ustrzyk Dolnych. Szkoła powszechna w Jasle potem nauka rysunków i malarstwa. W 1937 r. wstąpił do marynarki wojennej. Kampanię wojenną przeszedł na ORP „Błyskawica” i ORP „Dragon”. Zaczął pisać po wojnie (tom „Granatowa Załoga” i szereg nowel drukowanych w czasopiśmie emigr.).

Dialektyczne medytacje na trasie W-Z

Polityka niepodległościowa związana była od samego początku z tzw. „liberation”. Ostatnim gwoździem wbitym w trumnę tej doktryny były Węgry. Na czym więc jeszcze można bazować klasyczną emigracyjną politykę niepodległościową? Jedyne na przypuszczeniu, że wbrew „kapitulantom” i „pacyfistom” dojdzie do wojny. Autor używający romantycznego pseudonimu „Wiarus” — na łamach londyńskiej „Myśli Polskiej” stwierdza spokojnie:

„Wojna jest na podorędziu do użycia choćby zaraz. Położenie wyjściowe, od którego tak wiele zależy, jest dla Zachodu korzystne. Azję osaczają trzy setki baz, które przy istniejącej jeszcze przewadze powietrznej i atomowej Zachodu mogą zniszczyć wszystkie cele militarne w Sowietach i w Chinach przy pomocy samych tylko I.R.B.M. Jeszcze by zbudować dla pewności setkę okrętów podwodnych, jak to zaproponował 18-go listopada r. ub. senator Jackson, napędzanych energią atomową, wyposażonych w wyrzutnie I.R.B.M., a scena byłaby bodaj gotowa do podniesienia kurtyny. Siły morskie i powietrzne Zachodu miałyby wszelkie szanse do rozgromienia potęgi militarnej Sowietów, do wydarcia z ich rąk piekielnej broni, którą grożą światu”.

Sprawa przedstawiona jest jasno. „Użycie instrumentu zależy od polityki” — głosi w podtytule redakcyjnym cytowany periodyk. Użycie owego „instrumentu” czyli wszczęcie wodorowej wojny prewencyjnej przeciwko Rosji byłoby równoznaczne z ludobójstwem na skalę nienotowaną w dziejach. I to jest przyczyna dla której mocarstwa Zachodu wodorową wojnę prewencyjną skreśliły z rejestru instrumentów swojej polityki. Jeżeli przyjmujemy, że tylko wodorowa wojna prewencyjna mogłaby nas uratować — los nasz jest przesądzony, bo prewencyjnego ludobójstwa Zachód nie podejmie.

DALSZE WPLĄTY NA DOM “KULTURY”

Andrzej Brzeski, Berkeley, Cal. (USA) 2.100 fr.

DZIEKUJEMY



P. 9486 Chr. Arch.

Omawiany artykuł endecki organ zaopatrzył charakterystycznym tytułem: „Paraliż wojny czy paraliż polityki”. Przyjmijmy na chwilę punkt widzenia „tough boys” z „Myśli Polskiej”. Czy istotnie wojna jest na podorędziu, do użycia choćby zaraz — jak sugeruje autor cytowanego artykułu?

Bliższa analiza wykaże, że rzekomy realizm „Wiarusa” — w gruncie rzeczy żadnym realizmem nie jest. Po pierwsze należy stwierdzić, że nie wszystko co jest na podorędziu należy uznać za instrument. Jeżeli ktoś chce bliźniemu spędzić muchę z czoła nie wykaże realizmu przeprowadzając tę operację kowalskim młotem.

Co jest naszym celem? Zwycięstwo nad komunizmem. Ale czy istotnie możemy pokonać sprawców Katynia, wodorowym Katyniem do milionowej potęgi? Czy możemy pokonać system obciążony zbrodnią ludobójstwa — biorąc odpowiedzialność za zbrodnie ludobójstwa przewyższającą swym ogromem wszystkie morderstwa jakie przez czterdzieści lat popełnili Bolszewicy?

Atomowa wojna prewencyjna jeżeli miałaby być skuteczna — musiałaby zniżyć przeciwnika pierwszym uderzeniem. „Wiarus”, który niewątpliwie jest zawodowym wojskowym, oblicza, że do unieruchomienia Anglii wystarczy dwanaście bomb. Do zlikwidowania Rosji — sto. Innymi słowy, warunkiem powodzenia akcji prewencyjnej musiałoby być równoczesne zrównanie z ziemią takich miast jak Moskwa, Leningrad, Dniepropietrowsk i wiele innych potężnych ośrodków przemysłowych.

Na czym polega nieporozumienie, które nie mieści się w drewnianych głowach „tough boys’ów”?

„Na podorędziu” istnieją techniczne możliwości zlikwidowania Rosji i komunizmu jednym potężnym ciosem nuklearnym. *Nie istnieją* jednak możliwości polityczne. Polityka to coś więcej niż możliwości strategiczno-techniczne.

Powiedzieliśmy powyżej, że naszym celem jest zwycięstwo nad komunizmem. Co to właściwie znaczy? To znaczy, że pragniemy uchronić przed upadkiem cywilizację zachodnią z jej instytucjami, skalą wartości i modłą życia.

Otóż w moim rozeznaniu, podejmując atomową wojnę prewencyjną — zapewne powiodłoby się nam powalić Rosję i zlikwidować komunizm, lecz z całą pewnością nie uratowalibyśmy w ten sposób cywilizacji zachodniej. Wprost przeciwnie nie podnieśliśmy się z tego zwycięstwa.

Bomby atomowe, które padły na miasta japońskie pod koniec drugiej wojny światowej wywołały wstrząs moralny, który do tej pory nie został w pełni rozładowany. A przecież bomby atomowe, które upadły na Hiroszimę to były „dziecinne zabawki” w porównaniu z nowoczesnymi pociskami wodorowymi. Straty nie przeniosły 150 tysięcy zabitych. Niemniej atomowa lista strat w Japonii jest jeszcze ciągle otwarta i do dziś umierają w szpitalach Hiroszimy ofiary radioaktywizacji.

Cóż by nam przyszło z powalenia Rosji i komunizmu gdybyśmy jako zwycięzcy mieli świadomość, iż spadliśmy poniżej

cywilizacyjnego poziomu przywódców hitlerowskich Niemiec, których kilkanaście lat temu powiesiliśmy w Norymberdze.

„Knock-out” wodorowy musiałby być wykonany z baz amerykańskich pod firmą NATO. Odpowiedzialność za tę operację obciążałaby Europę i Amerykę. W oczach ludów Azji i Afryki — w oczach setek milionów Chińczyków, Japończyków, Indusów, — chrześcijańska cywilizacja Zachodu związałaby się raz na zawsze z największym ludobójstwem znanym w dziejach naszego gatunku. Nie podnieśliśmy się z tego zwycięstwa ani moralnie ani politycznie.

W sumie należy stwierdzić, że autor artykułu w „Myśli Polskiej” i niestety wielu Polaków, którzy myślą podobnie — popełniają tzw. błąd kategorii wnioskując, że paraliż polityki Zachodu paraliżuje wojnę jako instrument działania politycznego. Istotą tego błędu jest identyfikowanie możliwości technicznych z możliwościami politycznymi.

Stratega interesujący tylko możliwości techniczne danej operacji. Polityk — między wielu innymi czynnikami — musi jeszcze brać pod uwagę „nośność moralną” społeczeństwa. Polityka może się wydawać cyniczną grą sił — niemniej pojęcie słuszności odgrywa jeszcze ciągle w świecie bardzo potężną rolę. Nawet w hitlerowskich Niemczech zadrukowano tysiące ton papieru by udowodnić społeczeństwu, iż polityka Führera była nie tylko celowa, lecz i słusna. W państwach komunistycznych stworzono gigantyczny aparat, którego jedynym celem jest przekonywanie ludzi, że polityka komunistyczna jest nie tylko konieczna i zgodna z procesem historycznym ale, że jest słusna i sprawiedliwa. Jeżeli ktoś wstępuje do partii liberalnej to dlatego, iż sądzi, że polityka liberalna jest słusna. Nikt nie zostaje komunistą by być w zgodzie z procesem historycznym tylko dla tego, że program komunistyczny uważa za słuszny. Subiektywne poczucie słuszności warunkuje dynamizm danego programu politycznego. Dynamika Trzeciej Rzeszy w znacznym procencie polegała na tym, że subiektywne poczucie słuszności u członków partii hitlerowskiej doprowadzone było do granic fanatyzmu.

W krajach totalistycznych rządzonych słuszność jest zadekretowana z góry a ostatecznym argumentem „w dyskusji” jest przymus. W ustroju demokratycznym o przekonania wyborców trzeba walczyć na wolnym rynku opinii.

Wojna inna niż czysto obronna — choć technicznie możliwa — nie jest instrumentem polityki, ponieważ nie ma „pokrycia moralnego” w społeczeństwach Zachodu. Na to by wojna prewencyjna zyskała status instrumentu polityki trzeba by wprerw przekonać większość obywateli państw zachodnich, że podjęcie takiej operacji jest nie tylko technicznie celowe, ale usprawiedliwione i słusne.

Wojna atomowa jest zjawiskiem bez analogii i tak apokaliptycznych wymiarów, że chcąc znaleźć dla niej „moralne pokrycie” trzeba by wprerw odrzucić system chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu. Tylko poza ramami norm cywilizacji zachodniej w

układzie totalistycznym można by zaimprovizować „nową moralność”, która sankcjonowałaby wszystko z wodorowym ludobójstwem włącznie.

Mówiąc o paraliżu polityki zachodniej w związku z wojną, która jest „na podorzędu” — dajemy niejako do zrozumienia — że gdyby decyzja zależała od nas — nie mielibyśmy żadnych skrupułów sięgając po instrument prewencyjnej wojny wodorowej. W moim przekonaniu takie stanowisko jest nie do pogodzenia z podkreślaną przez nas na każdym miejscu przynależnością do zachodniej cywilizacji. Mógł Mickiewicz imieniem milionów uciskanych Polaków modlić się o powszechną wojnę ludów — ale my tego robić nie możemy. Wojna bowiem przestała być wojną.



To co popularnie nazywamy w kołach polskiej emigracji „polityką niepodległościową” — jest wiązanką poglądów wywodzących się w prostej linii z tradycji powstań, której wcieleństwem był Józef Piłsudski. Piłsudski liczył na wojnę i na odbudowane polskie wojsko. W owej epoce historycznej to było słuszne i realistyczne wnioskowanie. Między rokiem 1861 a 1914, prawa wojny i polityki nie uległy poważniejszemu przemianom. Natomiast ubiegłe 18 lat przyniosły bardziej rewolucyjne i radykalne zmiany w zakresie pojęć wojny i polityki niż ostatnie trzy stulecia.

Ktoś powiedział, że to nie my rewolucjonizujemy technikę — tylko, że technika rewolucjonizuje nas. Niestety to jest tylko efektowne porzekadło i nic poza tym. Światem Zachodu nie tylko rządzą ludzie o typowej dziewiętnastowiecznej mentalności — ale my wszyscy wyznajemy dziewiętnastowieczne doktryny, które — ku naszemu bezradnemu zakłopotaniu, całkowicie nie pasują do współczesnych warunków. W gruncie rzeczy, na intymnym dnie naszych małowieszczańskich duszyczek byłibyśmy najszcześliwsi, gdyby to wszystko dało się jakoś „odrobić”. — Gdyby dało się anulować bomby wodorowe, pociski międzykontynentalne i wszystkie sputniki. Otwarliśmy przed człowiekiem przestrzeń międzyplanetarną w chwili, kiedy zorganizowanie ziemi jest problemem przerastającym naszą wyobraźnię i rozumienie. Nasz kryzys wyeksportujemy w przestrzeń ponadziemską i „zimną wojnę” oraz wyścigiem atomowym obejmujemy niebawem księżyc, który przez ubiegłe stulecia był wyłącznie rekwizytem poetów.

Polska polityka niepodległościowa, tak jak ją rozumiemy na emigracji, straciła wszystkie cechy aktywnego programu i przekształciła się w tradycjonalistyczną legendę. Dla pokolenia związanego z tą legendą jest to tradycja żywa i pełna treści. Ale dla młodych jest to już tylko dostojny historyczny rapsod niezwiązany w niczym z współczesnością.

Jakim przemianom ulega brytyjska myśl polityczna. Jakie nieortodoksyjne koncepcje i poglądy wygłaszają posłowie w dyskusjach parlamentarnych. W starciu opozycyjnych opinii i planów — szuka się praktycznych rozwiązań. Cóż za wachlarz poglądów — od oficjalnej tezy rządu poprzez programy partii pracy i partii liberalnej aż po skrajne hasła wysuwane przez tzw. „Victory For Socialism Group”.

Na tym tle absolutna zgodność w bezmyślności naszych emigracyjnych organów „parlamentarnych” wygląda istotnie majestatycznie.

Osobiście nie wysuwam żadnych zarzutów pod adresem polityków i działaczy związanych z Ligą Niepodległości. Nikt w Anglii nie oczekuje, że — powiedzmy dla przykładu — zasłużony konserwatysta i obecny premier zmieni nagle swe przekonania i wstąpi do skrajnego ugrupowania opozycyjnego V.S.G. Byłoby również naiwne oczekiwać, że b. wojewoda Grażyński czy gen. Składkowski pewnego pięknego poranku obudzą się nawróceni na socjalizm. Przeciwnie, od gentlemanów w tym wieku oczekujemy pewnej stałości przekonań i poglądów, co wiąże się z tym co Anglik określa mianem „integrity”.

Winę za uwiad i marazm emigracyjnej polityki przypisuję w całości socjalistom — zrzeszonym i niezrzeszonym — partyjnym i niepartyjnym. Konkretny program polityczny w obecnej sytuacji mógłby podjąć wyłącznie Front Lewicy Polskiej, gdyby takowy istniał.

Na współczesną sytuację światową można zapatrywać się rozmaicie. Można liczyć na wojnę i na upadek komunizmu w konsekwencji klęski militarnej. Można głosić program prewencyjnej krucjaty wodorowej przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Można wreszcie „okopać się” za szansem wczorajszych doktryn i poglądów i czekać cierpliwie aż powtórzy się „desen” z 1914 roku.

Drogą analizy możemy jednak ustalić pewną skalę prawdopodobieństw. Zachód nie podejmie wojny prewencyjnej. Tym samym świadomie rezygnuje z olbrzymich korzyści, które w wojnie wodorowej przypadną tej stronie, która zaatakuje pierwsza. Lecz ponieważ Rosja wie, że Zachód nie podejmie pierwszy nuklearnego ataku — ma podstawy do sądenia, iż osiągnie pełny sukces na drodze pokojowej. To tylko po tej stronie barykady są ludzie, którzy mówią i piszą o likwidacji. Celem politycznym Rosji bynajmniej nie jest likwidacja czegokolwiek tym mniej obracanie przemysłów Zachodu w stopy radioaktywnego żelazwa. Celem Rosji jest opanowanie świata i jego przemysłowych bogactw, a nie zniszczenie.

Rozpatrując sytuację z punktu widzenia Moskwy — należy stwierdzić, że programowa pokojowość Zachodu żywi niejako nadzieje przywódców sowieckich, iż swoje cele osiągną bez nuklearnej wojny — co stanowiłoby dla Rosji rozwiązanie najbezpieczniejsze, najkorzystniejsze i najtańsze.

Jeżeli powyższej perspektywie przyznamy najwyższy stopień prawdopodobieństwa — to w konsekwencji musimy przyjąć pogląd, iż konflikt na trasie Wschód — Zachód rozgrywać się będzie głównie na arenie pokojowej.

Konflikt między komunizmem a doktrynami demokratycznymi Zachodu — wykazuje sprzeczności antagonistyczne. I tylko z tej przyczyny komunizm może pełnić funkcję imperialistycznej polityki wielko-rosyjskiej.

Stosunkowo nie dawno amerykański magazyn popularny „Life” przedstawił dość sugestywny schemat pokojowego zwycięstwa Sowietów. Swą ponurą wizję oparł „Life” na realistycznych przesłankach i przy zachowaniu prawideł poprawnej analizy. Artykuł jest cenny i może przyczynić się do spopularyzowania świadomości niebezpieczeństwa.

Czytając powyższy artykuł przyszło mi na myśl, że byłoby niepomniernie trudniej odpowiedzieć na pytanie jak my — ludzie Zachodu — wyobrażamy sobie pokojowe zwycięstwo nad Sowietami?

Między Bogiem a prawdą — my sobie tego w ogóle nie wyobrażamy. Wizji pokojowego zwycięstwa nikt z nas nie ma i dlatego drukujemy takie artykuły jak „Wiarusa”.

Nie ma polityki bez wizji przyszłości. Wizji nie mają tylko ci, co nie wiedzą czego chcą i do czego dążą. Nadzieja na utrzymanie „status quo” i pocieszanie się, że... czas przyniesie rozwiązanie palących problemów — ani wizji ani planu, ani polityki nie zastąpi.

Sowiety wyręczył „Life” prezentując realistyczną wizję pokojowego zwycięstwa Rosji. Przekroczyłbym skromne ramy niniejszego artykułu jak i jeszcze skromniejszy zakres moich możliwości — gdybym usiłował naszkicować pełną wizję pokojowego zwycięstwa Zachodu nad sowieckim komunizmem. Ograniczę się więc tylko do jednego aspektu tego problemu.

Powtarzam: mówimy o pokojowym rozwiązaniu konfliktu Wschód — Zachód. Jeżeli odrzucamy wojnę podjętą z zachodniej inicjatywy — siłą faktu osiemdziesiąt procent nadziei na zwycięstwo musimy opierać na metodach pokojowego działania.

W prasie emigracyjnej i prasie zachodniej powtarzają się stale frazesy na temat zdemokratyzowania Europy Wschodniej. Mówi się i pisze o wolnych wyborach, o odbudowie partii politycznych, o wolnej prasie itd. Wnioskujemy bowiem słusznie, że gdyby Rosja i państwa satelickie przyjęły ustroj demokratyczny — konflikt Wschód — Zachód — utraciłby charakter antagonistyczny.

To wszystko jest słuszne — ale co to znaczy zdemokratyzować Europę Wschodnią? Gdyby (Boże uchroni!) Anglia była okupowana przez trzy lata przez Sowiety — można by mówić o restauracji ustroju demokratycznego to jest o powrocie do form ustrojowych sprzed okupacji. Ale w Europie Wschodniej łącznie z Rosją nie może być mowy o restauracji ustroju demokratycznego bo (z wyjątkiem Czechosłowacji) demokracji nigdy

tam nie było. Jakie partie pragnęlibyśmy tam odbudować? Chyba nikt z nas nie przypuszcza, że Rosjanie czy Polacy zechcą kiedyś budować demokrację na wzór brytyjski czy amerykański — z kongresem względnie izbą lordów. Więc o czym właściwie mówimy?

W moim głębokim przekonaniu istnieje tylko jeden most, którym przejść można z komunizmu ku demokracji. Tym jedynym mostem jest socjalizm. Nie ma innego ewolucyjnego prześła między Wschodem i Zachodem.

Na Zachodzie ludzie na ogół nie zdają sobie z tego sprawy. Natomiast Sowiety zdają sobie z tego sprawę znakomicie. Furia z jaką prasa sowiecka zwalcza rewizjonizm wskazuje, że Moskwa w pełni docenia niebezpieczeństwo. Komunista, który raz wkroczy na drogę — choćby najradzykalniej pojętego socjalizmu demokratycznego musi uznać, że konflikt Wschód — Zachód nie ma charakteru antagonistycznego, a przyjąwszy to stanowisko staje się dla imperialnej Rosji bezwartościowy.

Jeżeli konflikt Wschód — Zachód rozegra się na płaszczyźnie ewolucji pokojowej, wiele — a może wszystko — zależy będzie od dynamiki demokratycznego socjalizmu. Bo właściwie u samego dna to jest spór między „socjalistami” a socjalistami.

Komunizm to jest totalistyczny socjalizm plus imperializm rosyjski. Istnieje pewien „kontrakt społeczny” między tą ideologią a Rosją. Związek Sowiecki wyposaża ideologię w siłę i w środki, a wzamian wymaga podporządkowania ideologii wymogom wielko-rosyjskiej racji stanu.

Wielu polskich komunistów z którymi rozmawiałem zdaje sobie z tego problemu w pełni sprawę. Ale tak oni jak i wielu komunistów rosyjskich — wierzą, że gdy Rosja zwycięży — gdy „otoczenie kapitalistyczne” przejdzie do historii — wówczas dojdą do głosu narody zachodnio-europejskie i odniosą „za grobem zwycięstwo”. Nastąpi ogólna liberalizacja, a droga wiodąca ku sui generis demokratycznemu socjalizmowi stanie otworem. To jest mit, który ma znacznie więcej wyznawców niż się na Zachodzie przypuszcza. Mitem tym można również wymierzyć ogrom naszej własnej bezradności.

Zacieśnijmy analizę do ram naszego własnego poletka. Różne sytuacje wymagają różnych polityk, a różne polityki różnych garniturów działaczy.

Jeszcze raz podkreślam, że ugrupowania emigracyjne wierne tradycyjnej doktrynie niepodległości, tak jak tę doktrynę rozumiał Piłsudski — górują nad polską demokratyczną lewicą tym, że mają konkretną wizję przyszłości. Ta wizja w obecnych warunkach jest całkowicie nierealna — niemniej istnieje. Ci ludzie domagają się — w mojej osobistej ocenie — rzeczy nieosiągalnych, ale przecież wiedzą czego chcą.

Socjalizm na emigracji choć dysponuje wielu wybitnymi jednostkami jest rozbity a nawet rozproszkowany. Mamy niemal tyle frakcji i grupek ilu jest socjalistów.

Nasza emigracyjna doktryna niepodległościowa, pod którą podpisuje się PPS — nie jest ani zła ani fałszywa tylko nieaktualna. Stosując pewne uproszczenie można powiedzieć, że uporczywie wiążemy nasze nadzieje z wizją przyszłości — z wszystkich możliwych najmniej prawdopodobną. Ale nie byłoby w tym nic złego, gdyby istniał drugi zespół, który wypracowałby inny wariant naszej polityki — bardziej zgodny z rachunkiem prawdopodobieństwa.

Takiego programu nie ma, bo nasi lewicowcy dzielą pogląd najskrajniejszych prawicowców, że albo „liberation” albo nic. Odrzucają z góry wszelki ewolucjonizm, — przebudowę — liberalizację — mozolne, uporczywe przekształcanie rzeczywistości po linii wiodącej do skonkretyzowanego choć odległego celu. Osobiście skłonny jestem przypuszczać, że to jest jedyna droga, jaka jest przed nami.

Utworzenie pasa neutralnego — co wydaje się maksimum tego co możemy oczekiwać w chwili obecnej — w niczym nie przypominałoby „liberation”. Neutralizacja ułatwiłaby jednak — wolno mieć nadzieję — proces owej mutacji z komunizmu w socjalizm demokratyczny.

My wszyscy myślimy wciąż kategoriami nie przemian, nie ewolucji — tylko „cudów nad Wisłą”. Epoka atomowa czyni „cudy nad Wisłą” niezmiernie mało prawdopodobne. Niepomierne bardziej prawdopodobne jest, że w Europie wschodniej dojdzie w końcu do pewnych form „disengagement”, które z kolei będą rozwiązaniem kompromisowym a nie „jutrzemką wolności” z biciem Zygmunta na Wawelu.

Teza emigracyjna głosi, że komunizm się nie zmienia. Komunizm może się nie zmieniać, ale komuniści się zmieniają.

Tłumacząc książkę Dżilasza zdałem sobie dokładnie sprawę, że autor przestał być komunistą, że, jak sam mówi, skłania się ku socjalizmowi demokratycznemu — lecz gdyby był Polakiem nie byłoby dla niego politycznej przystani. To nie jest już na pewno komunizm, ale to nie jest również program emigracyjnej PPS.

A iluż jest Dżilasów w Polsce? Ilu jest rewizjonistów, niepomierne bardziej utalentowanych. Ilu w swoim rewizjonizmie idzie znacznie dalej niż Dżilas, choć nie po tych liniach co tradycyjnie socjalistyczny program PPS.

Ci ludzie to jest kapitał polityczny i nadzieja polskiej lewicy. Nikt inny tylko oni. To są autentyczni aktorzy dramatu socjalizmu naszej epoki. W tym dramacie nasi emigracyjni socjaliści nie biorą żadnego udziału, bo oni czekają wraz ze skrajnie prawicowymi ugrupowaniami na „liberation”, na „cud nad Wisłą”. A na razie sądzą, że wszystko co mają do zrobienia to „okopać się” i za szansem — zaiste nie Świętej Trójcy — czekać. Gdzież jest jakiś pomost między polskimi „Dżilasami” a emigracyjną lewicą? Pomostu nie ma, bo u nas „Dżilasowie” musieliby „wybrać wolność”, pokajać się, pokłonić się Radzie Trzech i pokornie terminować w emigracyjnej ortodoksji. Ale

cóż — „Dżilasowie” to są ludzie z charakterem i na tego rodzaju operetki nie mają zwykłe ochoty.

A iluż jest potencjalnych rewizjonistów w Kraju, którzy by oderwali się od komunizmu gdyby istniał punkt świetlny, na który mogliby się orientować.

Wystarczy przeczytać skoncentrowane ataki sowieckich periodyków na Kołakowskiego, by zdać sobie sprawę w jakich warunkach odbywa się dyskusja na tematy socjalizmu w Polsce. Ale jeżeli ktoś dojrzał isierkę niepodległej walki w tych zmaganiach — to nie emigracyjni socjaliści. O Kołakowskim więcej napisał „Orzeł Biały” — niż jakiegokolwiek inne pismo.

Opozycji socjalistyczno-demokratycznej w Polsce nie ma. Jak to określił jeden z moich przyjaciół krajowych — istnieją tylko małe niepowiązane archipelagi. Ci ludzie prowadzą walkę samotnie i bez żadnego zaplecza. Sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej gdyby na emigracji istniał ośrodek lewicy polskiej — związanej nie z tradycją, choćby najświetniejszą, lecz z współczesnością. Nastawiony nie na Pużaków, lecz na Dżilasów — ponieważ ci ostatni stanowią nadzieję, a ci pierwsi — kartę piękną i dumną, lecz przynależną do historii.

Juliusz MIEROSZEWSKI



SPROWADZANIE RODZIN — EMIGRACJA
BILETY LOTNICZE, MORSKIE I KOLEJOWE
Z POLSKI I DO POLSKI

BILETY LOTNICZE I MORSKIE
DO U.S.A. — KANADY I AUSTRALII
WAKACJE I WYJAZDY NA KONTYNET

Polskie Biuro Podróży **FREGATA**

122 WARDOUR STREET — LONDON — W. 1, ENGLAND

Londyńskie „Wiadomości” ogłaszają przedpłatę na

“ POEZJE ZEBRANE ”

Kazimierza Wierzyńskiego

tom dużego formatu, objętości około 640 stron, oprawny w płótno, przyniesie 18 książek w jednej :

„Wiosna i wino” — „Wróble na dachu” — „Wielka Niedźwiedzica” — „Pamiętnik miłości” — „Laur olimpijski” — „Rozmowa z puszcza” — „Pieśni fanatyczne” — „Gorzką urodzaj” — „Wolność tragiczna” — „Kurhany” — „Barbakan warszawski” — „Ziemia wilczyca” — „Róża wiatrów” — „Ballada o Churchillu” — „Podzwonne za kaprała Szczapę” — „Krzyże i miecze” — „Korzec maku” — „Siedem podków”.

Cena tomu w Wielkiej Brytanii i w Europie w przedpłacie 35s. (cena normalna 42s.). Cena tomu w Stanach Zjednoczonych w przedpłacie 5 dol. (normalna 6 dol.). W innych krajach równowartość.

Nazwiska przedpłacicieli będą drukowane w miarę napływu zamówień w „Wiadomościach” i zostaną umieszczone na końcu książki.

Żadne egzemplarze darmowe rozsyłane nie będą.

Termin przedpłaty upływa 1 maja br. Po tym terminie obowiązywać będzie cena normalna.

Tom ukaże się około 1 września br.

Zamówienia należy kierować do wydawnictwa „Wiadomości” (67 Great Russell Street, London, W.C.1).

Przedpłaciele ze Stanów Zjednoczonych oraz Kanady proszeni są o wystawianie czeków na *Polish Institute of Arts and Sciences, Wierzyński's Poems*, i przesyłanie czeków łącznie z zamówieniami na adres Instytutu: 145 East 53 Street, New York, N.Y.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

KAPRYSY KOSMICZNE I ICH KONSEKWENCJE
LITERACKIE

(Trzy powieści Leopolda Buczkowskiego)

W początku ub. roku ukazały się w Warszawie dwie powieści Leopolda Buczkowskiego: „Dorycki krużganek” (1) i „Wertepy” (2). Poprzednio już ukazał się tegoż autora „Czarny potok” (3). Z różnych przyczyn powieści te zwracają na siebie uwagę czytelnika. Autor próbuje dróg nowych, oświetlając ubocznie parę dawnych zagadnień literackich. Akcja powieści toczy się w miasteczkach i wsiach galicyjskich, na pograniczu Wołynia; w „Wertepach” — na schyłku dwudziestolecia, w „Czarnym potoku” i „Doryckim krużganku” — pod okupacją niemiecką.

Od pierwszych już stron zwraca uwagę osobliwy język Buczkowskiego, zrozumiały bez reszty chyba tylko w Brodach i Radziwiłłowie. Językiem tym autor posługuje się po mistrzowsku. Wystarczy mu włożyć w usta swej postaci kilka słów, aby scharakteryzować ją nieomylnie, pokazać jak żywą. „Kto krucyfiksum? Halt!” woła przestraszony stróż nocny. „Ot, nie szczęście. A gdzie to same zabili jego?” mówi paroch, dowiadując się o śmierci koniokrada. „U Sanguszków konie jak pampuszki”, przygadują sobie dwaj młodzieńcy, przepędzając kradzione konie przez wołyńską granicę. Przy rewizji u kowala,

- (1) PAX 1957, str. 273.
(2) PIW 1957, str. 234.
(3) PAX 1954, str. 239.



widząc że ten ostatni nie rozumie pytania policjanta, sołtys woła: „Gdzie spają terminatory?” Parobcy pałacy machorkę przed spółdzielnią żartują z włóczęgi nie mającego na tytoń: „Pokaż, stary, swego korzonka. Nu, damy zapalić”. Nie wszyscy być może domyślą się, że „korzonek” oznacza machorkę, od *machorka-korieszki*. Tak nazywała się machorka rosyjska (4). Bystrością obserwacji i umiejętnością operowania niespodzianym szczególnie Buczkowski przypomina samego Czechowa. Chętnie przeczytałbym napisaną przezeń komedię.

Językiem kresów mówią nie tylko jego postacie, ale i sam autor. Dla charakterystyki jego słownictwa przytoczymy tu następujące regionalizmy: *debra* (zarosły jar), *obsmuszony* (ostrzyżony, odarty, *obszelmowany*), *laseta* (sznurowadło), *wyprzate* (oziminy), *zwurdziale* (skwaśniałe) mleko, *gnyb* (nóż), *tołoka* (taniecna), *szcordy wieczór* (Jordan, 18 stycznia), *gonić w dychałki*, *czubaryk* (młody chłopiec), *skrypturka* (bryk), *kacabajka* (watowana kurtka), *iść opryszkami* (skrótami ścieżki), *wereto* (koc), *holka* (dziewczyna), *bambetel* (łóżko), na *haikach* (zabawie, jarmarku), *obezwac się* (odezwac), *bandar* (pastuch), nie *sabawiaj się* (nie marudź), a wreszcie całą rodzinę malowniczych wyzisk, jak *bacatyga*, *halapupnik*, *huncwołota* itd. O bliskości Wołynia świadczą rusycyzmy jak: *mozolaste ręce*, *nagła* (zuchwała, bezczelna) banda, *rzecz w kapeluszu* (ros. w *szlapię dielo*). Wiele wyrazów znanych przybiera u Buczkowskiego swoiste formy, jak *pechirz* (na Wołyniu mówiono także *pinchurz*), *czosnyk*, *kaszkiet*, *sapiecze* (zapiecek), *catki* (szczapki) itd. Język ten zdaje się być całkowicie autentyczny, dokładnie taki, jakim mówiono wówczas, bo kto wie jak się dziś mówi pod Brodami.

Mówiony, język taki ułatwia się z dymem machorki, nie nastroczając zagadnień. Piszący musi się liczyć z wymaganiami rzemiosła. Buczkowskiemu nie brak metody — trzyma się ściśle wzorów mówionych — ale przedsięwzięciu takiemu grożą rozliczne niebezpieczeństwa. Język jego przekracza np. kompetencje redaktorów i korektorów, nie mających w tym wypadku jasnych kryteriów do odróżnienia osobliwości języka czy wymowy od lapsusów pióra lub pospolitych błędów drukarskich. W powieściach Buczkowskiego znajduje się też pewna ilość błędów.

Do lapsusów np. zaliczyć wypada zdanie: „Trzy pożary zniszczyły gospodarstwo, a pole pokrajali *dlużnicy*”. Chodzi to oczywiście o wierzycieli. Lapsusem zapewne jest też zdanie:

(4) Za carskich czasów najpopularniejsza była machorka z złotą rybką. Podczas wojny 1914-1917 zastąpiła ją machorka z wizerunkiem dzieńnego kozaka Kuźmy Kruczowa. W 1917 pojawiły się w handlu paczki machorki noszące z jednej strony portret Kiereńskiego z słowami: *da zdrowotniel swoboda, rawienstwo i bratstwo*, za drugiej zaś napis: *machorka-korieszki oczyszczajet krow, pieczonku i kiszki*. Wyparła je wkrótce machorka *krasnoje znamia*. Potem przez dłuższy czas palono machorkę demorosłą, zwaną *samo-siejką*, *samokryszką* lub z francuska *samkryszé*.

„Każdej takiej kobiecie zawsze towarzyszy gromada dzieci, nagich, brudnych, zawszonych. Jakie to spojrzenie rzuca na dziennikarzy?” Mowa tu zapewne o wrażeniu robionym na dziennikarzach. W śpiewce: „*A w Zbarażu, sławnym miści...*” powinno być *misti*. Polacy nie nauczą się widocznie nigdy ukraińskiego. Jest coś przewrotnego w pisaniu jednym tchem: „*Gwiczardyni, Hume, Niebuhr...*” lub: „*Brandes, Kopera, Żil Romę...*” Powstają też inne wątpliwości. Czy dla zachowania koloru lokalnego należy koniecznie pisać: „będę cię godny” lub „obraz nie spełżył do tych pór”? Słowa niemieckie — z umysłu czy przypadkiem — pisane są na przemian poprawnie i błędnie. Nie wiadomo jak np. należałoby poprawić zdanie: „*Die Galgenvoegel* posiada swoisty refren”. Przy metodzie Buczkowskiego usterki takie wvdają się nieuniknione. Nie są to rzeczy istotne; wskazują tylko, że używanie regionalizmów posiada pewne granice.

Wiele jest nadto wyrazów i zwrotów niejasnych, mało zrozumiałych nawet dla czytelnika obytego z mową kresową. Słowa znane są często zaciemnione przez kontekst. Nie mając słowników, nie wiem co znaczy *kaszlawnik*, *zczyńiać płocicę*, *maścić guli* komuś za coś i *czępieć na płotkach*.

Wszystkie te niejasności zdają się nie krępować wcale Buczkowskiego. Jedną z jego postaci mówi: „Obrazy wywoływane w mojej wyobraźni jego słowami: bynajmniej, nieopodal, nota bene, eo ipso — to wszystko darło na wymioty”. Słowa te wyrażają być może obrzydzenie samego Buczkowskiego do wszystkiego co zalatuje literaturą. Jego wizja tonącego świata Brodów ma być przede wszystkim prawdziwa, autentyczna, bezpośrednia. Dlaczego czytelnik ma mnie rozumieć? Ja sam nic z tego nie rozumiem. Stoję jak św. Jan na wyspie Patmos i widzę. Kto szuka rzeczy jasnych i zrozumiałych, niech czyta Moliere.

Nie zatrzymywałbym się tak długo nad językiem Buczkowskiego, gdyby pojawienie się jego w druku nie nastroczało tylu refleksji. Mimo swej pozornej nowości w literaturze, jest to właściwie stary język jagielloński. Tak mniej więcej mówiła polowa dawnej Rzplitej i jakaś czwarta część Polaków niedawnego dwudziestolecia. Dawna Rzplita, gdzie mieszały się z sobą języki i narzekała kilku ludów, była republiką wiejską. Szlachta zjeżdżała się co pewien czas dla wykonywania władzy, po czym rozjeżdżała się po swych włościach i zaściankach. Dwór królewski nie miał dostatecznego znaczenia, aby mógł przy nim powstać język dworski, promieniujący na cały kraj. Być może zresztą szlachta, tak niechętna prerogatywom królewskim, opierałaby się również takiemu językowi, jak postać Buczkowskiego odczuwająca wstręt do „nieopodal” i „eo ipso”. Jest rzeczą zastanawiającą, jak wielki udział w szerzeniu się języków literackich przypadła w różnych krajach żołnierzom i satrapom wykonującym władzę królewską na prowincji. Dawna Rzplita tego nie знаła; miała tylko satrapów pochodzenia miejscowego, drwiących z władz i obyczajów stołecznych. W regionalizmach języ-

kowych zachowało się coś z wolności szlacheckiej, opierającej się centralizmowi i niwelacji. Jeszcze wyraźniej być może widać to w „Leśniku”, powieści Kuncewiczowej opiewającej narodziny „tutejszych”, uchylających się od służebności narodowych. Przedsięwzięcia językowe Buczkowskiego i Kuncewiczowej mają w sobie coś z rokoszu; ich nieregularne słowa idą ławą, bez widocznej dyscypliny, jak pospolite ruszenie, i to zdaje się odróżniać język tych autorów od mowy „Skalnego Podhala” i ornamentów ludowych pisarzy Młodej Polski.

Także w innych krajach — jak w Niemczech i Szwajcarii — przywiązanie do narzeczy i miejscowych osobliwości języka łączy się z tradycją autonomii gmin, kantonów czy prowincji i należy do obyczaju republikańskiego. W Republice Wejmarskiej zdania w tym względzie były podzielone, przypominam sobie wszakże, że publicysta tak czuły na wszystko co zagrażało wolności, jak Carl von Osietzky, uważał zachowanie dialektów za niezbędne dla wytworzenia się w Niemczech tradycji republikańskiej.

Wszystko to nie zmienia faktu, że języki o regionalnym zasięgu są z natury swej niejasne, nie przylegające dokładnie do przedmiotów i pojęć. Posługujący się nimi mówią o rzeczach bliskich, dobrze znanych wszystkim mieszkańcom powiatu; nawet niedołącznie sformułowana aluzja jest w tych warunkach przejrzysta dla sąsiadów. Relacja o wypadkach odległych lub rozumowanie pretendujące do ważności także na terenie sąsiedniego województwa wymagają słów o ściślej określonej treści. Czytelnik Buczkowskiego od razu spostrzega tę różnicę między dialektem i językiem literackim.

Chcąc dokładnie wyrazić swą myśl, przodkowie nasi — jak obecnie lekarze — mogli posługiwać się łaciną. Posiadanie języka zapasowego o uniwersalnym zasięgu i niezrównanej precyzji sprzyjało nawet być może używaniu na codzień gwar zrozumiałych tylko dla sąsiadów. Od kiedy brak nam szkolonego języka pomocniczego, musimy stawiać większe wymagania mowie potocznej. Pisanie dialektem przestało być dziełem przypadku.

Język Buczkowskiego nie jest też wcale przypadkowy i nie jest zresztą ani jedynym ani głównym zmartwieniem czytelnika. Więcej trudności sprawia mu zawiły i niejasny tryb opowiadania. W „Wertepach” narracja toczy się jeszcze gładko, w „Czarnym potoku” posiada jeszcze pewien porządek, którego brak w „Doryckim krążanku”. W tym ostatnim opowiadanie zaczyna się od końca, wiosną 1943, i toczy się wstecz do jesieni 1941. Tempo jego jest nierówne; chwilami widzimy wypadki szczegółowo, jak pod lupą, chwilami w ogromnych skrótach. Liczne wątki splatają się z sobą lub znikają na zawsze. Co chwila trafiamy na szczegół pozwalający wreszcie zrozumieć, co się stało pięćdziesiąt stron wstecz. Inne szczegóły pozostają zawieszone w powietrzu, nie wiążąc się ani z już przeczytanym,

ani z tym co pozostało jeszcze do przeczytania. Każdy ustęp, każde niemal zdanie posiada swą autonomię, swój własny sens, niezależny od całości. Są to jak gdyby graffiti, które świadczą o minionych wydarzeniach i sytuacjach, ale ich nie opowiadają, nie porządkują. Tok narracji przerywany jest nadto co chwila przez wspomnienia i zwierzenia odnoszące się do innych czasów i innych osób. Aby mniej więcej rozumieć co się dzieje w tej powieści, czytelnik musi wciąż wracać do stron już przeczytanych. Rzecz dziwna, trudności nie odpychają go; szybko zostaje wciągnięty w tę grę. Proceder wybrany przez autora nie mija więc z celem: interesuje, pociąga, pasjonuje nawet czytelnika, stawiając mu coraz nowe pytania, dotyczące nie tylko ludzi i rzeczy opisanych w „Krużganku”, lecz także sensu techniki literackiej autora.

Słyszałem zdanie, że akcja przerywana spojrzeciami wstecz i wspomnieniami bohaterów jest wynalazkiem reżyserów filmowych, przejętym później przez powieściopisarzy. Objaśnienie to wydaje mi się mało przekonujące. Wielu autorów współczesnych traktuje zresztą porządek opowiadania z swobodą niedostępną dla filmowców. Faulknerowski np. tryb rozpoczynania opowiadania od końca byłby w filmie niemożliwy. Są to tłumaczenia krytyków o krótkiej pamięci.

Rozpadanie się narracji i języka nie jest zjawiskiem nowym. Widziano je już na różnych zakrętach historii literackiej. Sens takich przemian stylistycznych ukaże się w całej pełni, gdy porównamy np. sposób, w jaki historycy klasyczni — Tukidides lub Liwiusz — przedstawiali niedawną przeszłość, z relacją Ammiana Marcellina, piszącego w czasach Juliana Apostaty. Historycy pierwszej grupy opisują wypadki na miarę ludzką: Nikias, obawiając się okrażenia, wydał rozkaz... Hannibal, pragnąc zaskoczyć Rzymian, uciekł się do następującego podstęp... Wypadki powiązane tu są planami, ambicjami i zdolnościami wykonawczymi działających; rozwijają się w granicach zakreślonych pomysłowości i przedsiębiorczości człowieka. Taki sposób przedstawiania przeszłości odpowiadałby zapewne także wykształconemu oficerowi wysokiej rangi, jakim był Ammianus Marcellinus. Ten ostatni ma jednak coś innego do przekazania, mianowicie obraz kończącego się świata, potok wypadków unoszący bezładnie całe imperium z cesarzami na czele. Temat jego nie mieści się w skali ludzkiej i nie da się opowiedzieć językiem pokoleń poprzednich. Ammianus posiada też technikę potrzebną do traktowania takiego tematu. Z gęstej tkaniny dziwnie ustawionych i nie zawsze jasnych wyrazów wynurzają się w jego opowiadaniu patetyczne lub groteskowe gesty postaci historycznych tego okresu. Gdyby nie trudności, jakie nastroczą jego lektura, Ammianus uchodziłby być może za jednego z największych pisarzy starożytności. Nie zdziwiłbym się, gdyby znalazł dziś czytelników, przygotowanych do tej lektury przez pisarzy hermetycznych bieżącego stulecia. Nawet jego sztywność oficera, zajętego obroną tego co jeszcze pozostało z imperium, posia-

da pewną aktualność, przypominając nieco defensywne postawy, zajmowane przez obecnych pesymistów wobec odbywających się przemian.

Dystans między Buczkowskim a Prusem lub Sienkiewiczem jest mniej więcej taki, jaki dzielił pisarzy historii na miarę ludzką od autorów notujących skoki historii zerwanej z łańcucha. Temat „Czarnego potoku” i „Doryckiego kruzganka” nie mieści się również bez reszty w ramach spraw ludzkich. „Kaprys kosmiczny” — mówi o nim jedna z postaci „Kruzganka”.

Tematem tych powieści jest „likwidacja” ludności żydowskiej miasteczek galicyjskich przez okupantów niemieckich oraz próba oporu zbrojnego kilku ocalałych. Mylili się przewidujący, że wymordowanie Żydów w okupowanej przez Niemcy Europie zostanie — jak tyle innych rzeczy — szybko zapomniane. Nie tylko świadkowie i współcześni nie potrafili go wymazać z pamięci. Powstały zeń niepokój sumień ogarnął także pokolenie następne, jak można wnosić z poruszenia, wywołanego wśród młodzieży niemieckiej przez pamiętnik Annie Frank. Zapomnieć mogą tylko ci, którzy pili wodę Lety. Kto nie zeszedł jeszcze do otchłani, musi pamiętać. Niemożność zapomnienia jest punktem wyjścia całego przedsięwzięcia Buczkowskiego.

Lecz jak trwać z nieodstępnym jak cień, strasliwym wspomnieniem? Jak złagodzić jego drapieżność, jak je oswoić, obłąkawić, opanować myślą, aby umożliwić współżycie? Buczkowski próbuje kolejno różnych dróg.

Pierwsza z nich zarysowuje się w „Czarnym potoku”. W kilkudziesięciu krótkich scenach lub epizodach powieść ta opisuje dzieje kilku żydowskich partyzantów. Opór ich rodzi się samorzutnie, bez premedytacji z krwawego terroru panującego w miasteczku Szabasowa. „Tu już chłopów gonią do roboty, tu hyclują zablakane Żydziatko, gonią za nim jak za szczurem, pod wozy, po sklepach za ładą”. „Codziennie nad ranem gwałtowne stukanie do drzwi budzi kogoś na śmierć”. Z miasteczka mordercy idą w poszukiwaniu zbiegów na wieś; podpalają tam domy i strzelają do uciekających. „Wybiegliśmy w ciemne pole i pierwszy raz nie wiedzieliśmy, co dalej zrobić z sobą, a obok nas szły dzieci i ufały nam”. W tych okolicznościach u kilku ocalałych powstaje myśl zbrojnego oporu. „Nie ma takiego prawa na ziemi, które zakazywałoby bronić się przed śmiercią”, powiada jeden z nich.

Jest to jak gdyby pierwsza próba rozpoznania sytuacji, prowadząca do odkrycia, że okrutną śmierć bezbronnej ofiary zamienić można na śmierć w walce czy nawet nikłą szansę ocalenia. Przygodni partyzanci nie odnajdują jednak w sobie żadnych gestów Kmicica i Wołodyjowskiego, są pełni skrupułów i wątpliwości. Nie znajdują jasnej odpowiedzi na nieuniknione w ich położeniu pytania. Czy wolno zabijać trapiących ich szpiegów i prowokatorów? Niektórzy sądzą, że potrzebna jest na to uchwała całej grupy. W lasach skrywa się bogaty Żyd, mający

40.000 dolarów zaszytych w bekieszy: czy wolno, przemocą czy po dobroci, odebrać mu część pieniędzy, niezbędnie potrzebnych partyzantom? Zdania się dzielą; część partyzantów chce odejść, pozostawiając ich losowi niezarannych ze zbytku skrupułów kolegów. Tym ostatnim wydaje się, że obrona nagiego życia nie wystarcza, że czyny ich wymagają jakiejś nadrzędnej sankcji moralnej, że coś zasadniczego powinno ich dzielić od morderców. Oni już nie znajdują miejsca, w którym by mogli się schronić, dla nich już nigdzie nie będzie domu. A my musimy jeszcze mieć swój dom... Usiądź kiedyś w lesie i pomyśl na jaką drogę wstąpiłeś, gdzie chcesz dojść. Jest droga zabójców i droga prawdy”. Na tym rozdrożu myśli autor zostawia swych partyzantów w końcu powieści.

Obok tych spraw, będących trzonem opowiadania, w teże powieści pojawia się ubocznie motyw inny, głębszy i subtelniejszy, w formie pytania jak w tych strasznych okolicznościach być wiernym sobie, pozostać sobą — *this above all*, mówi Hamlet — i jaki jest właściwy sens tego pytania.

Pozostać wiernym sobie znaczy dla Buczkowskiego pozostać wiernym światowi Brodów, który sformował jego bohaterów, wszystkiemu co sprawiło, że są tacy a nie inni, wszystkiemu co mogło zachować się w ich pamięci. „Klara była jedyną kobietą, którą kochałem po śmierci żony”, mówi jeden z partyzantów. „Ona wiedziała, że życie składa się ze wszystkiego i wszystko jest w nim ważne”. „Dopiero o świcie wróciłem do cegielni”, mówi drugi. „Tońki już nie było. Na barłogu znalazłem klucz od jej domu — najdroższą pamiątkę”. Domu tego już nie ma. Pozostał tylko w pamięci ostatniej ocalałej z pogromu dziewczyn. Ale i jej już nie ma. Pozostał tylko klucz. Być sobą jest to pozostać wiernym temu nieistniejącemu nigdzie domowi, do którego zapewne odnoszą się też przytoczone wyżej słowa: „A my musimy jeszcze mieć swój dom”.

Jest rzeczą oczywistą, że dla błądzących w zimowym lesie rozbitków, niepewnych godziny, trawionych przez głód i tyfus, świat ich przeszłości może istnieć już tylko w formie majaczenia. Do tej też formy zbliża się coraz bardziej opowiadanie Buczkowskiego. Jasne jest również, że — jeżeli zachowanie wierności nieistniejącemu domowi jest warunkiem pozostania sobą samym — dom ten nie może być zredukowany do żadnej formuły literackiej. Każdy jego szczegół musi być nazwany tak jak się nazywał, bez żadnych „nieopodał” i „eo ipso”. Czy opis taki będzie zupełnie jasny dla postronnych, jest ostatecznie sprawą podrzędną. W tym miejscu zaczynamy rozumieć sens majaczącego trybu opowiadania i osobliwego języka Buczkowskiego.

Motywy naszkicowane w „Czarnym potoku” przybierają wyraźniejszy kształt w „Doryckim kruzganku”. Autor opisuje w nim zagładę Brodów i próby ocalenia pamięci tego miasteczka. Akcja toczy się w połowie u partyzantów, w połowie w gabinecie niemieckiego komendanta miasta, majora Osnabricka.

Koszmarne major, „mieszanina policjanta i historyka”, zostaje również wciągnięty w grę Buczkowskiego. Pod pozorami śledztwa i badania świadków gromadzi w swym gabinecie najstarszych mieszkańców, księgarzy i antykwariuszy, i każe im opowiadać historię pary starych pistoletów, sławnej z różnych zajęć karczemny, szczegóły żydowskiego wesela, treść sztuk granych przed pół wiekiem przez wędrownych aktorów itd.; zbiera pamiątki, dagerotypy, stare fotografie. Przygotowuje powoli nakazaną z góry zagładę starych dzielnic i masakrę resztek ludności, ale chciałby je opóźnić, aby zdążyć nakręcić film przedstawiający przedwojenne życie miasteczka. „Co się pan dziwi — powiada — kaprys kosmiczny! To leży — powiada — poza swobodną grą poznającej świadomości i wyobraźni... Jedyna nadzieja — powiada — w filmie. Nakręcimy go wbrew tym szumom oberszturmiera Warzoka. Rzuci się tym filmem kiedyś w twarz kosmicznemu kaprysowi, wywołamy głos starego zegara, szept waszej rzeki i całe to miłe spozieranie w codzienność, skrzypienie starych desek w chederze i niejedno przysypane prochem i popiołem”.

Skrywający się za dnia w piecu zrujnowanej cegielni partyzanci przychodzą nocami do starego Cukra, który służy majorowi za tłumacza, i słuchają godzinami jego relacji o tych fantastycznych przesłuchaniach. Mają zresztą własnego opowiadacza, wędrownego artystę ulicznego Algę Safira, który podczas nocnych przemarszów snuje przed nimi pajęczynę wspomnień lub opowiada bajki. Główny nurt opowiadania, składający się z egzekucji, pożarów, polowań na ludzi i szarpania się w sieci agentów i donosicieli, przerywany jest co chwila pogodnymi opowiadaniem o dawnych Brodach. Starą formę Cervantesa i Lesage'a Buczkowski przystosował doskonale do swego zadania.

Barbarzyńskim niszczycielom, podpalaczom i mordercom autor przeciwstawia potęgę pamięci i wierność domowi, z którego pozostał tylko klucz. Wątlą pajęczyną mająceni słów usiłuje spętać ryczącego potwora. Jest jasne, że zadanie takie wymaga słów magicznych, mogących zmienić znany porządek rzeczy. Słusznie też partyzanci Buczkowskiego wzmiankują Orfeusza, który „budował mury tebańskie jedynie dźwiękiem liry”. Lecz gdzie znaleźć słowa burzące i budujące mury? Nie ma ich na pewno w języku literackim, który o czymkolwiek by mówił, zajęty jest przede wszystkim sobą samym. Jeżeli takie słowa w ogóle istnieją, trzeba by ich szukać chyba tylko w języku abrakadabry, w którym od wieków układano formuły do wywoływania duchów, przemieniania ludzi w osły i budowania powietrznych zamków. Buczkowski zaufał językowi Brodów. Czytelnik śledzi nie bez pewnego wzruszenia te próby czarnoksięstwa.

„Wertepy” noszą datę 1937, są więc najstarszą z omawianych tu powieści. Jest to obraz wsi galicyjskiej z pogranicza Wołynia, nie odbiegający zasadniczo od wzoru, jaki Balzac stworzył w swych „Chłopach” dla tego typu powieści. Widzi-

my w nim w dość ponurych barwach życie gospodarzy, bando-sów, koniokradów, policjantów, sołtysów, parochów i nauczycieli, okraszone bogato machorką, gorzałą i zabójstwem. W obrazie tym z końca dwudziestolecia widoczne już są główne rysy talentu Buczkowskiego: przypominająca akwafortę ostrość wizji, oryginalność kaligrafii i skłonność do kondensacji, do skrótu. Każda z jego postaci mówi własnym językiem, oszlifowanym do najdrobniejszych „niegramatyczności”. Z niezliczonych powieści wiejskich żadna być może nie przylega równie dokładnie do oryginału. W dokładności tej wyczuwamy niesformułowaną przesłankę wszelkiego realizmu, że tylko *mimesis*, wierność naśladowania rzeczywistości upoważnia autora do zaprzatania uwagi czytelnika mniej dekoracyjnymi przejawami życia.

Już w tym pierwszym utworze daje się zauważyć rys pociągający swą nowością literacką. W „Wertepach” Buczkowski nie pominął niczego, co w jego oryginale było szorstkie i przykre w dotknięciu, pozostając w zgodzie z tradycjami tego rodzaju literackiego. W szczegółach tych zachował jednak powściągliwość i dyskreję. Nie ma w nim nic z panoszącego się w współczesnej literaturze sentymentalizmu, w sensie używania słów i manifestowania uczuć przesadnych w stosunku do motywujących je okoliczności. Rys ten stanie się uderzający, gdy w następnych powieściach Buczkowski spotka się z barbarzyństwem i okrucieństwem człowieka.

Sceny gwałtowne i okropne, obrazy upadku i poniewierki człowieka należały zawsze do ulubionych tematów literatury, nigdy bodaj jednak nie dawały powodu do równie obszernych popisów oratorskich jak te, które widzimy u mistrzów literatury współczesnej. Jedni rozmazują na setkach stron koszarne wizje człowieka tonącego w lepkiej i śliskiej ciemności. Inni w świątobliwym oburzeniu rzucają przekleństwo na całe plemię Kaina. Inni upominają czytelników, że życie warte jest tylko jako cierpienie i pokuta. Inni wreszcie, ogarnięci szlachetnym nie-smakiem wymiotują z wyżyny Parnasu na całą Grecję. Aby nadać swym słowom jakąś wiarygodność, musieli by natychmiast opuścić dom i udać się na pustynię. Ale nie o to chodzi. Oklaskujący rozumiają doskonale, że jesteśmy w teatrze nie pretendującym do naśladowania rzeczywistości. Literatura współczesna zdaje się być spadkiem po Juwenalu, który grzmieć w oratorskim zapale przeciw zepsuciu Rzymu dawał towarzyszom bankietów tajne znaki porozumiewawcze.

W powieściach swych Buczkowski oddala się coraz bardziej od tych sławnych i niemal obowiązujących dziś wzorów. Ilekroć zbliża się do jakiejś okropnej sceny, chce być krótki, rzeczowy. Kulminacyjny punkt „Doryckiego krążanka” — masakra robotników, którzy ukończyli budowę szosy i nie są więcej potrzebni — streszczony jest w dwóch zdaniach: „Orkiestra odegrawszy ostatnią eroikę batalionom robotniczym powlokła się

procesją do kamieniołomów na rozstrzelanie. Instrumenty hilspolicja oczyściła sidolem i złożyła w magazynie pustego już obozu. Czytając w innym miejscu: „Na czole zabitego trząsł się blask od bliskiej luny”, wiemy, że w palecie Buczkowskiego nie brak farb do odmalowania fatalnego kamieniołomu. W drastycznych jednak momentach Buczkowski przestaje opowiadać i kreśli graffiti informujące tylko o sytuacji.

Pozostanie sobą zdaje się być głównym zadaniem nie tylko jego postaci, lecz przede wszystkim samego autora. W każdym niemal zdaniu wyczuwa się troska o to, jak nie dopuścić do rozdwójnienia między nim i jego słowem, jak zachować równowagę i zmysł proporcji, jak nie uronić nic z tego, czym był przed początkiem katastrofy. Stąd jego nieufność do słów zbędnych, do grymasów i wykrzykników, do przekleństw, spluwania i wzruszania ramionami. „Zawsze tkwi jakiś ukryty sens w złych słowach”, mówi. „Okna zamykają się na sam dźwięk klątwy. Paskudna klątwa spełnia się prawie zawsze”. Jego nieufność i krytycyzm każą mu odnosić się z ironią nawet do własnej oględności w słowach. Wędrowny aktor Hilarko zatrzymuje się przed staruszką iskającą głowę wnuczka. Mówi jej: „Szczęść Boże!” „Et, dałbyś spokój, grzeszniku”. „Rozkoszą jest przyglądać się, z jaką delikatnością bijecie te stworzenia”. Czujność i kontrola nie pozbawiły relacji Buczkowskiego świeżości. W jego okropnej opowieści są zdania podobne do kwiatów na zgłiszczach. Oto fragment sceny, w której podejrzanego osobnik donosi partyzantowi o postrzeleniu jego kolegi: „Myślałem o Aldze z niepokojem i współczuciem. Co się z nim stało tamtej nocy? Bo to chyba nieprawda, że nocował u żony Balceski i tam go ktoś postrzelił. W każdym razie jakaś straszna przygoda... Wygląda to bardzo dziwnie. To jest prawda, że Balcesko wyjechał do Bałtów po holenderską biżuterię. To prawda, że Algo nauczył żonę Balceski nosić rękawiczki, nauczył uśmiechu i zadumy. Nie można tego wszystkiego objąć ludzkim rozumem. Mam powody do wdzięczności za wiadomość o przyjacielu. Dziękuję wam serdecznie, żeście nam dali znać, powiedziałem”.

Po kilku godzinach zmagania się z trudnościami tekstu, czytelnik wyciąga rękę do autora jak do przyjaciela. Jego niejasne skróty ukrywają być może delikatność uczuć, rzecz, z którą od bardzo dawna już nie wypada zdradzać się w literaturze pięknej.

Nikt nie uwierzy, aby z piorunów i grzmotów retoryki literackiej mogło narodzić się coś podobnego do dawnych Brodów. Ocalenie z niepamięci tego miasteczka wymaga innej metody. Nie jest więc dziełem przypadku, że właśnie ze zgłiszcz Brodów powstała odbiegająca od szablonów wrażliwość literacka i pewna liczba nowych wymagań, z którymi w jakiś sposób będziemy musieli się liczyć.

Znajdą się być może czytelnicy, którzy sposób pisania Buczkowskiego nazwą manieryzmem. Porozumy się jednak co do znaczenia tego słowa. Kiedyś nazywano manierystami artystów

zajętych zagadnieniami formy. Używanie takich słów jak „manierizm”, „gongoryzm” czy „marinizm” w znaczeniu ujemnym byłoby przestarzałą i nieaktualną pamiątką po krytyce francuskiej czasów racjonalizmu. Giambattista Marini lub Luis de Góngora są nam nierównie bliżsi niż poeci XVIII wieku. W „Doryckim krążanku” osobliwa faktura pisma Buczkowskiego zastanawia przede wszystkim w związku z jego tematem, ale można ją sobie wyobrazić także jako samodzielne zagadnienie literackie. Sposobności do takich rozważań dostarczy nam być może następna książka Buczkowskiego.

Paweł HOSTOWIEC

AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.
Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Fragmenty z dziennika

Poniedziałek

Być z naturą, czy przeciw naturze? Ta myśl — że człowiek jest sprzeczny z naturą, czymś poza nią i w opozycji — wkrótce przestanie być myślą elitarną. Dotrze nawet do chłopów. Przekniknie cały rodzaj ludzki, od góry do dołu. Co wtedy? Gdy się wyczerpią ostatnie rezerwy „naturalności”, te oddolne?

Wtorek

Konanie psa. Przykra sprawa. Nastąpiło znienacka.

Wczoraj wieczorem przyjechał sąsiad, Tadeusz Czerwiński, i zaczął z miejsca coś opowiadać, ale niedobrze wsłuchaliśmy się, powoli tylko zaczęło się zarysowywać... Charty Dusia (w końcu zrozumieliśmy) pognały na pole Garania i rzuciły się na świnię. Garanio, wypadłszy z domu z dubeltówką, zabił jednego charta, drugiego postrzelił — reszta uciekła. Podaję tylko sedno relacji, która była obfita w rozgałęzienia, jak drzewo.

Duś wypadł z latarką na ganek, a żółtawe charty, jak zawsze powstały na jego widok i otoczyły go. Ich pokorna miłość jest wzruszająca. Ale było ich tylko pięć — brakowało Stepa i jednego młodego, po Saecie.

Rozplakała się trzynastoletnia Andrea. Nad wszystkim jednak zapanowało rozżalenie Dusia, wznoszące się jak śpiew Izoldy — on za Stepa oddałby najukochańsze konie. Miał twarz zła-maną — i była to twarz w dziwny sposób osłabiona, jakby małego dziecka — osłabiona może nikłością tej rozpacz, z powodu psa tylko... dla której nie mógł domagać się od nas pełnego uznania.

Wydobył rewolwer z szuflady — dosiadł konia — galop porwał go w noc — my czekaliśmy, zaniepokojeni i bezradni

wobec gniewu, który przepadł na polach, uniesiony koniem. Czy zabije Garania za zabicie psa? No, tak źle się nie skończyło. Duś, dojechawszy do estancji Garania i ujrawszy jego psy chciał strzelać do nich — ale wypadł estanciero i jął przepraszać, tłumaczyć, że działał w obronie maciory, którą psy zagryzłyby na śmierć. Więc gniew odszedł biednego Dusia i pozostała tylko żaloba po psie najwierniejszym. — Dlaczego pan mi to zrobił? — pytał. Przecież byłem zawsze dobrym sąsiadem. Odjechał. Zaczął szukać po nocy ciała. Znalazł. Okazało się, że Step był jeszcze żywy. Zaszyty w krzakach, zdychał. Przywieziono go na tych dziwnych sankach, którymi tutaj jeździ się po ziemi, jak po śniegu.

Duś, Jacek Dębicki, panna Jeanne i ja poszliśmy do stajni — tam leżał pies dyszący i wstrząsany drgawkami. Narada: skrócić mu męczarnie? Męczarnie były przeraźliwe — i był w nich zamknięty, nam niedostępny, na osobności, sam.

Scena, która mnie zaniepokoiła: noc, ta stajnia, my prawie po ciemku nad rozpętanym diabelstwem bólu. W naszych rękach było natychmiastowe zakończenie tego... Wystarczyłoby strzelić. Czy strzelimy? My, cztery istoty ludzkie „z innego świata”, wyższego, cztery demony z anty-natury, cztery anty-psy. Jedyne co nas łączyło z tym stworzeniem, to zrozumienie bólu — ten smak znaliśmy.

Czy skrócić męki? Głosowanie. Ale to wymaga bardziej szczegółowego omówienia.

Pierwszy anty-pies. Panna Jeanne. Urodziwa, lat 20, rodzice jej — multimilionerzy, przerzucana z Paryża do Rzymu, z Rzymu do Londynu, do Stanów, statkami, aeroplanami, pierwszorzędne szkoły, luksusowe instytucje, wciąż zmieniane, z których nic nie wyniosła oprócz pięciu języków, którymi mówi jak własnym. W jakim języku myśli? Luksusowa — i komunistka — bo luksusowa — a więc z nadmiaru, z przesytu... Trzeźwa, energiczna, dzielna — nowoczesna i ateistka. Widząc ją przed tym psem uprzytomniłem sobie, że przecież sprawiedliwość komunistyczna, jak i katolicka, nie obejmuje zwierząt. I tej doktryny ludzkość kończy się na człowieku. Zabrania wyzysku człowieka przez człowieka — zgadza się na wyzysk zwierzęcia. Co, dodajmy nawiasowo, nie bardzo jest zrozumiałe. Nie jest w porządku. Gdyż, jeśli religia wyrzuca zwierzęta na margines, jako bezduszne, dla materializmu nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy tą cierpiącą materią a materią ludzką... Jakże tedy zachowa się wobec psa cierpiącego panna Jeanne — gdy jej wyrozumowana moralność nie ma tu nic do powiedzenia? Co poczniesz?

Zrobiła z siebie kobietę! Dziwne... w mgnieniu oka rozebrała się... nie tylko z komunizmu, ale i z człowieczeństwa. Przemieniła się w kobietę — schroniła się w płęć... cóż za nagła irrupcja seksualizmu w sferę bólu, jakby płęć mogła coś poradzić na ból... stała się kobietą, czyli miłością, czyli miłosierdziem, czyli litością. Nachyliła się nad psem z czułością matczyną. Czyżby, jako kobieta, mogła więcej wobec cierpienia, niż jako czło-

wiek? Czy też pograżyła się w płęć, aby wymknąć się własnemu człowieczeństwu?

Gdy jednak stała się kobietą, śmierć wydała się jej gorsza od bólu. Zaczęła kochać tego psa okrutnie — domagając się jego życia choćby za cenę jego bólu. — Nie, nie — powiedziała, drżąc. — Nie zabijajcie go!

Drugi anty-pies z wyższej, ludzkiej sfery. Jacek Dębicki. Katolik, gorąco wierzący. Ale jego katolicyzm jest tutaj równie nie do użycia, jak komunizm panny Jeanne. Bóg także nie ma tu nic do roboty. Nie ma zbawienia dla psa. Stąd moje wrażenie, jak gdyby on nachylając się nad psem uchylał się Bogu — on teraz jest „wobec” zwierzęcia, to znaczy nie „wobec” Boga. Zupełnie inny rejestr jego istnienia. Jest „z psem” jakby, rezygnując z duszy nieśmiertelnej, zrównał się, utożsamił z psem w męczarni. I zgoła zwierzęca zgroza wobec bólu rośnie w nim — buntownicza i bluźniercza. Co widzę, jednak?! Widzę (bo prawie to widziałem, choć raczej „wiedziałem”), że w innym rejestrze nie wyzbywa się ani na jotę godności ludzko-katolickiej, a zgroza przemienia mu się tutaj w litość... zalegalizowaną... cywilizowaną... dobrze wychowaną... ach, prawda, zapomniałem, że Bóg, sam bezwzględny dla zwierząt, zezwala, aby nad nimi litował się człowiek, a więc *jemu wolno*, ma przecież *aprobatur* Kościoła! Ale ludzkość, którą w sobie odnalazł, nie jest braterskim stowarzyszeniem się ze zwierzęciem, ale właśnie ludzkością, czyli odczuciem bólu psiego z wysoka, z dystansu owej duszy — i, zatem, znów zawiera w sobie pierwiastek lekceważenia i okrucieństwa. Decyzja, którą powęźmie, będzie chyba dyktowana trzema względami: przede wszystkim, współczuciem zwierzęcym, zgoła dzikim, spontanicznym; powtóre tę, już bardziej ludzką i uduchowioną kalkulacją, że życie psa, bezduszne, nie ma większej wagi; po trzecie (myśl bardziej jeszcze duchowa), że jak najprędzej trzeba skończyć z sytuacją, która dla duszy i Boga jest nieco żenująca.

— Zabijcie go — powiedział. — Nie wylize się.

Trzeci anty-pies. Ja. Dla mnie nie ma żadnej wyższej instancji. Nawet psa nie ma. Jest tylko przede mną kawałek umęczonej materii. Rzecz nieznośna. Nie mogę wytrzymać. Zdybany tą męką w tej stajni, żądam żeby temu położono kres. Zabić! Zabić! Zatrzymać maszynę bólu! Niech tego nie będzie! Nie innego nie można zrobić, tylko to! Ale to możemy!

Czwarty anty-pies. Duś. Agronom, dziedzic, myśliwy, sportowiec, koniarz i charciarz. Pomiędzy nim a nami — zupełny rozdźwięk, on z innej rzeczywistości. Nie lęka się bólu „jako takiego”, jak ja. Nie rozgląda się za sprawiedliwością powszechną, jak ten katolik i tamta komunistka. Odrzuca abstrakcje, nie chwytą ich, nie chce. Istnieje pośród istot z krwi i kości, jest istotą wśród istot, ciałem wśród ciał. W głębi ducha nie wie, co to równość. Jest panem. Psa tego pokochał, więc bez skrupułu skazałby na męki czerdziesięci milionów mrówek i dziesięć tysięcy wielorybów — gdyby to mogło przynieść psu

ulgę. Dla stworzenia bliskiego, które zna, gotów na wszelkie poświęcenie — ale nie chce znać wszystkiego, zadawać się ze wszystkim, chce pozostać w kręgu swego ograniczonego odczuwania. Woli nie widzieć tego, co jest poza zasięgiem jego wzroku. A psa pokochał miłością pana — pokochał, gdyż jego uwielbił pies — kocha w nim to psie uwielbienie. A więc egoizm pana i władcy, arystokratyczne uczucie zrodzone z bezwzględnej wyższości ludzkiej, natura cała jest dla niego, jemu ma służyć, on, podporządkowując sobie wszystkie ostatnie istnienie, jest rozdawcą łask. I wydał mi się najbardziej „anty” z nas wszystkich — w tej ciemnej stajni, nad psem, absolutny król stworzenia, głoszący: wszystko dla mnie.

Ale było to może najbardziej zgodne z naturą. I gdyby pies mógł rozumieć, jego zrozumiałby, nie nas.

Z delikatnością bolejącej matki powiedział: — Poczekajmy. Może nie zdechnie.

Drapieżna miłość, przedłużająca męczarnię, żeby uratować — sobie — psa.

Scena ta, jak z dramatu, nie byłaby tak natężona i nagła, gdyby nie rzęzenie i biegające za nami psie oczy.

Czwartek

Necochea. Nad oceanem.

Idę przed siebie po olbrzymiej plaży, stwardniałej i brunatnej od zalewającego ją co dzień przypływu. Znikają za skałami domy Necochei.

Pustka i piasek, falowanie — ten huk tonący, usypiający. Przestrzenie — odległości — bezmiar. Przede mną aż do Australii tylko ta rozorana woda, świecąca grzywami, na południe wyspy Falkland i Orkady — i biegun. A za mną „interior”: Rio Negro, pampa... Morze i przestrzeń hucząc w uszach i oczach wytwarzają zamęt. Ja idę i bez przerwy oddalam się od Necochei — aż w końcu znika nawet jej wspomnienie i pozostaje tylko samo oddalanie się nieprzerwane, wieczne, jak sekret, który unoszę ze sobą.

Zamieszkałem w hotelu Shangri-La.

Niedziela

Zawędrowałem do hotelu Quequen, po drugiej stronie portu, ale tam już nikogo nie było z argentyńskiego *high life'u* — tych Anchorenów, Santa Marinów etc., których poznałem przez Dusia i Henryka Sobańskiego.

Wyjechali, ponieważ skończył się styczeń. Ich dziadkowie rok rocznie zjeżdżali na styczeń do tego hotelu (który wówczas był pierwszorzędnym hotelem), wobec czego oni teraz także dają sobie rendez-vous w Quequenie (który jest już anachroniczną ru-

derą, pozbawioną wygód). W styczniu to „boliche” trzeszczy od milionów i rozbrzmiewa nazwiskami.

Arystokracja tutejsza, czyli tzw. oligarchia, to kilkanaście rodzin, których drzewo genealogiczne zaczyna się od gwałtownie wzbogaconego pradziadka. Ale miliony ciężkie. Wpływ forsy na ludzi jest tak potężny, iż tych parę pokoleń bogactwa wystarczy aby różnice pomiędzy nimi a, dajmy na to, Radziwiłłami stały się minimalne. Wyglądają dobrze i ubierają się nieźle, a maniery mają — w swoim kółku — poprawne, osadzone na arystokratycznym spokoju. Ale tylko w swoim kółku. Niestety, ja jestem tym, który — gdy zdarzy się nam ta konfrontacja — wytrąca ich ze swego kółka. Intelktualista? Artysta? Może ateista? Anarchista? To ich żenuje, zawstydzają, wypełnia trwogą ich prowincjonalną poczciwość... obawiają się nietaktu!

Poniedziałek

Spotkałem się z nim na plaży. Był wspaniały! Przywitał się ze mną wielkodusznie. Dobrotliwie zapytał, jak się miewam. Majestatycznym palcem wskazał kiosk, gdzie można dostać „langostinos”. Uśmiechnął się z godnością udzielnego księcia. Z królewską uprzejmością puścił mnie pierwszego po desce wiodącej do kabin.

Wszystko dlatego, że nie był w spodniach. Tylko w majtkach kąpielowych. Ciało.

Środa

...w rodzaju p. Grubińskiego. Gdyż p. Sakowski, acz mniej helleńsko-laciński i renesansowy z pianką, jest właściwie Grubińskim — tyle tylko, że nie tak morderczo mistrzowskim. Najznakomitsza ich mądrość polega na następującym: „Wszystko to już było”. „Nie ma nic banalniejszego, niż oryginalność”. „Wszystko do czego nie przyzwyczaiłem się to pustostowie, poza i godne politowania frazesy”.

Oto typowe credo eunuchów! Cóż za ironia losu, że „Wiadomości”, które za swego Sturm und Drang Periode co tydzień pożerały żywcem Grubińskiego, dziś, na starość, mają na stajni aż dwóch Grubińskich! Ale swoją drogą szkoda, że Grydzewski nie wydelegował jakiegś mniej papierowej umysłowości do omówienia „Dziennika”, który bądź co bądź zawiera porcję życia, mego życia. Do Sakowskiego nie mogę mieć pretensji — „Dziennik” uchybiłby jednemu ze swych (mniej doniosłych) przeznaczeń, gdyby nie prowokował mentalności tego typu i reakcje jego są w danym wypadku tak naturalne, jak kota, któremu nadeptnięto na ogon. Przyznaję — wyrzuciłem mu okropne krzywdy. Wdarłem się po barbarzyńsku do buduaru jego duszyczki i rozbiłem najukochańszą półkę z tomikami poe-

zji, zdeptałem Tuwima, shańbiłem Lechonia, sprofanowałem najdroższe świętości i najśłodsze ptifurki, nawet Boya-Zeleńskiego! Cała kapliczka w gruzach! Zgroza! Stąd pewna awersja, dająca się wyczuć w felietoniku, napisanym stylem „parle franse”.

A staruszek, Kajetan Morawski, w tychże „Wiadomościach” zatroszczył się wielce, czy to ja aby nie jestem „futurystą”. Boże, a toż to „Kurier Warszawski” redivivus!

Jakby tego było mało, naskoczył na mnie jeszcze Maciusz — Janusz Kowalewski — czupurny i niezłomny, zadzierzysty i fikający nóżkami. Ale to w innej gazecie.

Wtorek.

Zdarzyło mi się wczoraj... Coś jak dalszy ciąg psa w estancji... Gdybym powiedział, że nic nie może się równać pod pewnymi względami, w pewnym znaczeniu, ohydnie dylematu, jaki przeżyłem... Że znalazłem się tam gdzie człowieczeństwo musi wymiotować... Mógłbym to powiedzieć. Mogę też dręczyć się tym — lub nie dręczyć — to właściwie ode mnie zależy.

Leżałem w słońcu, sprytnie zaszyty w łańcuchu górskim, jaki tworzy piasek naniesiony wiatrem na krańcu plaży. Są to góry piaskowe, wydmy, obfite w przełęcz, zbocza, doliny, labirynt obły i syplki, gdzieś tam porosły krzakiem wibrującym pod nieustannym parciem wiatru. Zasłaniała mnie spora Jungfrau, szlachetnie kubiczna, wyniosła — ale o dziesięć centymetrów od mojego nosa rozpoczynał się wichler, siejący bez wytchnienia Saharę, paloną słońcem. Żuki jakieś — nie wiem, jak je nazwać — pracowicie snuły się po tej pustyni w celach niewiadomych. I jeden z nich, nie dalej niż na odległość mojej ręki, leżał do góry nogami. Wiatr go przewrócił. Słońce piekło mu brzuch, co zapewne było wyjątkowo nieprzyjemne zważywszy, że ten brzuch zwykł zawsze pozostawać w cieniu — leżał przebierając łapkami i wiadomo było, że nic innego mu nie pozostaje jak tylko to monotonne i rozpaczliwe przebieranie łapkami — i już omdlewał, po wielu może godzinach, już konał.

Ja, olbrzym, niedostępny mu swoim ogromem, który to ogrom czynił mnie dla niego nieobecny — przyglądałem się temu machaniu... i, wyciągnąwszy rękę, wydobyłem go z kaźni. Ruszył naprzód, przywrócony w jednej sekundzie życiu.

Zaledwie to uczyniłem, ujrzałem trochę dalej identycznego żuka, w identycznym położeniu. I wymachiwał łapkami. Nie chciało mi się ruszać... Ale — dlaczego tamtego uratowałeś, a tego nie?... Dlaczego tamten... gdy ten?... Uszczęśliwiłeś jednego, drugi ma się męczyć? Wziąłem patyk, wyciągnąłem rękę — uratowałem.

Zaledwie to uczyniłem, ujrzałem nieco dalej identycznego żuka, w identycznym położeniu. Przebierającego łapkami. A słońce paliło mu brzuch.

Czyż miałem przemieniać moją siostrę w karetkę Pogotowia dla konających żuków? Ale zanedo już zadomowiłem się w tych żukach, w ich wymachiwaniu cudacznie bezbronnym... i chyba zrozumiecie, jeśli już zacząłem to ratowanie, nie miałem prawa zatrzymać się w dowolnym miejscu. Byłoby zbyt straszne wobec tego trzeciego żuka — zahamować akurat na progu jego kłęski... zbyt okrutne i niemożliwe jakieś, nie do popełnienia... Ba! Gdybyż pomiędzy nim a tymi, których wybawiłem, była jakaś granica, coś co mogłoby upoważnić mnie do zaprzestania — ale właśnie nie było nic, tylko dalszych 10 cm. piasku, ciągle ta sama przestrzeń piaskowa, „trochę dalej” wprowadzić, ale tylko „trochę”. A przebierał łapkami tak samo! Jednakże rozejrzawszy się, ujrzałem „trochę” dalej jeszcze cztery żuki, wymachujące i palone słońcem — nie było rady, wstałem w całym ogromie swoim i uratowałem wszystkie. Poszły.

Wtedy oczom moim ukazał się stok lśniąco-gorąco-piaszczysty sąsiedniego zbocza, a na nim z pięć lub sześć punkcików wymachujących: żuki. Pośpieszyłem z ratunkiem. Wybawiłem. I już tak sparzyłem się z ich męką, tak bardzo w nią wsiąknę, że widząc opodał nowe żuki na równinach, przełęczach, w wąwozach, ową wysypkę torturowanych punkcików, jałem po tym piasku ruszać się, jak oszalały, z pomocą, z pomocą, z pomocą! Ale, wiedziałem, to nie może trwać wiecznie — wszak nie tylko ta plaża, ale całe wybrzeże, jak okiem sięgnąć, było nimi usiane, więc musi nadejść moment, w którym powiem „dość” i musi nastąpić ten pierwszy żuk nieuratowany. Który? Który? Co chwila mówiłem sobie „ten” — i ratowałem go nie mogąc się zdobyć na tę straszną, nikczemną prawie arbitralność — bo i dlaczego ten, dlaczego ten? Aż wreszcie dokonało się we mnie załamanie, nagle, gładko zawiesiłem w sobie współczucie, stanąłem, pomyślałem obojętnie „no, dość tego”, rozejrzałem się, pomyślałem „gorąco” i „trzeba wracać”, zabrałem się i poszedłem. A żuk, ten żuk, na którym przerwałem, pozostał wymachując łapkami (co właściwie było mi już obojętne; jak gdybym zraził się do tej zabawy — ale wiedziałem, że ta obojętność jest mi narzucona przez okoliczności i niosłem ją w sobie, jak rzecz obcą).

Czwartek

Cukiernia na „rambli” (molo), gdzie o tej godzinie wieczornej odbywa się dancing i rozigrana samba, dyskretnie elegancka, bije z okien wraz z blaskiem na nieruchomość wód szmerzących... aż do bieguna, aż do Australii. Sumampa. Takie egzotyczne nazwy czają się za moimi plecami w głębi lądu, w interiorze, pełnym jeszcze języka Indian tak niedawno wymordowanych.

Kelnerzy. Młodzież roztąńczona. Refrescos i helados.

...Gdybym powiedział, że to, z tymi robakami, że to było... kompromitujące? I „nikczemne”? A przede wszystkim „podle bezsilne”. Mogę tak to określić. To ode mnie zależy. Mogę teraz, na dancingu, oddać się hańbie, ale mogę też poprosić o jedną jeszcze porcję lodów i zbyć to jako głupi incydent z robakami.

Tak, przerażeniami, zgrozami mymi, ja sam zawiadam. Co ma być dla mnie straszne? Muszę naprzód kiwnąć na diabła — wtedy mi się ukaże. Zbyt często może kiwam... i, co więcej, uprawiam pewien gatunek strachu, o którym wiem, że należy raczej do przyszłości — to są strachy dopiero w załączku, które dadzą się naprawdę we znaki dopiero dziś dojrzewającemu pokoleniu.

Ilość! Ilość! Musiałem abdykować ze sprawiedliwości, z moralności, z ludzkości — gdyż nie mogłem sprostać ilości. Za dużo ich było. Przepraszam! Ależ to równa się stwierdzeniu, że moralność jest niemożliwa. Ni mniej ni więcej. Gdyż moralność musi być ta sama w stosunku do wszystkich, w przeciwnym razie staje się niesprawiedliwa, a więc niemoralna. Ale ta ilość, ten ogrom ilości, skoncentrował się na jednym jedynym robaku, którego już nie wybawiłem — na którym przerwałem. Dlaczego on akurat, a nie inny? Dlaczego ten jeden musi płacić za to, że ich miliony?

Litość moja, kończąca się akurat w tym momencie — nie wiadomo dlaczego akurat na tym robaku, takim samym, jak wszystkie. Jest coś nieznośnego, nie do przełknięcia, w tej nieskończoności nagle skonkretyzowanej — dlaczego akurat ten? — dlaczego ten?... W miarę rozmyślenia nad tym moje samopoczucie staje się jakieś dziwne; mam wrażenie jak gdybym dysponował tylko moralnością ograniczoną... i fragmentaryczną... i arbitralną... i niesprawiedliwą... moralnością, która (nie wiem, czy to jasne) jest z natury swojej nie ciągła, ale *ziarnista*.

Sobota

Malarstwo... Bo ja wiem. Może przesadzam w tej fobii.

Nie będę przeczył, mimo wszystko, że w obrazie, nawet gdy jest wierną kopią natury, coś zniewala i przyciąga. Co to jest? Niewątpliwie — namalowany pejzaż co innego nam mówi, niż ten sam krajobraz w naturze, działanie jego na ducha naszego jest odmienne. Ale nie dlatego żeby malowidło było piękniejsze od natury, nie, malowidło będzie zawsze nieudolną pięknością, pięknością spartaczoną przez niezgrabną rękę człowieka. Być może jednak w tym kryje się sekret przyciągania. Obraz przekazuje nam piękność odczuta, już zobaczoną przez kogoś tj. przez malarza. Obraz nie tylko nam mówi: „Ten krajobraz jest piękny” ale także: „Ja to zobaczyłem i zachwyciłem się tym, dlatego to namalowałem”.

Jeśli zważymy, że kontemplacja przedmiotu, jakiby nie był (krajobraz, jabłko, dom, człowiek) wypełnia nas rozpaczą samotnością — bo wtedy znajdujesz się sam wobec Rzeczy i Rzecz cię przytłacza — może w tym lęku naszym wobec rzeczy, jako takiej, znalazłoby się wytłumaczenie paradoksalnego zjawiska, iż niedoskonały pień namalowany jest nam bliższy niż pień naturalny w całej swojej doskonałości. Pień namalowany — to pień przepuszczony przez człowieka.

Byłaby to troszkę woda na młyn tej idei mojej, że nie obcuję ze sztuką bezpośrednio, ale poprzez innego człowieka.

Piątek

Maciuś Kowalewski tępi mnie niemiłosiernie, ja dla niego jestem co się zowie demonem i korrupctorem!

Niedziela

Dziś znowu dyskutowali o malarstwie na herbatce u Atilia (o czymże mają dyskutować?). Ale sęk w tym, że o malarstwie nie można mówić. Te rozmowy przypominają więc dialogi niemych — cmokają, machają rękami, wyszczerzają się... „Jak to, nie rozumiesz tej plamy?”... „W tym jest coś... coś... coś takiego, wiesz, no...” „Cacy, cacy, teee... psiarew!”... „Genialne, słowo honoru!”

Po cóż mówią, jeśli są tylko od malowania? Zresztą język najznakomitszych dzieł traktujących o sztuce plastycznej nie o wiele jest bogatszy. I taka niema gadanina toczy się w ludzkości... toczy się...

Nie lubię tych...

Austriak, którego spotkałem u Poca Oddone. Architekt. Domaga się miast planowanych, wewnątrz racjonalnie estetycznych i funkcjonalnych itd. Powiedziałem, że ludzkość ma ważniejsze troski niż estetyka. Powiedziałem także, iż nadmierne wysubtelnienie poczucia piękna może nas przyprawić o nielada kłopot. Wytłumaczyć przeciętnemu mieszczaninowi, że jego szafa lustrzana, komoda i firaneczki są bohomazem, to obrzydzić mu do reszty życie. Przydałaby się nam raczej, w naszym ubóstwie, zdolność bardziej wszechstronna — odkrywania piękna we wszystkim, nawet w bohomazie.

Nie rozumiał. Przemądrzały. Europejczyk. Pouczający, Wykształcony. Nowoczesny. Architekt.

Witold GOMBROWICZ

Canelloni

Jadanie w restauracjach nie cieszyło się wtedy dobrą opinią. Nie wiem, czy tak było powszechnie, czy tylko w naszej rodzinie. Miałem wuja, który gonił światami. Nie słyszało się o nim przez lata. Nagle zjawił się, wyświeżony, w garniturze od zagranicznego krawca, rozsiewając wokół siebie woń egzotycznych pachnid. Już sam ten zapach budził we mnie niepokój. A cóż dopiero krawieckie naszywki pod kołnierzem jego marynarki i kolorowe naklejki na walizach! Sprawiało to, że wuj, sam dostatecznie nieprzenikniony, rósł wśród tych zapachów, naszywek i naklejek, jakby w dymie kadzidelnych woni, do wymiarów zgoliła nie zwyczajnych, w każdym razie większych niż wszystko, co mnie wtedy otaczało, a czego — chociaż było bliskie i codzienne — nie umiałem także nigdy pojąć.

Ów wuj, rodzony brat mojej matki, wtedy gdy przyjeżdżał — chociaż miał w Krakowie mieszkanie, nie stłował się nigdy w domu, tylko jadał w restauracji, albo na Wolskiej, w klubie.

To właśnie budziło zgrozę.

Panowała u nas niepodzielnie opinia, że stałe odżywianie się w restauracjach wiedzie prostą drogą do rozlicznych schorzeń, a w konsekwencji przyspiesza śmierć, poprzedzoną długim okresem strasznych żołądkowych męczarni.

Człowiek, który samochcąc skazywał się na taką przyszłość, musiał budzić zgrozę.

W wypadku wuja Rudolfa zgroza ta była moderowana innymi jego przywarami. Mówiono o nim mianowicie, że w czasie swego długiego pobytu w Małej Azji i na Bałkanach, miał po kilka żon na raz... Nikt tych „tureckich” żon wuja Rudolfa nigdy nie widział — przezornie nie przywoził żadnych stamtąd fotografii — ale wszyscy uważali „harem” wuja Rudolfa za fakt pożałowania godny, lecz prawdziwy. A ponadto, jak gdyby wyzywając w ten sposób cały Kraków swoją o pomstę do nieba wolającą dezynwolturą — chodził dwa razy dziennie do „saskiej”

restauracji. Kto wie, może drażniło to nawet bardziej, niż jego „tureckie” żony. Mamy zawsze pewną skłonność do pobłażliwości wobec przywar, których się nie afiszuje. Jest w nich wtedy — jak gdyby — przyznanie, że są przywarami i że je należy ukrywać. Restauracyjne „zgorszenie” natomiast dokonywało się w biały dzień, jawnie.

Kucharka moich rodziców, która bardziej niż moja matka uzewnętrzniała rodzinne uczucia, co parę dni rzewnie z tego powodu płakała.

— Pan inżynier — mówiła — na pewno się kiedyś struje... Żebyśmy chociaż dowiedzieli się na czas.

Wierzyła w możliwość odratowania zatrutych — mlekiem, byle zostało podane w porę.

Byłem do niej szczerze przywiązany, więc raz dlatego, by jej przynieść jakieś ściślejsze dane czym mianowicie stryj się tam zatrąwa, a po wtóre — ponieważ jako przekorny z natury, żywiłem niejaki wątpliwości co do tak powszechnych uprzedzeń do restauracyjnej kuchni i pragnąłem osobiście podjąć próbę ich sprawdzenia — niechby to nawet miało mnie kosztować parodniową niedyspozycję. Wymknąłem się zatem raz pod nieobecność rodziców, a za cichą zgodą dobrego pana Kamila, mojego domowego nauczyciela, do Hotelu Saskiego. Specjalnie niebezpieczne w restauracjach miały być — jak wieść domowa głosiła — *frytury*. Nic bliższego o nich nie wiedziałem. Ale jadąc z wujem dorożką ulicą Karmelicką, tylko o nich myślałem.

Duża sala zrobiła na mnie przyjemne wrażenie. Nie było karaluchów. A wedle przypuszczeń naszej Maryni, powinny były być. Podobno plagą domów w Krakowie sąsiadujących z restauracjami jest większa niż gdzie indziej ilość wszelkiego robactwa. Może jeszcze za wcześniej — pomyślałem. Pewno przyjdą później...

Wuj przejrzał kartę i podał mi ją z uprzejmym zapytaniem:

— Co wybierzesz?

Od dawna wiedziałem, co wybiorę! Należało to tylko znaleźć w karcie.

Z niepokojem przyglądałem się ozdobnemu pismu i wyszukany, często francuskim nazwom. Żadna z nich wszakże nawet w przybliżeniu nie przypominała złowróżbnego, a przecież pożądanego przeze mnie słowa.

Dłuższy czas wodziłem nosem po sztywnym i błyszczącym arkusiku.

Znudziło to wuja. Zawsze cechował go dobry apetyt.

Pochylił się ku mnie, już z rozłożoną serwetą, która zakrywała mu pół gorsu:

— No? — zapytał — czy się już zdecydowałeś?

Uznał widocznie, że jako gospodarz tego obiadu nie powinien mi niczego narzucać, ani też okazywać niecierpliwości, gdyż zaraz dodał, w formie sentencji, jak gdyby mój namysł pochwalał:

— Nie należy śpieszyć się przy obiedzie...

Było to czystą teorią, bo zawsze się przy obiedzie śpieszył.

Przeczytałem raz jeszcze całą kartę od góry do dołu. Zrobiło mi się gorąco, bo pożądaną potrawę w spisie nie było. Nie wypadało jednak dłużej zwlekać. Kelner stał obok, lekko pochylony i oczywiście ani trochę nie natrętny, ale czujny na każde skinienie, które nareszcie powinno nastąpić.

Przymknąłem oczy — po cóż patrzeć! — tego, co zamierzałem zamówić, w karcie nie umieszczono. Więc z determinacją, jaka mnie już nigdy potem w życiu nie cechowała, powiedziałem:

— Chciałem wybrać *frytury*...

Zdanie zawisło w powietrzu, gdyż nie wiedziałem, jak je zakończyć. Może — myślałem — palnąłem głupstwo. Może to jest tylko kuchenne wyrażenie, a na karcie jest napisane po francusku. Kelner jednak powinien wiedzieć.

— Co? — zaniepokoił się wuj.

Pochylił się znowu ku mnie i założył monokl.

Nie odważyłem się powtórzyć tajemniczego słowa. Miałem niejasne poczucie nietaktu, być może nawet — kompromitacji. Z bijącym sercem podchodziłem do sprawy okólną drogą:

Powiedziałem:

— Marynia mówiła, że w restauracjach...

Zrobiło mi się ponownie gorąco, bo pojąłem, że przecież nie mogę wypowiedzieć tego, co o restauracjach mówiła Marynia. Na szczęście przyszedł mi na myśl wybieg.

Odważnie, chociaż z zamkniętymi oczami, powiedziałem:

— Mówiła, że w restauracjach jest jakaś potrawa, która się nazywa „frytury”.

Wuj zastanawiał się chwilę. Pokiwał głową:

— Musiałeś coś przekręcić. Trzydzieści lat jadam w restauracjach — (wstrząsnęły mną dreszcze) — nigdy nie słyszałem...

Ale widocznie obudziła się w nim żyłka smakosza — i myśliwego. Podążył już tajemniczym tropem.

Skinął na kelnera i powtórzył mu moje życzenie. Kelner zrobił taką minę, jak gdyby spotkała go osobista przykreść. Wycofał się tyłem zapewniając, że przysłał dyrektora sali.

Było mi żal kelnera, bo obawiałem się, że spotka go jakaś kara. Za co? Tego nie wiedziałem. Miałem jednak, jak się okazuje, już wówczas trafne przeczucie, że rządzonej nie wolno nie zaspakajać zachcianek rządzących. Rzecz stawała się poważna, bo teraz, gdy ja byłem skłonny do zrezygnowania z niewczesnej zachcianki, pałał żądzą poznania jej mój wuj. A może była tego warta? Może świat ma jeszcze jakąś ukrytą rozkosz, której dotąd nie zaznał?

Prócz smakosza i myśliwego zjawił się w moim wuju w tej chwili jeszcze ktoś trzeci. Miałem niejasne wrażenie, że to „ten trzeci” pędzi go właśnie po świecie. To on, być może, wszył nieczytelne znaczki pod kołnierzami jego marynarek i kolorowymi naklejkami oblepił jego walizy. Delikatny zapach, którym były przesiąknięte ubrania wuja, załaskotał mnie w nosie. Po-

zornie zupełnie bez związku pomyślałem o „tureckich” żonach wuja, i już prawie żałowałem, że pan Kamil zgodził się tak łatwo na moją eskapadę. Czyżby nie wiedział, jakie tajemnicze niebezpieczeństwa mogą zaludnić nagle pustą salę nawet tak nieposzlakowanej restauracji hotelowej! Pewno ich nawet nie przeczuwał. Karaluchy, których oczekiwałem tutaj ze wstrętem, ale zdecydowany stawić im czoło, wydały mi się w tej chwili całkiem niewinnymi owadami.

Przyszedł dyrektor sali.

Z monoklem w ręce trzymanym jak lusterko na wysokości prawego oka, wuj zapytał:

— A frytury? Jak tam u was — są?

Dyrektor skrzyżował ręce na piersiach, jak gdyby się zaklinał, albo za coś z góry przeproszał, i złożył uroczyste oświadczenie:

— Nigdy! Nigdy nic podobnego! Osobiście doglądałam kucharzy. Ani tuta! Wszystko smażymy na deserowym maśle.

Ta solenna deklaracja zdumiała jak mi się wydało wuja, a nawet wytrąciła go na chwilę z równowagi. Wypuścił z palców szkiełko. Robił tak zawsze, gdy był czymś zaskoczony, albo gdy doznawał jakiejś przykrości. Stłukł mu się nawet monokl w czasie jednej długiej rozmowy z moim ojcem. Nie widziałem go potem lata. Teraz szkiełku nic nie groziło. Dyndało na jedwabistej wstążce.

Dyrektor zgiął się w ukłonie.

Wuj powiedział:

— No dobrze, już dobrze... Parę lat u was nie byłem, a na świecie...

Zawahał się. Wypuścił szkiełko. Z nagłym roztargnieniem, może smutkiem, dokończył:

— Wciąż się coś zmienia na świecie, mój panie.

Wiele widocznie zmieniło się w tych latach na świecie, bo wuj chwycił ręką wstążkę z dyndającym szkiełkiem, jak gdyby w obawie żeby się znowu nie rozbiło. Parę razy ją dłonią pogładził rozprostowując zagięcia. Nie udawało mu się to. Jedwabista tasiemka była krnąbrna, stawiała opór. Pętla zawieszona na szyi i spływająca miękko po klapach marynarki lśniła pięknie, ale na wysokości dolnych kieszonek w kamizelce, na przestrzeni paru centymetrów skręcała się uporczywie w obstrzępiony sznurek. Pieszczołtliwe muśnięcia nie umiały już przywrócić jej blasku. Wszystko tak błędnie, przemija, obumiera, czy też po prostu zmienia się w miarę upływu czasu.

Wuj zamyślił się. Wypuścił z palców dyndające szkiełko. Błysnęło kilka razy w półobrotach i dało nurka pod obrus. Wuj uniósł wzrok ku szklanemu stropowi. Przez wyczyszczone szyby spiętrzonego jeszcze wyżej również szklanego dachu, mimo, iż dzień był słoneczny, było widać chmury przemykające się szybko i bezszelestnie ze wschodu na zachód. Z głową uniesioną, patrząc być może na te chmury — ni to do mnie, ni to do dyrektora sali — może raczej do siebie — powiedział:

— Jak wcześniej tu u was kończy się lato. U mnie — jeszcze upały...

Znowu poczęło mi szybciej bić serce. Pomyślałem: — Gdzież jest to „u mnie” wuja Rudolfa? — i zrobiło mi się przykro. O jakiej stronie świata wuj myśli, i gdzie teraz są upały. Ogólnikowe określenie, „Mała Azja”, gdzie ostatnio przebywał, było dla mnie jedynie egzotyczną nazwą, która jednak nie przybierała żadnego określonego kształtu. Chyba tylko ten — z geograficznego atlasu: półwysp oblany morzami... Nie kojarzyło się to z żadnym konkretnym krajem, krajobrazem, czy bodaj z jakimś dającym się wyobrazić obszarem miasta albo wsi, związanym w sposób bezpośredni z moim wujem, tak jak z pojęciem moich rodziców łączyła się ściśle willa „Wanda” i ogród w miejscowości Purkersdorff-Ort pod Wiedniem, albo ulica Karmelicka w Krakowie — jak z dziadkiem kojarzył się las pateracki, a z rodziną mojej matki zapadlina rożnowska, Myczków, Gądomszówka pod Sączem — jeszcze zielona, ale już pochłaniana przez miasto — i cała w ogóle ziemia sądecka, ku górcom, między Dunajcem, Popradem a Białą — tak pięknie niegdyś opisana przez Łozińskiego. Tam stały nasze domy. Stamtąd i ja pochodzę. Teraz nasz dom jest na Karmelickiej... Gdzież jest dom wuja Rudolfa?

Dziś jestem koczownikiem i zdawać by się mogło, że do szczętu wymyśliłem się instynktowi osiadłości. Ale wtedy świat był jeszcze prymitywny, i także te sprawy układały się inaczej. Dom, na przykład, miał wielkie znaczenie. Tylko farnale nie mieli swoich domów i dlatego mieszkali w folwarcznych czworakach. Wydawało mi się to wówczas czymś wprost przeciwnym naturze. Gdzie, na przykład, miały się bawić ich dzieci — w ziemie? O mieszkaniach i w ogóle o życiu robotników w miastach, nie jeszcze nie wiedziałem.

Także pan Kamil miał dom rodzinny — w Jasle. I Marynia oczywiście miała swój dom — w Kasinie Wielkiej, do spółki ze swoją zamezną siostrą. Śliczny dom! Przywiozła mi raz stamtąd jego fotografię. Stał przy drodze. Nie tak obszerny, jak dom mojego dziadka i nie ocieniony lasem, ale także z ganeczkiem i rzędem ulów-stojaków — wystruganych w kłocu drzewa, stojących pod okapem — i sąsiedował z sadem.

Dzisiaj te rzeczy nie znaczą, bo się po prostu wsadza ludzi do wagonów, a domów przecież zabrać ze sobą nie można. Albo — las! Gdyby mój dziadek dożył był tych czasów, to by się pewnie nigdzie ze swojego lasu nie ruszył, tylko tam został. I Marynia miała w Kasinie jedną gruszę, która dla niej znaczyła więcej (tak mówiła), niż całe Planty w Krakowie... Gdzie jest zatem dom wuja Rudolfa? Tego nie umiałem sobie nawet wyobrazić.

Ale w głębi gwałtownie bijącego serca kształtował się obraz, którego nie chciałem do siebie dopuścić. Może on podniósł temperaturę mojej krwi i spowodował jej szybszy obieg. Wbrew woli wyobrażałem sobie teraz biały dom ze szczelnie zamknięty-

mi okiennicami. Tak pewnie — pomyślałem — wygląda harem, i tam jest siedlisko zapachów, którymi nasiąkły ubrania wuja. A okna są zasłonięte, bo tam jest straszny upał. Nic zapewne nie znaczące słowo wuja wkomponowywało się już w moje marzenie. Tak często bywa. Nawet nasze marzenia nie są naszą wyłączną własnością. Nawet o nich decydować nie możemy sami. Dzisiaj o tym wiem. Wtedy jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Ale ten obraz, który powstawał w mojej świadomości, sprawiał mi przykrość. Jeśli wuj Rudolf nawet ma harem — pomyślałem — to trudno. Takie tam są obyczaje. Ale — dom... Czy harem, to jest dom wuja?

Minęło już zamyślenie. Wuj przestał patrzeć na chmury. Dyrektor sali stał o trzy kroki od nas i już rozkrzyżował ręce — cały teraz w połyskach i uśmiechach.

Wuj także uśmiechnął się do mnie. Powiedział:

— Pokreć się coś oczywiście. Zapytaj lepiej Maryni.

Zamówił wiedeńskie sznycle.

Ale widocznie jakaś inna myśl tę poprzednią wyparła. Bo gdy dyrektor sali odszedł, nachylił się ku mnie i powiedział:

— Nie! Nie rozmawiaj o tym z Marynią. Nie chwał się lepiej w ogóle, że byłeś ze mną w „Saskim” na obiedzie.

Kelner serwował już sznycle.

Wiedziałem, że będą smaczne, z krążkami cytryny.

Nie myślałem więcej, co to właściwie są „frytury”. Wuj Rudolf posiadał niewyjaśnioną właściwość, o której zapewne nie wiedział — że przy każdym zetknięciu rozbudza we mnie tęsknotę, że mi coś jak gdyby ukazuje. Może perspektywy jakieś. Jakież? Tego nie wiedziałem wówczas, a także obecnie tego nie wiem.

Ale jego słowa wypowiedziane do dyrektora sali wtedy gdy wypuścił monokl z palców i gdy zadyndało śmieszne wypukłe szkielecko — całkiem zwyczajne słowa: „a na świecie... wciąż się coś zmienia na świecie, mój panie” — uniosły mnie gdzieś, albo coś poszerzyło się we mnie, może się otwarło, jak wieko jego walizy stojącej w tyle nalepek, albo jak melodia hotelowej orkiestry na podium w głębi sali. Grał właśnie partię solo pierwszy skrzypek. Zdawało mi się, że ledwo dostrzegalne pociągnięcia jego smyczka wprawiają w ruch górne warstwy powietrza pod samym szklanym dachem, że nawet w sposób niewidoczny przebijają go i mieszają się tam z odbiciem nieba widocznego przez wyczyszczone szyby, a może z przemykającymi szybko chmurami. Czy to gra skrzypek, powietrze, czy światło? — nigdy nie umiałem rozróżnić ścisłych granic rzeczywistości, ale obraz całości, chociaż spleciony, wydawał mi się jednak zupełnie wyraźny. Tak samo wówczas. Te nuty, które leżały na pulpicie przed skrzypkiem, ale na które grając nie patrzył — są, myślałem, na pewno podobne do znaczków wszytych w podszewkę pod kołnierzem lub na wewnętrznej stronie marynarek mojego wuja. Jeszcze kilka lat później — kilka lat, ale zmieniło się wtedy wszy-

stko — gdy pierwszy raz widziałem neonowe napisy świetlne przeskakujące migotliwymi literami na wysokości szczytowego piętra jakiegoś publicznego gmachu wzniesionego przez gminę wiedeńską — zdaje się, że była to łaźnia ludowa, słynny „Diana Bad”, дума burmistrza Seitza — wydawało mi się także przez dobrą chwilę, że to wuj Rudolf daje mi jakieś tajemnicze znaki. Zawsze gonił światami, a nawet balonem latał.

Nie było go już z nami. Tym razem wyjechał w najdalszą podróż, która wszystkich nas czeka. Nawet największych domatorów, nawet takich, którzy nigdy nie jadali w restauracjach. Walizy po wuju Rudolfie mnie przypadły. Długo je przechowywałem. Teraz już i ich także nie ma.

Gdy się uważnie przyjrzałem migającym literom, pierwsze niedorzeczne wrażenie oczywiście minęło. Były w Wiedniu wybory. Socjaliści austriaccy walczyli o samorząd. *Wehlt So-zi!* — „Wybierajcie socjalistów!” — to głosiły neonowe litery na tle nocy. Wiedeń wybrał. Ale potem noc zwyciężyła.

Z Marynią, zgodnie z wolą wuja, o eskapadzie do „Saskiego” nie rozmawiałem. Nie dowiedziałem się więc, co to właściwie są „frytury”. Dzisiaj mam już o tym ogólne pojęcie, ale tak niedokładne, że egzaminu kelnerskiego na pewno bym nie zdał. Ostatecznie mógłbym się o to zapytać, dowiedzieć — wielu znanych oficerów z Drugiego Korpusu i z Pierwszej Dywizji Pancernej pracuje w „Grosvenorze”, u Brauna, u Ritza, a także w wielu gorszych restauracjach hotelowych jako kelnerzy i czyszciciele sztućców. Tak jakoś jednak schodzi. Zresztą, pod tym względem nie wdalem się w wuja — nie jestem smakoszem. Gdy u mojego Włocha na South Kensingtonie (zaraz przy stacji), zamawiam „Canelloni”, mam niejasne poczucie, że woń tej potrawy ma jakiś związek z tamtym słowem zapamiętanym z dzieciństwa. Pamięć węchowa jest tak silna, że raz pomyślałem nawet o Maryni: gdyby mnie tu ujrzała, załamałaby na pewno ręce. Być może słusznie. Prawdopodobnie jest to istotnie powolne samobójstwo. Ale — lubię „Canelloni”. Pod tym względem jestem podobny do wuja Rudolfa. Jeżeli mi coś odpowiada, nie zwykłem tego ukrywać i gotów jestem ponieść konsekwencje. Lubię zresztą ryzyko.

Ale woń robi swoje.

W malutkim pokoiku, gdzie z trudem mieszczą się cztery stoliki w porze *lunchu*, zajęte zawsze do ostatniego miejsca — w zaduchu przesyconym kuchennym odorem, w którym przy głębszym oddechu umiem wyczuć smród przypalony i tłusty, wprawiający mnie po paru minutach w stan łagodnego zatrucia — na tle ściany ozdobionej wywieszkami obrazkowych reklam wielkich koncertów produkujących napoje orzeźwiające — zjawia się w mojej wyobraźni schludna postać. Ma na sobie, jak zwyczajnie, perkalikową jasną bluzkę w ciemno granatowe paski i nakrochmalony biały fartuch z szerokimi szelkami skrzyżowanymi na plecach i zawiązanymi na dużą szeleszczącą kokardę. Zza okularów w najtańszej oprawce o cieniutkich szkiełkach nie

większych, niż gołębie jajo i ściśle takiego elipsowatego kształtu, obrzeżonych drucikiem — patrzą na mnie jej oczy, poważne jak zawsze, w których uśmiech, jeżeli się nawet pojawiał, miał z reguły pobłask życzliwości wyrozumiałej dla ludzkich błędów, a nigdy ani cienia złości. Rzekłbyś — dwa obtoczone do równa i obmyte z wszelkiego brudu kamyki rzeczne, albo dwa paciorki różańca. (Są takie kolorowe kamyki w potoku na Słonem, w Rabce; pełno ich było zawsze w kieszeniach moich spodni w czasie wakacji. Różaniec Marynia nosiła zwykle przy sobie).

Te oczy patrzają teraz na mnie. Zdają się ostrzegać:

— Nie trzeba jadać w restauracjach. Czy panicz nie pamięta, jak się wielmożna pani niepokoiła zawsze o zdrowie pana inżyniera Rudolfa...

Poprzez szcęk ciężkiej zastawy restauracyjnej słyszę jednak te słowa. Potem rozwiewają się, toną. Zagłusza je odór bijący z talerza. Podano mi moją ulubioną potrawę: „Canelloni” w zapiekanym sosie.

Odór jest wszędzie. Wypełnia szczerlnie korytarzyk, którym codziennie przechodzę i norkę z czterema stolikami, gdzie jadam południowy posiłek. Rzecz dziwna. To przecież on zjawę wyzwarował, a teraz on ją odpędził. Tak bywa. Ta sama przyczyna różne skutki rodzi.

Nie ma już Maryni. Nie ma jej już od dawna. Leży na Rakowickim cmentarzu w pobliżu grobowca moich rodziców. Taka była jej ostatnia wola. Do grobu Maryni nie jest dalek, niż było z sypialni mojej matki do jej służbowego pokoiku. Prości ludzie w dawnych czasach miewali takie ambicje. Wydawało mi się dawniej, że to nie jest ważne. Dziś widzę, że się myliłem. Wodzę wzrokiem po ścianie, na której tle wykwitła przed chwilą dobrotliwa postać. Czytam reklamowe napisy: *Pepsi Cola ożywi was — Pijcie Pepsi Colę!* — i myślę o tym pięknym ogrodzie — z cyprysami — gdzie na ścieżkach wśród ciemnej zieleni jest zawsze taka cisza. Rozumiem teraz Marynię. Sam chciałbym tam leżeć.

Kwaterę tę łatwo znaleźć. Nie daleko od sporego niemal piętrowego budynku, pod którego klasycyzującym tympanem o spokojnych proporcjach jest napis: GROBOWIEC RODZINY LOTARYŃSKICH HRABIÓW DE LAVAUX. Zaraz na prawo. Tego budynku nie można nie znaleźć. Jak grób Matejki w głównej alei, stanowi on od bardzo dawna punkt orientacyjny dla dalszych krewnych z prowincji, którzy odwiedzają to miejsce rzadziej, zazwyczaj jedynie przy okazji rodzinnych zjazdów albo uroczystości: ślubów, chrzcina, pogrzebów — bądź też uniwersyteckich promocji. W Krakowie uniwersytet bardzo wiele znaczy. Dyplom uniwersytecki — w tamtych latach zgodnie z tradycją przechowywany w metalowym futerale mającym kształt długiej przeszło półmetrowej rury z cynkowej blachy, z okrągłą główką zamykaną na kluczyk, w której wnętrzu spoczywała wielka okrągła pieczęć woskowa z wyciśniętym na niej łacińskim napisem i dwoma skrzyżowanymi z sobą berla-

mi, insygniami autonomicznej władzy J. M. Rektora — puszył się w niejednym domu, a w kołach tzw. postępowej inteligencji ceniony był nawet wyżej, niż inne, dawniejsze pergaminy i „cytacje”. Stąd nie jest dowolnością, ani przesadą, gdy promocje Wszechnicy Jagiellońskiej stawiamy tutaj w jednym rzędzie ze ślubami, chrzcina i pogrzebami. W pewnym sensie miały one również charakter sakralny i jednocześnie — towarzyski. Tak przynajmniej mniemał mój ojciec. Mówił: „Cenię wyżej „dr”, niż „hr” przed nazwiskiem”... Jak łatwo się domyślić, mój ojciec był krakowskim konserwatystą.

Także napis jest z dala widoczny. Wykuto go w kamieniu pismem smukłym, łatwo czytelnym, jakim posługiwano się w czasach gdy panował jeszcze dobry smak klasycyzmu, nazywanego w starej monarchii, także stylem terezańsko-józefińskim. W literaturze galicyjskiej, styl ten przetrwał aż do tzw. Wiosny Ludów — poprzedzonej jak wiadomo „rabacją”, czyli „rzezią galicyjską” (1). Ostatnio, jak się obecnie mówi „w minionym okresie”, rzeź przechrzczono na „powstanie chłopskie” (2), co nie zmieniło wszakże, jak sądzę, treści tego wydarzenia, wspomnianego gorzko zwłaszcza w siedmiu powiatach (zwanych wówczas obwodami albo cyrkulami), z którymi jestem szczególnie blisko związany: w tarnowskim, bocheńskim, jasielskim, nowo-sądeckim, wadowickim, sanockim i rzeszowskim.

Z ogólnej liczby 728 pomordowanych, których nazwiska ustalano, 647 pochodziło z tych siedmiu obwodów. Był wśród nich także jakiś de Lavaux (w cyrkule bocheńskim) oraz dwaj moi stryjeczni dziadowie (w cyrkule nowosądeckim).

Nie wiem, kto projektował kaplicę i napis. Ale pobieżne kiedyś studia nad zabytkami architektury i rzeźby galicyjskiej z tego okresu, kierują moją podejrzliwość w stronę lwowskiej rodziny sztukatorów i rzeźbiarzy Schimserów (3), naśladowców Canowy. Wiele galicyjskich kościołów i cmentarzy zawdzięcza im swoje nagrobki. Dziś sprawdzić tego nie mogę. *Przewodnik po cmentarzach krakowskich*, który kiedyś przeglądałem (pióra J. Cyrankiewicza, Kraków, rok 1913), nie figuruje niestety w katalogu biblioteki British Museum.

Te duże doskonałe narysowane litery, mnie, jako od wczesnej młodości związanemu z drukiem, przypominały zawsze swoim krojem pismo akcydensowe noszące nazwę ITALIKI. Taką czcionką składaliśmy w „Naprzodzie” nekrologi i okoliczności-

(1) W literaturze zach.-europejskiej dotyczącej przedmiotu uitało się określenie *les massacres de Galicie*, zaczerpnięte zapewne z głośnej kiedyś broszury Leonarda Chodźki wydanej w Paryżu pod tym tytułem. (Paryż, 1861).

(2) CZESŁAW WYCECH: *Powstanie chłopskie w roku 1846*, str. 247, reprodukcje licznych rycin współczesnych i szeroko uwzględnione materiały archiwalne, zwłaszcza kroniki parafialne. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1955.

(3) Potomków Antoniego Schimsera, zmarłego w roku 1836.

we wiersze oraz niektóre artykuły Ignacego Daszyńskiego, którym chcieliśmy nadać największe znaczenie polityczne.

Takim pismem „złożono” w kamieniu — jeśli można się tak wyrazić — także tamten napis, który swym ciągiem dalszym, już znad grobu Maryni niewidocznym i którego treści dlatego dokładnie nie pamiętam — wzywa przechodnia do pobożnego westchnienia za dusze dawnych hrabiów lotaryńskich. Gdy odwiedzałem tę kwaterę byłem temu kamiennemu wezwaniu powolny. Dziś jeszcze — po latach — odnoszę wrażenie, że w takich chwilach współczesność łączy się z przeszłością i w ten sposób jak gdyby wzmocniona śmieiej patrzy w przyszłość.

Zawsze wydawało mi się, że zbyt pobieżnie studiowaliśmy historię Galicji i w ogóle Austro-Węgier. A szkoda. Mnie zastanawiał zwłaszcza jeden okres, z którego wywodzi się bezpośrednia nasza genealogia.

W dniu 13 października 1849 roku w mieście Arad powieszono 13 generałów węgierskich (w Budapeszcie rozstrzelano jednocześnie Batthyany'ego). Trzy lata wcześniej na niewielkim skrawku ziemi w ciągu kilku dni (od 18 do 24 lutego 1846) ofiarą „masakry galicyjskiej” otoczonej co najmniej „tolerancją”, jeżeli nie protekcją i cichą zachętą lwowskiego „gubernium” — padło 1100 pomordowanych. (Przyjmuję liczbę podaną przez Wycecha, gdyż jego opracowanie wydaje mi się najbardziej źródłowe, chociaż we wnioskach i ocenach znać wyraźnie, że powstało w latach stalinizmu (4). Dawniejsze szacunki i żywa jeszcze przed kilkudziesięciu laty tradycja ustna, podawały liczby wyższe).

(4) Na stronie 125 i 126 swojej pracy opisuje Wycech przebieg wydarzeń we wsi Oleśno (obwód tarnowski). W dniu 20 lutego 1846 roku zamordowano tam wówczas 26 osób. Wśród zamordowanych znajdował się Karol Kotarski, spiskowiec, za którego głowę władze austriackie wyznaczyły wysoką nagrodę pieniężną, gdyż był podejrzany o przygotowywanie działań powstańczych. Oto odnośny opis i wnioski Wycecha: „Gdy chłopci prowadzili Kotarskiego na śmierć, wówczas przeciw nim wyszedł ks. Kaznowski z procesją z Najświętszym Sakramentem i przy pomocy kościelnego pochodu i pieśni nabożnych chciał przeszkodzić w wykonaniu wyroku śmierci na ludziach dworskich. Jednakże lud nie zeszedł z obranej drogi. Uzbrowieni chłopci, grożąc widłami, kosami i szablami ks.żom, siłą wepchnęli z powrotem pochód do kościoła, który sześć razy przetrząsnęto. Wówczas to pod adresem pochodu z księżmi na czele, pochodu w obronie Kotarskiego i ludzi dworskich, chłopci wolali: „Dzisiaj nie ma Boga, już dość tego, schowaj to! (Tj. monstrancję — przyp. autora). Precz z panami, precz z księżmi! My teraz panować! My urząd!” Ks. Kaznowski oraz wikary ledwo z życiem uszli. Wikary ukrył się w karczmie, a proboszcz Kaznowski odpędzony od ołtarza, bo odprawieniem nabożeństwa chciał się obronić, ukryty został w najbliższej chałupie przez baby...”

„Karola Kotarskiego oraz 25 innych osób uśmiercono tego dnia. W walce tej przewodził chłopom itd... W najściu na dwór brali udział chłopcy ze wsi itd... Zabitych odstawiono władzom cyrkulamy w Tarnowie...”

„Po straceniu ludzi” — pisze dalej Wycech — „rzucano się na rozbieranie mienia pańskiego. Wszystkie opisy nie zawierają szczegółów tej materii. Zarówno żona jak syn K. Kotarskiego twierdzą, że za jego głowę

Podjąć współpracę — ze stron obu — ponad tamtymi pohańbionymi trupami, ponad świeżo wytoczoną krwią tyłu ofiar — na pewno! — to nie mogło być łatwe. A jednak! Notuje historyk: „W dzień rozbicia ostatnich barykad lwowskich wrogimi kartaczami — dnia 2 listopada 1848 roku — w Krakowie trzask maszyny drukarskiej towarzyszył narodzinom nowego pisma. Nazwano je „Czasem”, bo istotnie nastawał nowy czas w polityce i życiu kraju... (5)”.

Wahadło zegara dziejów odchylił się jeszcze nie jeden raz w przeciwną stronę. Przejście od rządów gwałtu do panowania prawa nie jest łatwe i nigdy też nie bywa szybkie. (Wręcz przeciwnie, niż proces odwrotny). Miną lata zanim rany zbliznią się. Narodzi się i zamrze mnóstwo koncepcji ustrojowych — od oparcia władzy o niemal ludowy parlament pochodzący z wyborów powszechnych (6), poprzez krajowe sejmy stanowe z bardzo ograniczoną reprezentacją mieszczaństwa, aż do ściśle centralistycznych rządów absolutnego monarchy. Przejdzie nad tym regionem Europy kilka wojen; dwie z nich Austria przegra. Wojna Krymska omal nie przerodzi się w wojnę światową — ale nawet bez tego zmieni całkowicie dawny układ sił na obszarze między wschodnimi Karpatami i Alpami Transylwańskimi (mię-

obiecano 1000 guldenów, jednak nic nie mówią, czy je chłopom wypłacono. Premia za głowę zabitych nie mogła być ani główną, ani wyłączną przyczyną rozprawy z dworem w Oleśnie. Przemawiają za tym dwa fakty: zorganizowanie przez chłopów sądu nad Karolem Kotarskim oraz okrzyki wznoszone przy rozpędzaniu procesji, a *świadczące o wysokim uświadomieniu politycznym chłopów feudalnych*”. (Podkreślenie moje — W.W.).

A na str. 109: „Akcja zabijania panów była działalnością celową, a w znacznej części i świadomą”.

Wielka szkoda, że Wycech nie zna Marksa, ani też nie czytał jak sądzę klasyków marksizmu. Gdyby znał — nie byłby tego napisał! Nie długo po „masakrze” roku 1846 i pod jej świeżym wrażeniem, Fryderyk Engels nazwał chłopów galicyjskich „nierozwiniętym jeszcze żywiołem rewolucyjnym”, a Marks na łamach „Nowej Gazety Reńskiej” („Neue Rheinische Zeitung”) potępił surowo ich uległość wobec podszeptów administracji austriackiej oraz ich „wrogość wobec pierwszej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji w Polsce”. Ci sami pisarze ogłaszając w dwa lata później „Manifest Komunistyczny” ocenili działania rewolucyjno-powstańcze w Galicji w roku 1846 jako „przykład dla całej Europy”, zwłaszcza jeżeli idzie o śmiałość programu społecznego zawartego w manifestie krakowskim z dn. 22 lutego. Wycech „poprawiający” Marksa! Wycech *plus marxiste que Marx lui même!* — doprawdy, to zabawne.

(5) MARIAN TYROWICZ: *Galicja od pierwszego rozbioru do Wiosny Ludów* — „Wybór tekstów źródłowych”. Str. 336, liczne wykazy i indeksy oraz mapa Galicji. Kraków-Wrocław, 1956. Wydawnictwo Zakładu im. Ossolińskich.

Wiele szczegółów historycznych przytoczonych w tym opowiadaniu pochodzi z prac Tyrowicza.

(6) Wybory powszechne (dwustopniowe) odbyte w czerwcu 1848 r., wprowadziły chłopów galicyjskich po raz pierwszy w dziejach narodu polskiego do parlamentu. (31 mandatów, w tym 14 uzyskali chłopci wschodniogalicyscy — Rusini).

dzy dolnym biegiem Dniepru i dolnym biegiem Dunaju), czego następstwem będzie głęboki rozdzźwięk w „świętym przymierzu” i długi okres naprężenia austriacko-rosyjskiego, które oczywiście wywrze wpływ już bezpośredni na proces demokratyzacji monarchii habsburskiej. Niektórzy historycy angielscy (7) interesujący się wschodnią Europą przywiązują taką wagę do wpływu polityki zagranicznej na ewolucję stosunków ustrojowych, że rozwój stosunków wewnętrznych w Austro-Węgrzech w drugiej połowie ub. wieku wymieniają jako przykład. Wydaje się, że skłonni są przypuszczać, iż Austria zawdzięczała swoją konstytucję *w większej mierze konkurencji austriacko-rosyjskiej* na ziemiach dawnych gospodarstw Mołdawii i Wołoszczyzny (i na Bałkanach), *niż ruchom rewolucyjnym w samej monarchii*. Trudno wypowiadać jakiś sąd arbitralny na ten temat, ale hipoteza ta warta jest, jak sądzę, ponownego przemyślenia. Absolutni władcy, którzy z jakichś powodów chcą się stać atrakcyjni dla swoich „umiłowanych ludów”, odczuwają zazwyczaj nagły pociąg do demokracji... Nie trzeba im oczywiście wierzyć — ale koniunkturę należy wyzyskać.

Politycy galicyjscy owych lat — wszyscy niemal „w poprzednim okresie” ex-powstańcy i ex-więźniowie — poczęli to około połowy ubiegłego wieku powoli rozumieć.

Galicia zazna jeszcze kolejno dreszczów nadziei i grozy rozpacz (8) lochy Kufsteinu i słynnej Grajgóry, opróżnione w roku 1848, będą się jeszcze napelniać buntowniczymi „Galicianami” oraz napływającymi coraz liczniej emisariuszami i spiskowcami, będą jeszcze od czasu do czasu skrzypieć szubienice — ale *ostatecznie* ówczesna „odwilż” środkowo-europejska zwycięży.

Zdumiewało mnie zawsze dlaczego historiografia polska, która zajmowała się wielokrotnie i obszernie dziejami tzw. ugody w b. Królestwie Kongresowym i postaci na przykład Wielopolskiego poświęciła liczne i interesujące monografie, nie zdobyła się do tej pory na nowoczesne, wyczerpujące opracowanie polityki galicyjskiej, zapoczątkowanej przez Smolkę, Ziemiałkowskiego, Gołuchowskiego, Wacława Michała Zaleskiego — żeby wymienić jedynie nazwiska w tamtych latach najbardziej znane. Czyżby dlatego, że była to w okresie porozbiorowym *jedyną polską polityką nie szafującą lekkomyślnie krwią i wwieńczoną sukcesem?*

W historii każdego niemal narodu istniały ponure „okresy poprzednie”. Wielu najszlachetniejszych ludzi medytowało wtedy

(7) C.R.M.F. CRUTTWELL: *European History 1814-1878*, London, C. Bell and Sons Ltd. 1930.

(8) Ciekawostka. Gubernator Galicji Auersperg kazał zmienić inwokację w Litani Loretanckiej: „*Królowo Korony Polskiej*” na „*Królowo Galicji i Lodomerii*” mół się za nami!... Biskup przemyski Józef Kiki *przekazał* nakaz gubernium duchowieństwu swojej diecezji.

zawsze nad utopią sprawiedliwości w stosunkach między narodami i klasami społecznymi. Często byli przykuci do ściany. W krótkim dwudziestoleciu międzywojennym, gdy mogło się wydawać, że Europa środkowa w pewnej przynajmniej mierze uzyskała to, o co walczyły wszystkie spiski narodowo-wyzwoleńcze w całym wieku dziewiętnastym — wolno było za zezwoleniem władz czechosłowackich zwiedzać Spilberk. (Tak zwała się wtedy oficjalnie Grajgóra). Także w republice austriackiej turyści byli mile widziani w Kufsteinie. Za drobną opłatą można tam było przymierzyć autentyczne kajdany. Nie skusiły mnie wszakże te pomysłowe atrakcje. Znałem z ustnych tradycji relacje z tego rodzaju historycznych miejsc kaźni, a ponadto — być może — nie byłem całkiem przekonany, że to już tylko zażytki przeszłości. Poczuć żelazo na rękach — tak myślałem — na to chyba nigdy nie jest za późno... Polacy mieli zresztą taki dziwny przywilej, że co innym dawno już zostało zaoszczędzone, długo jeszcze mogli zaznawać na własnej skórze. Pużak opowiadał mi przed laty, jak to było od wewnątrz w Szlisserburgu, a Kwapiński parę dni temu uzupełnił moją wiedzę w tym przedmiocie opowieścią o swoich dziesięciu latach katorgi w Orle. (Mieszka w Londynie. Łatwo sprawdzić). Mamy zresztą doświadczenia świeższe. Znany mi osobiście bundowiec z Tarnowa, krawiec żydowski Lieber Leon Gotlob opisał np. ostatnio w sposób szczegółowy, jak „w poprzednim okresie” traktowano więźniów politycznych w Krakowie... (9).

Myślenia politycznego nie można wszakże ograniczać do samego tylko rozpamiętywania krzywd i zbrodni.

Obok Pużaków i Kwapińskich, czyli — jeżeli chodzi o interesujący nas tutaj okres — obok braci Wiesiołowskich, Teofila Wiśniowskiego, Edwarda Dembowskiego, Bułharyna, Słotwińskiego (10), obu Goslarów (11), Tyssowskiego, Gorzkowskiego,

(9) „Robotnik”, Nry 7, 8, 9, 10. Londyn, 1957.

(10) Nie mogę mego opowiadania zmienić na nudną pilę przyczynką, więc tylko kilka najniezbędniejszych słów. Spośród rewolucjonistów galicyjskich owego okresu Konstanty Leliwa Słotwiński, (1793-1846), był chyba postacią najbardziej tragiczną. Prawnik i publicysta, człowiek w całym tego słowa znaczeniu oświecony, redaktor „Czasopisma naukowego księgozbioru publicznego im. Ossolińskich”, dyrektor „Ossolineum” w latach 1831-34, był zapalonym propagatorem oświaty ludowej („chłopomanem”, jak wyrażano się wówczas) i wydawcą konspiracyjnych druków. Za konspiracyjne wydanie zabronionego wówczas w Galicji tomiku wierszy Mickiewicza, został w roku 1834 skazany na 10 lat „ciężkiej fortacy” w Kufsteinie. Po odciernieniu znacznej części kary wrócił do wsi rodzinnej Globikowej. W lutym roku 1846 w czasie „masakry galicyjskiej” został tam zabity. („Celowo”... „świadomie...”).

Postać Słotwińskiego przypomniał ostatnio Teofil Syga w pięknej książce o pierwszych edycjach mickiewiczowskich. (*Te księgi proste*, str. 329, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1957).

(11) W przygotowaniach rewolucyjno-powstańczych w Galicji w latach czterdziestych uczestniczyło dwóch braci Goslarów. Starszy z nich,

Lissowskiego, i iluż, iluż bezimiennych! — obok „Spisku Bocheńskiego” i „Sprzysiężenia Służących” (12) — znalazło się na szczęście także kilku *innych odważnych ludzi*, — którzy pewnego dnia wypowiedzieli zniechędzone słowo „ugoda”. To, czego nie zdołali wywalczyć z bronią żołnierze, wywalczali od tej chwili statystyci: *prawo istnienia jako naród*.

Julian Maciej, jest prawdopodobnie najciekawszą postacią galicyjską sprzed stulecia.

Był on czynny nie tylko na lokalnym gruncie, ale odgrywał znaczną rolę w międzynarodowym ruchu rewolucyjnym. Wśród polskich spiskowców stał na skrajnej lewicy. Teren działalności: przed rokiem 1846 i w czasie lutowej rewolucji — głównie Tarnów, Kolbuszowa i obwody jasielski i sandoński, oraz specjalnie wieś Bobowa; w latach 1848 do 1852 głównie Wiedeń i Graz.

W ostatnich dniach lutego 1846 we wsi Haczów w czasie odczytywania gromadzie włościan proklamacji rewolucyjnej Rządu Narodowego — tej, która tak zachwyciła Marksa — Goslar został skatowany („...celowo”, „świadomie”...) oplwany i spotwarzany. („...Chciał ludzi wyrzynać i zastrzelić księdza”...) po czym na furze używanej zwykle do wywożenia gnoju odstawiono go „zu Befehl” do najbliższego cyrkułu. Wyrok śmierci wydany w parę miesięcy później we Lwowie zamieniono Goslarowi w apelację na 18 lat ciężkiej fortocy. Rewolucja 1848 r. przywróciła mu wolność. Już we wrześniu tego roku walczył w szeregach rewolucyjnej „Legii Polskiej” pod rozkazami gen. Bema na ulicach Wiednia przeciwko wojskom cesarskim. W styczniu 1849 r. pojmany i skazany na 5 lat katorgi w Kufsteinie. Nowa amnestia przywraca mu ponownie wolność. Goslar po raz trzeci wraca do konspiracji — tym razem na skalę znacznie szerszą. Istnieje w tych latach w Londynie międzynarodowa centrala rewolucyjna pod nazwą Komitet Demokracji Europejskiej: Mazzini, Kossuth, Hercen, Bakunin oraz dwaj Polacy — Wojciech Darasz i Stanisław Worcell. Z ich ramienia Goslar działa parę lat konspiracyjnie w Austrii i w roku 1851 wypracowuje ni mniej ni więcej tylko plan ogólnego powstania, które miałyby objąć jednocześnie całą Europę środkową. Dnia 5 lutego 1852 w jednym z fortów wiedeńskich ustawiono dwie szubienice. Na jednej zawisł Maurycy Pataky, dawny adwokat budapeszteński i uczestnik powstania węgierskiego, emisariusz centrali londyńskiej — na drugiej bliski jego współpracownik — Julian Maciej Goslar. „*Wieszcz Grajgóry*” — jak go nazywali współcześni.

Prócz działalności rewolucyjnej parzył się Goslar poezją. Z całej wskazze jego puścizny rękopiśmiennej zachował się do naszych czasów tylko jeden jego list (z więzienia w Sanoku). Także grób Goslara nie jest znany. Tak, rzec by można — *bez reszty*, przemijają plebejscy rewolucjoniści. Jest w tym szczególnie patos.

(12) Tarnów był w dziesięcioleciu 1836-1846 jednym z najżywszych ośrodków rewolucyjnych w Galicji. „Sprzysiężenie Służących” założył Michał Doroba lokaj adwokata tarnowskiego Radkiewicza oraz Paweł Kurpiel, lokaj osławionego starosty tarnowskiego Breinla v. Wallenstern. Wycech podaje, że „Sprzysiężenie tarnowskie — podobnie jak bocheński „Spisek” — było odpowiednikiem ideowym i organizacyjnym lepiej znanego poznańskiego „Związku Plebejuszy”. Były to pierwsze konspiracje rewolucyjno-patriotyczne, do których należeli galicyjscy robotnicy i górnicy (saliny w Bochni).

Zygmunt Zaremba w swojej ostatniej książce (13) przedstawia sytuację w Kraju na wiosnę 1945 w następujących słowach:

„Przejęcia czasów okupacji przyzwyczaiły nas do znoszenia nieszczęść, ale teraz rzadko kto z działaczy Podziemia potrafił oprzeć się paraliżującemu wole przygnębieniu. Czułem to dobrze po sobie. Jeśli przygnębienie nie przekształcało się w rozpacz, jak w roku 1940, to chyba dlatego tylko, że klęska, która spadła na nas, *nie miała grozy biologicznego zniszczenia narodu*. Tego byliśmy pewni. Wystarczało porównanie stylu życia nowych panów z poziomem kulturalnym naszego chłopca czy robotnika, by zdobyć pewność, że *jako naród ostoimy się zalewowi*”.

A kilka stron dalej:

„Można było wyrzekać losowi, ale nie było sposobu, by go odwrócić... Nie pytano Polaków o zdanie, a naród musiał znaleźć w tym nowym państwie możliwość zagospodarowania się i dźwignięcia z ruin. Stały przed nim ogromne zadania, wśród których przesiedlenie wielkiej części ludności i zaludnienie opustoszałych ziem odzyskanych stanowiło już samo przez się zadanie na miarę olbrzyma. Należało je wykonać... *jeżeli naród polski nie miał się przekształcić w rozproszoną, skazaną na zagładę, grupę etniczną*”.

A oto wniosek polityczny, który jak sądzę warto tutaj przytoczyć:

„Podziemie stało się anachronizmem, przebyłym już etapem w dziejach narodu. Etapem wielkiego znaczenia i pełnym tytułów do chluby, ale już definitywnie zamkniętym... Zmieniły się warunki polityczne, więc zmienić się musiały także formy pracy i walki”.

Zawsze tak bywa. Marksisci wierzą, że proces historyczny — to „proces przechodzenia od zmian ilościowych do zmian zasadniczych, jakościowych, zmian rewolucyjnych” (14). Godząc się na tę formułę należy wszakże pamiętać, że po okresach burz, tempo przemian ulega zazwyczaj zwolnieniu. Następuje wtedy okres tzw. pracy organicznej, okres przemian powolnych, ewolucyjnych. To miał zapewne na myśli Marks pisząc do Engelsa (15). „*20 lat znaczy tyle co jeden dzień w wielkim rozwoju historycznym, chociaż później mogą przyjść takie dni, w których skupia się po dwadzieścia lat*”. Trzeba czytać Marksa.

(13) ZYGMUNT ZAREMBA: *Wojna i konspiracja*, str. 348 z portretem autora. B. Świdorski, Londyn, 1957. Obszerniej omówi książkę Zaremby autor niniejszego opowiadania w jednym z najbliższych numerów „Kultury”.

(14) HENRYK KATZ: *Zagadnienie walki klasowej i rewolucji jako punkt wyjścia i podstawa periodyzacji historii*, „Przegląd nauk historycznych i społecznych” tom I, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź, 1951.

(15) W. LENIN: *Karol Marks*, „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1948.

Napisał Stefan Kisielewski: „Rzeczywistość tworzą ci, co się uginają, nie ci, co są sztywni”, Marksisci nie mogliby się zgodzić z tą sentencją. Marks nie „uginął się”. Nie zadawała go rejestracja faktów i dostosowywanie się do nich. Uczył jak wpływać na rzeczywistość. *Świadomość! Wola!* — oto Marks.

Engels wyrażał myśl Marksa w sposób nieco bardziej poetki. Rewolucja jego zdaniem to „skok z rzędu konieczności do rzędu wolności”. *Wolność!* A więc znowu domena, gdzie rozstrzyga *wola ludzka*. Plechanow, najwybitniejszy niewątpliwie teoretyk marksizmu rosyjskiego kładł jeszcze silniejszy nacisk na czynnik *wolnej woli* w kształtowaniu historii. Całe przedrewolucyjne dzieje ludzkości to dla niego zaledwie „prolog”. „Właściwa historia”, to znaczy historia *świadomości kształtowana przez ludzi* miała zacząć dopiero po rewolucji. „Prolog historii kończy się na niej i właściwa historia może się dopiero rozpocząć”... Tak dosłownie brzmi odnośne proroctwo.

Lenin będący rzec by można samą sprężoną wolą, zwracał się z całą ostrością przeciwko tym kierunkom niemieckiej a także rosyjskiej myśli socjalistycznej, które wszystko chciały pozostawić „spontanizmowi rozwojowi społecznemu”, mającemu rzekomo także bez rewolucji doprowadzić w sposób „nieuchronny” do socjalizmu. Taki osobliwy *laissez-faire*’yzm musiał być rzeczą prosta dla aktywnego usposobienia Lenina całkowicie obcy. W przeciwieństwie do tych, którzy kładli wszystko na kartę „spontanizmu” (*stichijnost*), Lenin podkreślał stale konieczność rewolucyjnej *świadomości*. („*Sozdatelność*”). Przeciwnie więc niż Kisielewski — *zdawał się wierzyć, że dzieje tworzą „sztywni”*... Cenił zbyt wysoko Kisielewskiego, abym mógł przypuścić, że o tym nie pamiętał. Niefortunna jego formułę kładę po prostu na karb tzw. pośpiechu redakcyjnego. (Był wtedy na wyjeździe. Spieszył się do Londynu. Bardzo serdecznie go tutaj powitałem). *Sprawa „sztywnych” i tych, którzy się „uginają” nie wydaje mi się taka prosta*. Dzieje, jak Janus, mają dwa oblicza. Przecistawiając się doktrynie wieczystych maksymalistów, stawiających przed narodem zawsze tę samą alternatywę: negacja całej rzeczywistości albo — otchłań zdrady i infamii, napisałem: „Obok Pużaków i Kwapińskich — czyli — jeżeli chodzi o interesujący nas tutaj okres — obok braci Wiesiołowskich itd.”... *Obok* — nie *zamiast!* To jest wielka różnica. Nie trzeba być jak sądzę socjalistą, żeby dostrzec *dialektyczną współzależność zjawisk pozornie sprzecznych* i zrozumieć tym samym jedną z podstawowych tez marksizmu. Walka — i „jedność przeciwników! — oto, czego uczy marksizm.

Z marksowskiego punktu widzenia teorię tę należy zastosować również do przeciwnictwa: „sztywni” — „uginający się”, które Kisielewski zdaje się uważać za nieprzewyciężone. „Sztywni” są niemniej potrzebni, niż ci, co się „uginają”; w pewnych okresach być może są nawet bardziej potrzebni. Bez nich bowiem ktoś w ogóle byłby zauważył — „uginających się”?...

Dygresja muzyczna.

Jest taki śliczny kaprys Ravela pt. „*Ma Mère l'Oie*”, napisany na cztery ręce i na dwa fortepiany. Czyżby Kisielewski-muzyk był zdania, że można rzecz zagrać także jednym palcem?

Nie podejmujemy sporu na temat, co ważniejsze: ogień czy woda, masło czy armaty...

Engels pisze (16):

...„historia powstaje w ten sposób, że wynik końcowy wypływa stale z konfliktów między wolą wielu jednostek, przy czym wola każdej jednostki określana jest z kolei przez mnóstwo warunków życiowych. W ten sposób z niezliczonego mnóstwa krzyżujących się wzajemnie sił... wynika jako wypadkowa — wydarzenie historyczne, które może być z kolei rozpatrywane jako wytwór potęgi działającej jako całość nieświadomie i bezwolnie. Albowiem temu, czego chce każda poszczególna jednostka, przeszkadza każda inna i to, co wynika, jest czymś, czego nikt nie chciał...”.

Nie ma pewności. Wszystko opiera się na rachunku prawdopodobieństwa.

Być może opowiadanie to jest nieco chaotyczne. Pracuję w warunkach nie sprzyjających skupieniu. Taśma na mojej maszynie do pisania już się przeciera, a mogą się zdarzyć trudności z *Assistance Board*’em i nie wiem, jak wtedy zapłacę komorne. Zdaje się, że niebawem wyładuję w *basement*’cie u „Tazaba”, gdzie już wielu moich przyjaciół pakuje paczki wysyłane do Polski. Pocieszam się tylko tym, że nasi poprzednicy na tej wyspie, członkowie chłopsko-socjalistycznych „gromad” przed stuleciem, mieli się jeszcze gorzej. W epoce trójwymiarowego filmu kolorowego, gdy na podstawie kursu akcji, cen towarów i wysokości stopy procentowej umiemy przewidywać koniunkturę „cyklu ekonomicznego”, a tym samym możemy przeciwdziałać „nieuchronnemu” zjawisku kryzysów gospodarczych — gdy w przestrzeni międzyplanetarnej krążą już dwa sowieckie sztuczne księżycy — trudno zaiste znajdować zadowolenie w konwencjonalnym literackim ecie-pecie. Wszystko to zresztą należy do kolorytu obrazu — panoramy być może jakiejś — którą chciałbym namalować. *Passons*. Piszmy dalej.

Uniosłem głowę znad talerza. Dogasały już na nim ostatnie szczątki „Canelloni” w zapiekany sosie. Jak zwykle po spożyciu tej smakowitej, chociaż niezdrowej potrawy dokuczało mi pragnienie. Ze wszystkich czterech ścian nędznej izdebki uśmiechają się twarzyczki *pin-up-girls*’ów, uosabiające rzec by

można rzeźkość tych mieszkańców olbrzymiego miasta, którzy zaufali masowej reklamie i piją napoje chłodzące produkowane przez potężne koncerny. Czytam reklamowe napisy: *Pijcie Pepsi-Colę — Pepsi-Cola ożywi was...* i myślę o czasie, który przeminął, albo — jak należałoby raczej powiedzieć — o czasie który się odmienił.

Uprzejmie uśmiechnięci stali stołownicy mojego Włocha starają się jeszcze bardziej ścieśnić, aby mi umożliwić przejście. Wśród tych półuśmiechów, jak gdyby skopiowanych żywcem z reklamowych wywieszek — na które odpowiadam równie martwym półuśmiechem — aż zadziwił mnie melancholijny temat niniejszego opowiadania. Bo, rzeczywiście! Skąd mi to przyszło?

Rzecz stała się natychmiast jasna, gdy wyszedłem na powietrze. Jeden oddech wystarczył.

— No tak — pomyślałem. — To zapach!

Nie należy lekceważyć zmysłu powonienia. Antoni Lange opisując niegdyś Paryż, podzielił go na strefy zapachów. Rue de Medicis na przykład — i dzielnica ha! Moje natchnienie, jak mi się wydaje, jest tym razem ściśle umiejscowione: w spię potraw. Pozycja trzecia od góry: Canelloni 3/6 porcja.

Wiesław WOHNOUT

CZASOPISMA KRAJOWE

naukowe, techniczne, przyrodnicze, medyczne, humanistyczne — wszystkie dziedziny wiedzy ścisłej i stosowanej; popularne tygodniki i magazyny ilustrowane, periodyki społeczne i literackie (*Tygodnik Powszechny* — *Życie Literackie* — *Przegląd Kulturalny* i inne); czasopisma kobiece (*Kobieta i Życie* — *Przyjaciółka*); piśmka dla dzieci (*Świerszczyk* — *Plomyczek* — *Plomyk*); specjalne czasopisma dla emigracji: *Magazyn Polski* — *Polska* — *Hejnal Mariacki* — *7 Dni* — *Nasza Ojczyzna*. W Stanach Zjednoczonych A.P. i Kanadzie prenumeratę na wszystkie czasopisma krajowe przyjmuje i numery okazowe wysyła:

VATRA TRADE

277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man., Canada.

Wysyłamy także ze składu w Kanadzie lub Stanach Zjednoczonych
KRAJOWE PŁYTY GRAMOFONOWE MUZA.

Z kraju zachodzącego słońca

Od kilku miesięcy przy stolikach literackich w kawiarniach rzymskich utarło się prawie jak sakramentalny uścisk dłoni pytanie: Czytałeś „Żonę Villona”? Chodzi o nowelę pod tym tytułem młodego i tragicznie zmarłego pisarza japońskiego Osamu Dazai, która ukazała się w czerwcowym zeszytach miesięcznika „Tempo Presente”. Włoscy admiratorzy „Żony Villona” mogliby już stworzyć coś w rodzaju wcale liczego i doborowego klubu smakoszy egzotycznej kuchni pisarskiej z orientalnymi przysprawami.

Osamu Dazai urodził się w roku 1909 w bogatej półarystokratycznej rodzinie na północy Japonii. Uczył się w gimnazjum doskonale i od najmłodszych lat zdradzał pociąg do pióra, jak również skłonności do cygańskich nawyków, które smugą cienia położyły się na całej jego dalszej karierze życiowej. Nim doszedł do pełnoletności, miał już za sobą dwa nieudane zamachy samobójcze. W roku 1930 zapisał się na wydział literatury francuskiej uniwersytetu w Tokio. Nie mówił ani słowa po francusku wybierając ten przedmiot studiów, ale spobowanie się na Paryż należało podówczas wśród początkujących literatów japońskich do dobrego tonu: po części dlatego, że japońskie tradycje literackie miały znacznie więcej punktów stycznych z francuskim symbolizmem czy surrealizmem, niż z „faktografią” pisarzy anglosaskich, a po części dzięki magicznemu urokowi jaki w Kraju Wschodzącego Słońca rzucała legenda „vie de Bohème”.

Dazai opuścił uniwersytet w roku 1935 w stanie „dziewiczym” — nie tylko bez stopnia naukowego, ale bez ani jednego wysłuchanego wykładu i zdanego egzaminu. W ciągu tych pięciu lat zajmował się wyłącznie pisaniem, piciem, morfinizmem i politykowaniem na skrajnej lewicy. Jego nowele zwróciły pierwszy raz uwagę, gdy rzuciwszy uniwersytet usiłował

znowu odebrać sobie życie, zostawiając w kopercie przeznaczony do wydania po śmierci tom czternastu opowiadań pn. „Lata schyłku”. W rok potem następna próba samobójcza, tym razem do spółki z kobietą, która żyła z nim przez sześć ostatnich lat. Jego bohemiarzski tryb życia przysporzył mu prócz rozgłosu także sporo niepopularności, zwłaszcza w ascetycznych latach poprzedzających wybuch wojny z Ameryką. Od powołania do służby wojskowej uchroniły go symptomy chronicznej choroby płuc.

Prawdziwa twórczość Dazai rozpoczęła się po kapitulacji Japonii. Na początku 1947 roku ogłosił „Żonę Villona” i stał się z miejsca gwiazdą pierwszej wielkości na firmamencie współczesnej literatury japońskiej. Pod koniec tegoż roku wysłała jego powieść „Zachodzące Słońce”. Wrażenie jakie zrobiła było tak głębokie i trwałe, że zwrot „naród Zachodzącego Słońca” nabrał charakteru monety obiegowej i zdobył sobie nawet prawo obywatelstwa w słownikach japońskich. W następnym roku Dazai wydał drugą powieść „Zdyskwalifikowani” i zaczął drukować w odcinku trzecią powieść pod angielskim tytułem „Good-bye”. Skutki rozpusty, przepracowania i bezsenności nie dały jednak na siebie długo czekać: rozwinęła się gruźlica, którą dotąd w przypływach wisielczego humoru uważał za unieruchomioną alkoholem. W czerwcu 1948 roku udało mu się wreszcie dopełnić samobójstwo w olbrzymim zbiorniku wodnym Tamagawa w Tokio. Zwłoki wyłowiono 19 czerwca, w dniu 39 rocznicy jego urodzin.



Podobieństwa między tym życiorysem a treścią „Żony Villona” i „Zachodzącego Słońca” (jedynej powieści Dazai, wydanej na Zachodzie nakładem „New Directions” w Ameryce i w tłumaczeniu Donalda Keene) są uderzające. Ale jest to coś więcej niż częste u młodych prozaików okradanie własnej autobiografii. Dazai miał niezmiernie wyostrzone poczucie, że jego życie przypadło na „lata schyłku” jakiejś bezpowrotnie dogasającej epoki. I widocznie, mimo całej swej importowanej z Paryża ekstremitacji i nieuleczalnej manii samobójczej, nie był w tym poczuciu tak bardzo znowuż odosobniony, skoro znalazł natychmiastowy odzew u tylu mieszkańców Imperium, w którym wschód słońca zdawał się trwać na wieki wieków zastygły w górze narodowym.

Choroba schyłkowości daje o sobie znać u Dazai w dwójkiej postaci: społecznej i osobistej. Jeśli także w „Żonie Villona” pewne znaczenie posiada fakt, że poeta Otani jest rozbitkiem arystokratycznym, to „Zachodzące Słońce” oświeśla już niemal wyłącznie rozpad „dobrej rodziny” japońskiej po wojnie. Bohaterka powieści, Kazuko, uważa siebie i swoich najbliższych za „ofiary przejściowego okresu moralności”. Jej matka, niedługo wielka pani, narysowana po mistrzowsku piórkiem minia-

turzysty w całej elegancji gestów i subtelności uczuć, umiera pozwoli wpatrzona w przeszłość z uśmiechem smutku i rezygnacji. Jej brat, nieudany poeta, wraca po wojnie z niewoli amerykańskiej wyleczony wprawdzie z kokainomanii, lecz całkowicie niezdolny do życia, i kończy samobójstwem. Testament młodego Naoji zawiera takie ustępy: „Tylko ci którzy chcą żyć, powinni żyć dalej. Tak jak człowiek posiada prawo do życia, powinien również posiadać prawo do śmierci... Zaczęłam hulać i uganiać się za orgiami, by uciec od własnego cienia — mojego arystokratyzmu. Czy to nasza wina, że urodziliśmy się arystokratami? Tylko dlatego, że pochodzimy z takiej a nie innej rodziny, jesteśmy skazani na pędzenie życia w upokorzeniu, usprawiedliwianiu się i poniżeniu jak tyłu Żydów... W ostatecznej analizie moja śmierć jest naturalna — człowiek nie może żyć wyłącznie dla zasad”. I końcowe słowa: „Czy chcę czy nie chcę, jestem arystokratą”. Sama Kazuko znajduje inne wyjście ze ślepego zaułka: zawiadania listownie żonatego pisarza Uehara, że marzy o tym by mieć z nim dziecko, odwiedza go w Tokio i dopina swego.

Oczywiście socjolog odsłoni bez trudu korzenie tego procesu. Wskaże na gwałtowne zubożenie japońskiej klasy posiadaczy przez wojnę, reformę rolną i inflację. Zwróci uwagę, że szybka emancypacja cywilizacyjna złamała odwieczny konserwatyzm rodzinny i zniszczyła tradycyjny system wartości. Doda z bezradnym wzruszeniem ramion, że jakkolwiek większość Japończyków wyznaje nominalnie buddyzm, zainteresowanie religią jest w Japonii znikome, a w okresie największego nawet przejścia się wzorami Zachodu nie dotarło tu nigdy chrześcijaństwo i, na przykład, intelektualny ruch „niekościelnego” protestantyzmu z początków stulecia zdaje się już dziś należeć do zamierchłej przeszłości. Będzie w tym dużo prawdy, ale nie cała prawda.

Wytłumaczenia więc — jeśli można w ogóle mówić o jednoroznacznym wytłumaczeniu tak złożonych zjawisk, jak „klimat życia” i „klimat literatury” — należy raczej szukać w tym, co Alberto Moravia nazwał ostatnio trafnie w swoich reportażach z Japonii (w „Corriere della Sera”) „schizofrenią społeczną i obyczajową”. Pękł stary system wartości i na jego miejsce nie przyszedł nowy system wartości, a to co przyszło jest zbyt powierzchowne i narzucone, by potrafiło wypełnić po brzegi serce ludzkie nie pozostawiając w nim bolesnej próżni. Każdy Japończyk prowadzi jakby podwójne życie, każdy — jak Naoji — próbuje uciec od takiego czy innego własnego cienia, każdy — jak Kazuko — jest ofiarą przejściowego okresu moralności. Nie łatwo żyć z rozdwojoną jaźnią.

W tej atmosferze rodzi się potrzeba skrajnego buntu, a bunt przybiera różne skrajne formy. Dla Naoji jest to bunt w imię absolutnej negacji i kończy się śmiercią. Dla Kazuko jest to bunt w imię ocalonych resztek afirmacji i kończy się wydaniem na świat nowego życia. Żona japońskiego Villona jest w dużym stopniu kopią Kazuko, gdy mówi w zakończeniu noweli że moż-

na być choćby i potworem, byle się tylko udało utrzymać przy życiu. Jedynie Uehara i Otani przystają w swoim buncie na potowie drogi, nie daje im umrzeć coś zagadkowego i przejmującego lękiem, i piją na umór zawieszeni między życiem a śmiercią.



Gdzież tu egzotyczna kuchnia pisarska? Nie znajdują w niej nic egzotycznego ani Anglicy ze swoim „Look back in Anger” Osborne’a, ani Amerykanie ze swoim „Never come Morning” Algreene’a, ani tym bardziej Francuzi ze swoim Genetem. Wprost przeciwnie — nadstawiając z dalekiego Zachodu uszu, usłyszą na Dalekim Wschodzie swojski ton „czarnej literatury”, współczesnego demonizmu literackiego z ducha Manichejczyków.

Jeszcze mniej egzotyczny okaże się Dazai dla rodaków Hłaski. Pokrewieństwa sięgają tu dalej, niż do naskórkowej warstwy alkoholizmu i ucieczki samobójczej w „Zachodzącym Słońcu” i „Żonie Villona” z jednej strony, a w „Pętli” z drugiej. W powietrzu nasyconym gęstą mgłą czadu tłuką się rozpaczliwie dwa klasyczne elementy każdej tragedii: nieuniknioność zła i pragnienie sublimacji w ukrytych gdzieś głęboko źródłach dobra. Żona japońskiego Villona z noweli Dazai i żona polskiego Villona z opowiadania Hłaski są ze swoim kobiecym instynktem życia na równi bezradne wobec instynktu samozniszczenia, który ogarnął ich mężów. „Kobiety nie wiedzą nic o szczęściu lub nieszczęściu” — mówi poeta Otani. „Wkraczasz w moje piekło, z którego nie ma ucieczki” — mówi Kuba z „Pętli”. Czyżby istniała jakaś zbieżność między powojenną schizofrenią japońską i polską? Czyżby po zawaleniu się starego systemu wartości nowy system wartości pozostawił na dwóch różnych końcach świata taką samą bolesną próżnię w sercach?

A przecież pod cyniczną na pozór i zimną skorupą tli się w postaciach Hłaski tęsknota do oczyszczenia, do miłości absolutnej (zwrócił na to słusznie uwagę Miłosz w „Tempo Presente” z lutego ub. r.) „Napisać cokolwiek o miłości — powiada bohater „Ósmego dnia tygodnia” — to ośmieszyć się. Cała literatura o miłości to, jak dotąd, tylko wspaniałe gówno. Cóż to ma wspólnego z miłością, Boże mój drogi. Chciałbym cokolwiek przeczytać o sobie i o swoich uczuciach, kiedy leżę dwudziestą noc bez snu i patrzę w sufit. Wszystko, co na ten temat napisano, jest mdłe jak miedź przy słońcu. Może jeden Dostojewski był odrobinę prawdziwszy, ale od jego miłości ucieka się z rękami jak od rozpalonego żelaza”. Otani z „Żony Villona” nie posuwa się nigdy tak daleko, ale i jemu wymyka się raz w rozmowie zdanie od którego ucieka się z rękami jak od rozpalonego żelaza: „Mój strach bierze się stąd, że gdzieś na świecie jest Bóg. Jest, prawda?”.

Jeśli w treści opowiadania Dazai nie ma nic szczególnie egzotycznego, to jego forma zawiera jednak pewne orientalne przyprawy artystyczne, które z „Żony Villona” czynią małe arcydzieło sztuki nowelistycznej.

Co uderza przede wszystkim, to że w przeciwieństwie do większości „czarnej literatury” nowela Dazai jest całkowicie nietknięta plagą naturalizmu: nawet w scenie gwałtu, która normalnemu współczesnemu pisarzowi „werystycznemu” kazałaby natychmiast zakasać rękawy i podostrzyć nóż jak w jatce, spokojna powściągliwość środków budzi zdumienie i podziw.

Amerykański tłumacz „Zachodzącego Słońca”, Donald Keene, twierdzi że widać od razu jak bardzo Dazai wychował się na japońskiej miniaturze poetyckiej „haiku”, w której każde słowo musi być istotną częścią całości, kropłą dorzucającą nieodzowny fragment do obrazu poety. Sprawdzić to twierdzenie mogą tylko ci, co znają język japoński. Arthur Waley, Ezra Pound i W. B. Yeats zapoznali nas jednak z innym tradycyjnym japońskim gatunkiem literackim, bliskim na pewno autorowi „Żony Villona”. Jest to krótki, dwu lub trzyosobowy (z towarzyszeniem chóru) dramat „noh”, którego główny urok polega na bardzo subtelnej i delikatnej grze aluzji. „W VII wieku — pisze Pound w „Noh Plays” — dyktanci na dworze japońskim ustanowili kult herbaty i stworzyli rozrywkę wachania kadzideł. W XIV wieku mnisi, dworzanie i aktorzy stworzyli razem dramat nie mniej wyrafinowany. W czasie wachania kadzideł całe towarzystwo dzieliło się na dwie partie, arbiter palił wiele różnych gatunków o mieszanych zapachach, i do uczestników zabawy należało dać każdemu z zapachów jakąś piękną i aluzyjną nazwę, jakiś tytuł przypominający dziwny wypadek historyczny, urywek opowieści lub legendy... Ta sztuka aluzji, lub to upodobanie do aluzji w sztuce, osiąga swój punkt kulminacyjny w noh”. Yeats w przedmowie do „Noh Plays” podkreśla, że biorących w nich udział aktorów ceni się tym wyżej, im lepiej potrafią się wystrzegać wszelkich tricków naturalistycznych. Moravia, który niedawno widział parę dramatów „noh” w Japonii, opowiada że widowiska mają charakter do głębi symboliczny, hieratyczny i zagadkowy.

Cóż to wszystko posiada za związek z napisanym w roku 1947 opowiadaniem Dazai? Upodobanie do aluzji, wyjaśnianych dopiero po pewnym czasie i rzucających niespodzianie nowe światło na to co się stało, odkryje w nim bez trudu sam czytelnik. Autor tych słów nie mógł się w czasie tłumaczenia obronić przed jeszcze jednym uczuciem: że w pierwszej części noweli gospodarz spełnia swoją długą relacją rolę zwykłego retrospektywnego narratora, a jednocześnie chóru z dramatów „noh”; oraz że japoński Villon i jego żona są realistycznymi postaciami, a jednocześnie symbolicznymi *stronami* w nowoczesnym moralitecie, w dialogu między Życiem a Śmiercią.

Żona Villona

Obudził mnie dźwięk pchniętych gwałtownie drzwi, ale nie poruszyłam się z miejsca. Musiał to być mój mąż, który wrócił do domu tak późno w nocy upity wódką jak gąbka. Zapalił światło w sąsiednim pokoju i z ciężkim sapaniem zaczął przewracać wszystko w szufladach stolika i na półce bibliotecznej, szukając Bóg wie czego. Po chwili rozległ się za ścianą łoskot, jakby zwałił się na podłogę. Teraz słyszałam tylko jego zziębnięty oddech. Zastanawiając się co robi, krzyknęłam do niego z łóżka: — Jadłeś kolację? Jest trochę zimnego ryżu w kredensie.

— Dziękuję — odpowiedział tonem niezwykle uprzejmym. — Jak się czuje dziecko? Ma jeszcze gorączkę?

Także to było niezwykle. Dziecko ma już cztery latka, ale albo z niedożywiania, albo na skutek alkoholizmu ojca, albo dlatego że jest chore, wydaje się znacznie mniejsze od wielu dwulatków. Ledwie się trzyma na nóżkach i umie mówić jedynie „da-da” i „uh-uh”. Czasami zadaję sobie pytanie, czy nie jest aby niedorozwinięte umysłowo. Raz zaniiosłam je do łaźni publicznej; rozebrałam je i wyciągnęłam przed sobą na rękach: było tak maleńkie, tak chudziutkie i wątłe, że coś się we mnie załamało i wybuchnęłam wobec wszystkich płaczem. Ma prawie zawsze gorączkę lub rozwolnienie, ale mój mąż nie może nigdy długo usiedzieć w domu i nie wiadomo co o tym myśli, jeśli w ogóle cokolwiek o tym myśli. Kiedy mu mówię że dziecko ma gorączkę, odpowiada: „Trzeba je zanieść do lekarza”. Potem wkłada płaszcz i wychodzi, Bóg jeden wie dokąd. Zaniiosłabym je do lekarza, ale nie mam pieniędzy. Nie pozostaje mi nic innego jak kłaść się obok niego na łóżku i głaskać mu główkę.

Ale tej nocy, nie zgadnąć czemu, mój mąż był zadziwiająco uprzejmy i choć raz w życiu zapytał o gorączkę dziecka. Nie sprawiło mi to jednak przyjemności. Przeciwnie — zwęszyłam zapowiedź czegoś strasznego i obleciał mnie zimny dreszcz. Nie wiedziałam co powiedzieć i leżałam cichutko jak mysz pod miotłą. Przez chwilę słyszał tylko jego rozjuszone sapanie. Nagle od drzwi wejściowych dobiegł płaczliwy głos kobiety: „Nie ma nikogo?”. Zadrżałam jakby mnie kto oblał lodowatą wodą.

— Nie ma pana w domu, pani Otani? — Tym razem głos miał lekki odcień surowości. Nieznajoma pchnęła drzwi i zawołała tonem zdecydowanie już rozgniewanym: — Panie Otani! Dlaczego pan nie odpowiada?

Mój mąż powlókł się wreszcie do drzwi. — O co chodzi? — zapytał jak ogłupiały.

— Doskonale pan wie o co chodzi — powiedziała kobieta zniżając głos. — Czemuż to pan okrada ludzi, mając takie śliczne mieszkanko? Niech pan sobie schowa te głupie żarty i zwróci nam pieniądze, bo inaczej pójdę prosto na policję.

— Nie wiem w ogóle o czym pani mówi. Wypraszam sobie te zniewagi. Nie ma pani tu nic do szukania. Fora ze dworą! Zabieraj się pani stąd pókim dobry, bo to ja zawezwę policję.

Rozległ się teraz inny głos, męski: — Muszę przyznać, że nie brak panu bezczelności, panie Otani. Nie mamy tu nic do szukania, powiada pan? Można rzeczywiście, do stu diabłów, zapomnieć języka w gębie. Tym razem jednak nie bawmy się w ciuciubabkę, żarty na bok! Ładny mi żart, kiedy się kradnie cudze pieniądze. Bóg świadkiem ileśmy się przez pana nacierpieli, jak i moja żona. A potem, jakby wszystkiego było jeszcze za mało, robi pan takie świństwo jak dziś w nocy. Zawiodłem się na pana, panie Otani.

— To jest szantaż — krzyknął mój mąż oburzonym głosem — to jest zwykłe wymuszenie. Precz z moich oczu! Jeśli macie jakąś skargę przyjdźcie jutro, rozpatrzę ją jak się należy.

— Kiszki się w człowieku przewracają na takie gadanie. Łajdak z pana, panie Otani, prawdziwy łajdak. No cóż, nie mam innego wyjścia jak zawiadomić policję. — W jego głosie było tyle nienawiści, że dostałam gęsiej skórki.

— Wynoście się do jasnej cholery! — wrzasnął mój mąż, ale jego głos trochę sflaczał, zabrzmiał nieco bardziej głucho.

Wstałam z łóżka, narzuciłam szal na nocną koszulę i wyszłam do sieni. Złożyłam ukłon obojemu gościom. Mężczyzna okolo pięćdziesiątki miał okrągłą twarz i ubrany był w długi chałat do kolan. Spytał mnie: „Jest pani jego żoną?” i bez cienia uśmiechu skłonił lekko głowę w moją stronę, jakby przytakiwał. Kobieta musiała mieć chyba ze czterdziestkę, była chuda, mała i schludna. Rozluźniła na piersiach szal, zwróciła mi ukłon i powiedziała również bez uśmiechu: — Proszę wybaczyć żeśmy wtargnęli tak bez ceremonii do pani domu o tej porze.

Mój mąż wsunął nagle stopy w sandały i ruszył w kierunku drzwi. Mężczyzna chwycił go za ramię i wywiałą za nim krótką walka. — Jeśli mnie pan nie puści, nóż pójdzie w obroty! — krzyknął mój mąż i w jego prawej ręce zabłysnął nóż sprężynowy. Był bardzo przywiązany do tego noża i trzymał go zwykle w szufladzie biurka. Widocznie, wróciwszy do domu, spodziewał się jakichś kłopotów i szukał w swoim pokoju właśnie noża. Mężczyzna cofnął się instynktownie i mój mąż skorzystał z tego, by wyskoczyć na ulicę z rękawami marynarki powiewającymi jak skrzydła wielkiego kruk.

— Złodziej! — krzyknął mężczyzna i zrobił taki ruch, jakby zamierzał puścić się za nim w pogoń, ale rzuciłam się boso za próg i wczepiłam się w niego kurczowo: — Nie, na miłość Bos-

ką! Nic by wam obu z tej bijatyki nie przyszło. Biorę na siebie wszystko.

— Ma rację — powiedziała kobieta. — Z wariatem lepiej ostrożnie.

— Świnia! Tym razem nie ujdzie mu na sucho. Dłużej tego nie zniosę. — Wpatrywał się w ciemność za progiem pustym wzrokiem, mrucząc coś pod nosem jakby mówił do siebie. Ale stracił całą energię.

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedziałam — i niech mi pan wszystko opowie. Może ja potrafię coś zaradzić. Straszny tu bałagan, ale proszę, wejdźcie państwo.

Goście wymienili spojrzenia i szybki znak zgody. — Obawiam się, że na nic już teraz rozmowy. Klamka zapadła — powiedział mężczyzna i twarz mu się nagle zmieniła. — Ale może warto, żeby pani wiedziała jak co do czego doszło.

— Proszę, rozgośćcie się państwo i posiedźcie jeszcze chwileczkę.

— Nie będziemy mogli długo zabawić. — Mówiąc to, zaczął zdejmować swój chałat.

— Nie, niech pan się nie rozbiera. Zimno tu u nas, mieszkanie jest nieopalone.

— Nie weźmie nam więc pani za złe...

— Ależ oczywiście. Proszę, proszę do środka.

Wprowadziłam ich do pokoju mego męża. Zdawali się zmieszani panującym tu spustoszeniem. Zydle robiły wrażenie na pół zbutwiałych, parawany były w strzępach, ściany wyglądały jakby się miały zaraz zawalić, szafa obłaziła z papieru i odsłaniała nagie deski. W kącie stało biurko a obok niego pusta półka biblioteczna.

Podalam im dwie poduszki, z których wylaziły pakuły. — Siadajcie państwo tutaj — powiedziałam — stolki są tak brudne... — i znowu złożyłam im obojgu ukłon. — Muszę państwa przeprosić za wszystkie kłopoty jakie sprawił państwu mój mąż i za to okropne przedstawienie, które dziś nie wiadomo dlaczego z siebie zrobił. Jego dziwne usposobienie... — Poczułam że się duszę i wybuchnęłam płaczem.

— Proszę mi darować — zwrócił się do mnie mężczyzna — że pani zadaje to pytanie, ale ile pani ma lat? — Siedział na poduszkach ze skrzyżowanymi nogami, łokcie oparł na kolanach a brodę podparł dłońmi. Nachylił się ku mnie, oczekując odpowiedzi.

— Dwadzieścia sześć.

— Tylko? No tak, rozumie się, pani mąż ma pewnie ze trzydziestkę. Mimo to, nigdy bym nie uwierzył.

— Kiedy zobaczyłam jaką śliczną żonę ma pan Otani — powiedziała kobieta wychylając twarz zza ramion męża — nie

mogłam się powstrzymać od pytania dlaczego tak nieładnie postępuje.

— Jest chory — powiedział mężczyzna — ot w czym bieda. Nie był taki dawniej, ale teraz schodzi z każdym dniem bardziej na psy.

Westchnął głęboko i po przerwie podjął: — Mamy z żoną małą restauracyjkę koło stacji Nakano, proszę pani. Pochozimy oboje ze wsi, ale kością w gardło mi w końcu stanęli ci chłopcy ze swoim sknerstwem i przyjechałem z żoną do Tokio. Jak to zwykle bywa, byliśmy na wozie i pod wozem, ale udało nam się uzbierać trochę grosika i w trzydziestym szóstym roku otworzyliśmy tanią restauracyjkę dla gości, którzy nie żałują paru yenów na spędzenie wieczoru. Oraliliśmy jak woły i udało nam się zrobić niezły zapasik whisky i ginu. Kiedy zabrakło alkoholu i trzeba było zamknąć na cztery spusty tyle lokali, myśmy pchali jakoś naszą biedę naprzód. Przyszła wojna z Ameryką i z Anglią, ale nawet najcięższe bombardowania nie dały nam rady i nie uciekliśmy na wieś. Dzieci w domu nie było, nikomu się od nas nic nie należało. Póki co, ogień z nieba nas omijał, a interesy szły nienajgorzej. Pani mąż zaczął do nas zaglądać na wiosnę czterdziestego czwartego roku, jeśli mi się coś w pamięci nie pokiełbało. Jeszcześmy wtedy nie przegrywali wojny, a w każdym razie nie wiadomo było dobrze jak to będzie i myślało się, że z Boską pomocą pociągniemy dalej ze dwa trzy latka. Kiedy pan Otani zaszedł pierwszy raz do naszego lokalu, nie był sam. Trochę mi niejako mówić pani o tym teraz, ale muszę pani opowiedzieć całą historię, niczego nie chowając pod korcem. Pani mąż wkradł się przez kuchenne drzwi z niemłodą już kobietą. Zapomniałem powiedzieć, że drzwi od ulicy trzymałem wtedy zawsze zamknięte i tylko stali goście znali wejście od tyłu. Kobieta mieszkała niedaleko, nazywała się Akichan i odkąd zamknięto bar, w którym pracowała, przychodziła do nas często ze swoimi kawalerami. Dlatego nie było się co dziwić, kiedy przyszła z pani mężem. Wprowadziłem ich do pokoiku za szynkiem i przyniosłem gin. Akichan zapłaciła rachunek i poszli tak jak przyszli — tylnymi drzwiami. Tego wieczoru pan Otani pił spokojniusiętko. Dziwna rzecz, ale nie mogę do dziś zapomnieć jakie miał za pierwszym razem grzeczne i delikatne obejście. Ciekawe, czy kiedy diabeł składa pierwszą wizytę, też jest taki smutny i tylko ciągiem milczy... Od tego dnia pan Otani stał się naszym stałym gościem. W tydzień potem przyszedł sam i wyciągnął nagle z kieszeni sto yenów. Sto yenów to był w owym czasie ładny pieniądz, więcej niż dzisiaj dwa albo i trzy tysiące. Wepchnął mi paperek do ręki i na nic były wszystkie moje zarzekania. „Niech pan to schowa, błagam pana” — powtarzał ciągle, uśmiechając się nieśmiało. Wyglądało na to, że był już pod dobrą datą, ale sama pani wie, nikt tak nie umie pić, jak on. Kiedy dałby sobie człowiek rękę uciąć że jest już zalany w drobny mak, staje się nagle poważny i zaczyna gadać jak z książki.

Ile by nie wypił, nigdy się nie kiwnie i nogi mu chodzą jak na paradzie. Mówią, że trzydziestka to najlepszy wiek do wypitki, ale takiego jak pan Otani tom jeszcze nie widział. Tej nocy musiał sobie już gdzieś zdrowo pociągnąć i u mnie wytrąbił duszkiem dziesięć kieliszków ginu. Ledwie nadązał mu dolewać. I żeby się choć raz odezwał. Staraliśmy się z żoną wyciągnąć go na słówko, ale tylko się uśmiechał nieśmiało i kiwał głową. Nagle zapytał o godzinę i wstał. „A reszta?” — krzyknąłem za nim. Machnął ręką, że to niby nieważne. „Ale co mam z nią zrobić?” — nalegałem. Skrzywił się i odpowiedział: „Niech pan ją zatrzyma do następnego razu. Wróć tu jeszcze”. I wyszedł. Był to, proszę pani, jeden jedyny raz kiedyśmy oglądali jego pieniądze. Odtąd zawsze nas umiał zaczarować to taką to inną wymówką i bez złamanego szeląga wydoił w trzy lata prawie cały nasz zapasik alkoholu.

Zanim zdałam sobie sprawę co robię, wybuchnęłam śmiechem. Wszystko to wydało mi się nagle tak komiczne, choć nie potrafiłabym powiedzieć dlaczego. Zatkłam sobie ręką usta by ukryć zmieszanie, ale kiedy podniosłam oczy zobaczyłam, że także kobieta się śmieje, i też bez wyraźnego powodu. Jej mąż nie mógł się również powstrzymać od śmiechu.

— Nie — powiedział, — nie widzę w tym nic zabawnego, ale mam tego tak powyżej uszu, że i mnie zebrało się na śmiech. Doprawdy, gdyby w inny sposób zużytkował swoje zdolności, mógłby zostać ministrem, lekarzem, czym dusza zapagnie. Kiedy Akichan była jeszcze przyjaciółką pana Otani, piała ciągle na jego cześć hymny pochwalne. Przede wszystkim, mówiła, pochodzi z wielkiej rodziny, jest młodszym synem barona Otani. To prawda, że go wydziedziczono za jego złe sprawowanie, ale kiedy stary baron wreszcie umrze, obaj bracia podzielą się pół na pół spadkiem. Jest utalentowany, więcej — jest genialny. Mimo młodego wieku jest najlepszym poetą japońskim. Co do uczoności, to proszę siadać: skończył szkołę książęcą, chodził do wyższych szkół, a nawet na uniwersytet cesarski w Tokio. Niech się wszyscy schowają przy jego francuskim i niemieckim. Słuchając Akichan można było uwierzyć, że jest czymś w rodzaju Boga, i co tu dużo gadać — nie tylko ona jedna tak była w niego zapatrzona. Także inni twierdzili, że jest młodszym synem barona Otani i sławnym poetą. Doszło do tego że nawet moja żona, która zaczyna się już trochę posuwać w latach, straciła dla niego głowę jak Akichan. Bez ustanku machała mi przed nosem wyższością ludzi dobrze wychowanych. A sposób w jaki siedziała za ladą, czekając na jego przyjście, mógł w czło-wieku zamieszać flaki. Mówią, że skończyły się czasy arystokracji, ale niech mi pani wierzy, aż do końca wojny nikt nie umiał okręcać sobie dokoła palca kobiet tak, jak ten wydziedziczony baronek. Nie chciało się wprost wierzyć jak wszystkie

się do niego łąsiły i jadły mu z ręki. Może odegrało tu pewną rolę to, co dzisiaj poniektórzy nazywają „mentalnością niewolniczą”. Jeśli o mnie chodzi, jestem człowiek lubiący zajrzeć koniowi dwa razy w zęby i nie wierzę, żeby byle jaki, za prze-proszeniem, paniczek, wsiowy arystokrata — i do tego nie pier-worodny — miał być zaraz lepszy ode mnie. Nie wykołował mi nigdy głowy, niech Bóg broni, a przecież i ja miałem do niego słabość. Przysięgałem sobie, że nie dam mu więcej na kredyt ani kropelki, ale kiedy wypryskał znieńacka z tą swoją twarzą człowieka zaszczutego, kiedy widziałem z jakim westchnieniem ulgi rozgląda się po naszym szynku, na nic wszystkie moje przysięgi i stawałem przed nim kieliszek. Nie powiem żeby się nawet po pijanemu za bardzo awanturował, i gdyby tylko płacił rachunki, byłby dobrym klientem. Nie robił nigdy baronowskich min i nie nadymał się tą swoją genialnością. Kiedy Akichan albo kto inny zaczynał go brać pod włos i dalej wychwalać jego wielkość, zmieniał całkowicie temat lub mówił: „Przydałoby się parę groszy na zapłatę rachunku”, gasząc wszystkie zapaty jak sikawką. Potem skończyła się nareszcie wojna. Wzięliśmy się za handel trunkami na czarnej giełdzie i dorobiliśmy się nowych firaneczek w oknach i w głównych drzwiach od ulicy. Mimo że nędznawy, lokal był dość ożywiony, i wzięliśmy nawet dziewczynę do posług żeby mu dodać poloru. No i kogoż pewnego pięknego dnia nasze oczy znowu widzą? Oczywiście tego przekłętego arystokratę we własnej osobie. Nie ciągnął już za sobą babskiego dworu, lecz przychodził zawsze w asyście dwóch-trzech pisarzy lub dziennikarzy. Pił o wiele więcej niż dawniej i miał stale nieprzytomny wyraz twarzy. Trzymały go się teraz ordynarne żarty, którymi przedtem sam by się brzydził, i czasem ot tak sobie, bez dania racji, zajeżdżał pięścią pod żebro jednemu ze swoich towarzyszy, wywołując bijatykę. Najgorsze jednak przytrafiło się później: dobrał się do naszej młodej kelnerki. Brakowało jeszcze tylko tego utrapienia, ale co można było zrobić? Pogodzić się z losem i machnąć ręką. Wytlumaczyliśmy dziewczynie że lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć i odesłaliśmy ją cichaczem do rodziców. Poprosiłem pana Otani żeby przestał nas zaszczycać swymi wizytami; odpowiedział mi z pogróżką w głosie, że kto żyje z czarnej giełdy, ten nie ma prawa krytykować innych. „Wiem o was wszystko” — powiedział i nazajutrz wieczorem, jak gdyby nigdy nic, cała zabawa od nowa. Może to rzeczywiście dopust Boży za nasze interesy na czarnym rynku. Ale na tym co zrobił dziś w nocy nie można postawić krzyżyka tylko dlatego, że jest poetą i człowiekiem wysoko urodzonym. Było to najprawdziwsze włamanie. Ukraść nam pięć tysięcy yenów. Zazwyczaj wszystkie pieniądze rozchodzą nam się na zapasy i trzeba szczęśliwego trafu, żeby uleżało się kiedy w kasie pięćset albo tysiąc yenów. Dziś wieczorem uzbierało się tyle pieniędzy, bo przed końcem roku obszedłem wszystkich naszych stałych odbiorców i udało mi się wycisnąć z nich pięć tysięcy yenów.

Ale jeśli nie spłacę zaraz dostawców, leżymy. Oto czym są dla nas te pieniądze. No więc moja żona robiła rachunki w pokoiku za sklepem i włożyła pieniądze do szuflady kredensu. Pani mąż pił sam w sali, ale widocznie ją obserwował. Ni stąd ni zowąd wstał od stolika, wszedł prosto do pokoiku za sklepem, odepchnął bez słowa moją żonę, otworzył szufladę, wyciągnął pięć tysięcy yenów i włożył je do swojego portfela. Rzuciliśmy się za nim na salę, jeszcze bez tchu w piersiach od tego osłupienia, a potem na ulicę. Przez chwilę chciałem krzyknąć „trzymaj złodzieja!”, ale jakby nie było stara znajomość nie dym i zatkało mnie. Postanowiłem nie tracić go z oczu. Myślałem że ledwie się zatrzyma i uspokoi, podejdę do niego i odda mi pieniądze po dobroci. Uważa pani, mamy przecież tylko mały handelek detaliczny. Kiedyśmy go dopadli tu w domu, nie było innego wyjścia jak zapomnieć o krzywdzie i poprosić go grzecznie o zwrot pieniędzy. No i co on na to? Wyciągnął nóż i zagroził, że mnie pokiereszuje! Nie do wiary!

Wszystko wydało mi się znowu nie wiadomo dlaczego tak komiczne, że wybuchnęłam śmiechem. Kobieta zarumieniała się, a potem też się uśmiechnęła. Nie mogłam się powstrzymać. Wiedziałam że musi to robić złe wrażenie na szynkarzu, ale wszystko wydawało mi się tak dziwnie zabawne, że śmiałam się dalej do łez. I nagle przyszło mi na myśl czy zdanie „wielki wybuch śmiechu pod koniec świata”, które przeczytałam w jednym z wierszy mojego męża, nie oznacza właśnie czegoś podobnego.

A jednak nie była to sprawa, którą można by załatwić śmiechem. Zastanowiłam się chwilę i powiedziałam: — W ten czy inny sposób wszystko naprawię, jeśli tylko wstrzymacie się państwo jeszcze dzień z zawiadomieniem policji. Odezwę się z całą pewnością jutro.

Spytałam gdzie dokładnie znajduje się ich restauracja i poprosiłam ich znowu żeby się zgodzili. Zgodzili się w końcu i poszli sobie. Usiadłam wówczas na środku lodowatego pokoju i próbowałam ułożyć jakiś plan. Nie przychodziło mi nic do głowy. Podniosłam się z miejsca, zdjęłam szal i wsunęłam się bezszelestnie pod koldrę, gdzie spało dziecko. Głaskałam jego włoski i myślałam sobie, jakby to było pięknie, gdyby noc nigdy się nie skończyła.

Mój ojciec miał stragan w parku Asakusa. Moja matka umarła kiedy byłam dzieckiem i żyliśmy oboje z ojcem w odnajmowanym mieszkaniu, pracując razem w straganie. Mój mąż odwiedzał nas od czasu do czasu i wkrótce zaczęliśmy się umawiać na randki poza domem w sekrecie przed moim ojcem. Kiedy zaszłam w ciążę, nakłoniłam go żeby mnie wziął na żonę; nie oficjalnie, ma się rozumieć. Teraz dziecko rośnie bez ojca,

a mój mąż przepada gdzieś na trzy cztery noce z rzędu, czasem nawet na miesiąc. Nie wiem gdzie się podziewa i co robi. Kiedy wraca, jest zawsze pijany; siada na stołku blady jak śmierć, oddycha ciężko i wlepia we mnie wzrok. Czasem płacze i łyzy ciekną mu po twarzy, albo wślizguje się do łóżka i przyciska mnie do siebie: „Nie dam dłużej rady... Boję się, boję się... Pomóż mi!” Czasem drży cały i nawet we śnie skarży się i ma-jaczy. Nazajutrz rano ma nieobecny wyraz twarzy, jak człowiek któremu wydarło duszę. Potem znika i nie wraca przez trzy lub cztery noce. Dwaj przyjaciele jego wydawcy zaopiekowali się ostatnio mną i dzieckiem, i niekiedy przynoszą nam parę groszy, żebyśmy nie umarli z głodu.

Zdrzemnąłam się. Naraz otworzyłam odruchowo oczy i zobaczyłam światło poranka wsączające się przez szpary w żaluzjach. Wstałam, ubrałam się, przytroczyłam sobie pasem dziecko na plecach i wyszłam. Nie czułam się na siłach zostać choćby minutę dłużej w tym milczącym domu.

Ruszyłam przed siebie bez celu i otrząsnęłam się z zamyślenia dopiero na ulicy prowadzącej w kierunku dworca. Kupiłam na wózek dla dziecka obwarzanek z winogronami. Potem przyszła mi nagle ochota kupić bilet do Kichijoji i wsiadłam do tramwaju. Kiedy stałam w tłumie z ręką w pętli uchwytu, zaczęłam spojrzaniem o przyklepiony do ściany tramwaju afisz z nazwiskiem mojego męża. Była to reklama czasopisma, w którym ogłosił opowiadanie pod tytułem „François Villon”. Wpatrywałam się w ten tytuł i w nazwisko mojego męża, i nie wiem dlaczego poczułam na policzkach piekące łyzy. Napis zamglili mi się przed oczami i nie mogłam go więcej dojrzeć.

W Kichijoji wysiadłam i po raz pierwszy od nie pamiętam już ilu lat przeszłam przez park pieszo. Cyprysy dokoła jeziora zostały wycięte i wszystko wyglądało na teren pod budowę. Park był dziwnie ogołocony i chłodny, nie taki jak dawniej. Zdjęłam sobie dziecko z pleców i usiedliśmy na rozchybotanej ławce obok jeziora. Dałam dziecku słodkiego kartofla zabranego z domu.

— Ładne jezioro, nie? Ile tu kiedyś było karpi i złotych rybek, ale wylowili je wszystkie. Szkoda, prawda?

Co sobie moje małenstwo pomyślało, nie wiem. Wiem tylko, że zaśmiało się dziwnie ustami wypchanymi kartoflem. Choć to moje dziecko, zrobiło na mnie wrażenie kretyniátka.

Z tego wysiadania na ławce nie mogło nic dobrego wynikać, zarzuciłam więc sobie znowu dziecko na plecy i poszłam wolno na stację. Kupiłam bilet do Nakano. Nie spostrzegłszy się ani jak ani kiedy, wsiadłam do tramwaju jak porwana przez wir. Wysiadłam w Nakano i odnalazłam restaurację. Główne drzwi były zamknięte. Zaszłam od tyłu i dostałam się do środka przez drzwi kuchenne. Gospodarza nie było, a jego żona sprzątała salkę restauracyjną sama. Zaledwie ją zobaczyłam, zaczęłam kłamać, jak najęta piątą przez dziesiątą. Nigdy

bym nie uwierzyła, że potrafię wymyślić na poczekaniu tyle kłamstw.

— Zapłacę wam — powiedziałam — do ostatniego grosika. Jeśli nie dziś wieczorem, to najpóźniej jutro. Niech was o to głowa nie boli.

— Oh, ślicznotko — krzyknęła — stokrotne dzięki!

Wyglądała na dość zadowoloną, ale pozostał jej na twarzy cień zakłopotania, jakby nie czuła się całkowicie pewna swego.

— Naprawdę — plotłam szybko dalej. — Ktoś pani przyniesie pieniądze, zobaczy pani. Dopóki ten ktoś nie przyjdzie, zatrzymajcie mnie tutaj w zastaw. Starczy wam jako gwarancja? Dopóki ten ktoś nie wyłoży banknotów na stół, dopomogę wam z najmielszą chęcią w restauracji.

Zdjęłam sobie dziecko z pleców i kazałam mu się samemu bawić. Jest do tego przyzwyczajone i nigdy nie sprawia najmniejszego kłopotu. Nie boi się obcych, może dlatego, że jest głupkowate, toteż uśmiechnęło się zaraz do gospodyni. Gdy ja pobiegłam w te pędy do sklepów na zakupy racjonowanych artykułów, żona szynkarza dała mu do zabawy puste puszki amerykańskie, a kiedy wróciłam, siedziało grzeczniutko w kącie sali i turlało je po podłodze.

Około południa wrócił z zakupów gospodarz. Nie zdążył jeszcze przestąpić progu, a już zasypałam go tymi samymi kłamstwami, które ledwo co naopowiadałam jego żonie. Zamienił się w słup soli.

— Rzeczywiście? — wymamrotał. — Nie można być pewnym pieniędzy dopóki się ich nie trzyma mocno w garści, łaskawa pani.

Ostatnie słowa wypowiedział z zadziwiającym spokojem, jakby mi tłumaczył, jak się w istocie sprawy mają.

— Ależ doprawdy jest tak, jak mówię. Błagam pana o trochę zaufania, niech pan tylko dziś odczeka z doniesieniem na mego męża. Pomogę panu tymczasem w obsłudze gości.

— Mnie wystarczą pieniądze, niczego więcej nie wymagam — powiedział prawie do siebie. — Brak jeszcze pięciu lub sześciu dni do końca roku, tak czy nie?

— Tak, tak, i właśnie dlatego pan rozumie... oh, są już goście. Proszę, proszę! — Uśmiechnęłam się do trzech mężczyzn, z wyglądu robotników, którzy weszli do lokalu i szepnęłam do gospodyni: — Niech mi pani da fartuszek.

— Ehe, wytrzasnęliście skądś ładną dzierlatkę — zarechotał jeden z gości głośno, — niczego sobie.

— Nie mitręćcie jej czasu bałamuctwami — powiedział gospodarz nie całkiem na żarty: — kosztuje furę pieniędzy.

— Czystej krwi wyścigowiec za milion dolarów? — zapytał drugi z wulgarnym śmiechem.

— Powiadają, że wśród rasowych koni klacze kosztują połowę — odpowiedziałam tym samym wulgarnym tonem i zabrałam się do podgrzewania sake.

— Nie bądź taka skromna. Mamy już w Japonii równouprawnienie, nawet między koźmi i psami — wtrącił trzeci i najmlodszy. — Pieszczołko, jestem zakochany. Jakby we mnie piorun trząśł. Twoje to dziecko w kącie?

— Nie — wmieszała się szybko gospodyni z pokoiku za sklepem, — oddali nam je na wychowanie krewni. Mamy narzeczcie spadkobiercę.

— Co mu zostawicie prócz pieniędzy? — zadrwił drugi.

Gospodarz wybelkotał z ponurą twarzą: — Flirt i kupę długów... — Po czym, zmieniawszy ton: — Jak z zamówieniem? Pieczeń?

Była wilia Bożego Narodzenia i dlatego napływało ciągle tylu gości. Od samutkiego rana nie miałam prawie nic w ustach, aletak mnie mdliło, że nawet kiedy gospodyni kazała mi coś przekąsić, odmówiłam. Uwijałam się bez przerwy po restauracji jak baletnica. Może to moja zarozumiałość nałożyła mi takie okulary, ale lokal wydawał się wyjątkowo wprost tego wieczoru ożywiony, wielu gości chciało się dowiedzieć jak się nazywam i próbowało ukradkiem ścisnąć mnie za rękę. Nie wiedziałam jak się to wszystko skończy. Uśmiechałam się bez przerwy do gości i odpowiadałam na ich sprośne dowcipy jeszcze sprośniejszymi dowcipami, uwijając się od jednego do drugiego i dolewając do kieliszków. Po jakimś czasie ogarnęło mnie uczucie, że moje ciało roztopi się wkrótce i rozmaże jak lody.

Cudy zdarzają się widać i na tym świecie. Po dziewiątej wszedł do lokalu mężczyzna w papierowym trójrogu i w czarnej masce, która zakrywała mu górną część twarzy. Był w towarzystwie przystojnej i smukłej kobiety w wieku lat około trzydziestu pięciu. Usiadł przy stoliku w kącie i odwrócił się do mnie plecami, poznałam go jednak od pierwszej chwili. Kto jak kto, ale ja miałabym nie poznać od razu tego złodziejaska, mego męża?

Siedział tam w kącie i nic sobie ze mnie nie robił. Ja też udawałam że go nie poznaję i przekomarzałam się dalej z innymi gośćmi. Towarzysząca mu dama zawołała mnie do stolika. Patrzył na mnie przez otwory w masce, jak przysłapany na gorącym uczynku. Poklepałam go lekko po ramieniu i powiedziałam: — Nie składasz mi życzeń świątecznych? Jaktó? Wyglądasz na człowieka, który wysuszył już niejeden kieliszek.

Piękna dama zrobiła niewinną minkę. — Muszę porozmawiać w pewnej sprawie z właścicielem — powiedziała. — Nie sprawi pani kłopotu przysłać go tu do mnie na minutkę?

Poszłam do kuchni, gdzie gospodarz smażył ryby. — Wrócił Otani. Niech pan do niego idzie, ale niech pan nic nie mówi o nim i o mnie jego towarzysze. Nie chcę mu nawarzyć piwa.

— Przyszedł rzeczywiście? — Gospodarz nie przełknął wprawdzie gładko wszystkich moich kłamstw, ale najwidoczniej bardzo na nie liczył. Teraz wierzył w całą swoją naiwność, że mój mąż wrócił bo ja go do tego zmusiłam.

— Niech pan nic o mnie nie mówi — powtórzyłam.

— Jak pani sobie życzy, mnie jest wszystko jedno — obiecał i poszedł na salę. Rozejrzawszy się szybko dokoła, przecisnął się do stolika, przy którym siedział mój mąż. Zamienił parę słów z piękną damą i wyszli wszyscy troje z lokalu.

Koniec, załatwione. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażałam sobie zawsze że tak się to skończy i poczułam przypływ wesołości. Chwyciłam za przegub młodego gościa w niebieskim garniturze, najwyżej dwudziestoletniego chłopca, i krzyknęłam: — Pij! Pij! Jest Boże Narodzenie!

Po pół godzinie albo jeszcze szybciej, tak szybko, że aż wytrzeszczyłam ze zdziwienia oczy, gospodarz wrócił sam.

— Muszę pani podziękować — powiedział. — Dostałem z powrotem pieniądze.

— Cieszę się niezmiernie. Wszystko?

— Wszystko to co wziął wczoraj — odpowiedział z komycznym uśmiechem.

— A reszta? Ile panu jest winien? Tak na oko... minimum...

— Dwadzieścia tysięcy yenów.

— To wszystko?

— Minimum.

— Zapłacę co do grosza. Przyjmie mnie pan od jutra? Zwróć panu wszystko pieniędzmi, które zarobię.

— Ależ pani żartuje! — I zaczęliśmy się oboje śmiać.

Po dziesiątej wróciłam z dzieckiem do domu. Mojego męża nie było, ale ani mnie to grzało ani ziębiło. Przeczynałam, że go nie będzie. Jutro, kiedy pójdę do restauracji, zobaczę go może znowu. Dlaczego nie pomyślałam o wiele dawniej o takim rozwiązaniu? Wszystkim moim dotychczasowym cierpieniom winna była w gruncie rzeczy moja własna głupota. W straganie mojego ojca radziłam sobie świetnie z klientami i dam sobie też nie gorzej z nimi radę w restauracji. Jeden wieczór przyniósł mi pięćset yenów samych tylko napiwków.

Od tego dnia moje życie zmieniło się całkowicie. Stałam się wesoła i beztraska. Pobiegłam natychmiast do fryzjera, kazałam sobie zrobić wieczną ondulację i kupiłam parę słoiczków kremów kosmetycznych. Uporządkowałam moją garderobę i czuję się tak, jakby mi spadł z serca ogromny kamień.

Wstaję rano i jem śniadanie razem z dzieckiem, potem zakładam je sobie na plecy i idę do pracy. Pod koniec roku można sobie w każdej restauracji urobić ręce po łokcie, i takem się naharowała, że oczy mi zachodzą mgłą. Mój mąż przychodzić pięć co dwa dni, każe mi płacić swój rachunek i na nowo znika. Często wstępuje do lokalu późnym wieczorem, pyta czy już skończyłam i czy czas ruszać. Potem idziemy sobie ładnie spacerkiem, jak Pan Bóg przykazał, w kierunku domu.

— Dlaczego nie wpadłam na ten pomysł od początku? Jestem szczęśliwa.

— Kobiety nie wiedzą nic o szczęściu lub nieszczęściu.

— Może nie. A mężczyźni?

— Jedyne mężczyźni znają nieszczęście. Walczą ciągle ze strachem.

— To za mądre na mój rozum. Wiem tylko że chciałabym, by takie życie trwało zawsze. Gospodarz i jego żona są tacy mili.

— Nie bądź głupia. Para chciwych chamów. Dawali mi pić, bo myśleli, że w końcu wyduszą ze mnie pieniądze.

— To ich sprawa, nie można ich za to winić. Ale nie o to w rzeczywistości poszło, prawda? Miałeś flirt z żoną?

— Bardzo dawno. Stary się połapał?

— Jestem pewna, że tak. Słyszałam jak mówił wzdychając o twoich długach i o jakimś flircie.

— Musi ci się na pewno wydawać, że jestem bardzo dziwny facet; ale powiem ci jak jest: chce mi się po prostu tak strasznie umrzeć, że sam już nie wiem co ze sobą zrobić. Od kiedy się urodziłem, nie myślałem nigdy o niczym innym tylko o śmierci. Byłoby lepiej dla wszystkich gdybym umarł, to pewne. A przecież zdaje się, że nie potrafię umrzeć. Istnieje coś zagadkowego i przejmującego lękiem, coś jak Bóg, i to właśnie nie daje mi umrzeć.

— To dlatego, że masz swoją pracę.

— Moja praca jest bez znaczenia. Nie piszę ani arcydzieł, ani rzeczy grafomańskich. Jeśli ludzie mówią, że jakaś rzecz jest piękna, staje się piękna. Jeśli mówią, że jest grafomańska, staje się grafomańska. Ale mój strach bierze się stąd, że gdzieś na świecie jest Bóg. Jest, prawda?

— Nie mam zielonego pojęcia.

Teraz, kiedy przepracowałam już dwadzieścia dni w restauracji, uprzytomniłam sobie, że wszyscy goście, co do jednego, są kryminalistami. Doszłam do tego, że w porównaniu z nimi nawet mój mąż wydaje mi się bielutki jak gronostaj. I zaczynam podejrzewać, że nie tylko nasi goście, ale wszyscy ludzie spotykani na ulicy mają do ukrycia jakieś przestępstwo. Parę dni temu przysłała do naszej knajpy przyzwyczajona ubrana kobieta, która sprzedawała sake po trzysta yenów za kwartę. Za pół darmo, jeśli się pomyśli o dzisiejszych cenach, toteż moją szynkarzową aż ręce zaświerzyły. Wyszło w końcu na jaw, że sake było rozcieńczone wodą. W świecie, gdzie dama o tak arystokratycznym wyglądzie musi się uciekać do podobnych machlojek, nie może być mowy o znalezieniu bodaj jednej żywej istoty z czystym sumieniem.

Boże, spraw abym cię zobaczyła, jeśli istniejesz! Pod koniec sezonu zostałam zgwałcona przez jednego gościa. Padał

tego wieczoru deszcz i nie było co czekać na mojego męża. Przygotowałam się do wyjścia, chociaż przy stoliku siedział jeszcze ostatni gość. Wzięłam dziecko, które spało w kącie pokoiku za sklepem, i wsadziłam je sobie na plecy.

— Mogę sobie pożyczyć pani parasol? — zwróciłam się do gospodyni.

— Ja mam parasol. Odprowadzę panią do domu — odezwał się ostatni gość, wstając z krzesła. Nie powiedział tego ot tak, na wiatr. Był chudy i niskiego wzrostu, miał około dwudziestu pięciu lat i wyglądał na robotnika z fabryki. Widziałam go pierwszy raz, odkąd zaczęłam pracować w restauracji.

— Bardzo pan uprzejmy, ale wracam zawsze sama.

— Mieszka pani bardzo daleko, wiem. Ja też mieszkam w tamtych okolicach. Odprowadzę panią. Płacić!

Wypił tylko trzy kieliszki i nie robił wrażenia specjalnie pijanego. Złapaliśmy tramwaj i wysiedliśmy na moim przystanku. Potem szliśmy ramię w ramię przez deszcz, pod jednym parasolem, ulicami czarnymi od smoły. Młodziak, który do tej pory nie puścił pary z gęby, rozwiązał nagle język.

— Wiem o pani wszystko. Jestem wielbicielem pana Otani, piszę także wiersze. Chciałbym mu dać coś do przeczytania, ale brak mi odwagi...

Staaliśmy przed moim domem. — Dziękuję — powiedziałam. — Zobaczmy się w restauracji.

— Do widzenia — odkrzyknął, znikając w ulewie.

Obudził mnie w środku nocy skrzyp uchylanej furtki. Pomyślałam sobie że to wraca, po pijanemu jak zwykle, mój mąż i nie pisałam słówka. Rozległ się męski głos: — Pani Otani, niech mi pani wybaczy to najście.

Wstałam z łóżka, zapaliłam światło i otworzyłam drzwi. Młody człowiek stał przede mną i ledwie się trzymał na nogach: — Najmocniej przepraszam. Zatrzymałem się po drodze na jeszcze kieliszeczek, a potem, prawdę mówiąc, mieszkam na drugim końcu miasta i kiedy dojechałam na stację, ostatni tramwaj już mi uciekł. Kochana pani, sprawi pani wielką subiekcję jeśli spędzę noc tutaj? Nie potrzeba mi ani siennika, ani prześcierań. Przebiegł byle jak w przedpokoju aż do rana, kiedy odchodzi pierwszy tramwaj. Gdyby nie padało, przekimalbym gdzieś tę noc na świeżym powietrzu, ale leje jak z cebra. Niech mi pani pozwoli zostać, błagam panią.

— Mojego męża nie ma w domu — powiedziałam, — ale jeśli panu wystarczy goła ziemia w przedpokoju, niech pan zostanie. — Przyniosłam mu z sypialni dwie podarte poduszki.

— Serdeczne dzięki. Oh, za dużo piłem — zajęczał. Zwalił się w oka mgnieniu na podłogę tak jak stał, i kiedy wróciłam do łóżka, chrapał już w niebogłosy.

Nazajutrz o świcie wziął mnie bez żadnych ceregieli.

Rano pojechałam jak co dzień z dzieckim do restauracji i zachowywałam się tak, jakby nic w nocy nie zaszło. Mój mąż siedział przy stoliku z gazetą i pociągał drobnymi łykami z kie-

liszka. Pomyślałam sobie jakie jest śliczne światło słoneczne, skrzące się na szkle.

— Nie ma nikogo? — zapytałam.

Podniósł oczy znad gazety. — Gospodarz nie wrócił jeszcze z targu — odpowiedział. — Szanowna małżonka była przed chwilą w kuchni. Nie ma jej już?

— Wczoraj wieczorem nie przyszedłeś, prawda?

— Jakto nie przyszedłem! Nie mogę już teraz przytknąć głowy do poduszki, dopóki nie zobaczę choć na momentik mojej ulubionej kelnerki. Przyszedłem po dziesiątej, powiedziano mi że dopiero co wyszłaś.

— No i?

— Spędziłem noc tutaj. Lało jak z cebra...

— Od dziś ja też mogę tu spać.

— Nienajgorsza myśl.

— Tak, zrobię właśnie w ten sposób. Trzeba mieć źle w głowie, żeby płacić wiecznie czynsz.

Mój mąż zamilkł i wrócił do czytania gazety. — Hm — podjął po przerwie — nigdy nic nie wiadomo. Znowu o mnie źle piszą. Powiadają, że jestem fałszywym arystokratą ze skłonnościami epikurejskimi. To nieprawda. Byłoby słuszniej nazwać mnie epikurejczykiem, który żyje w bojaźni Bożej. Popatrz, popatrz, tutaj piszą że jestem potworem!... Może już na to trochę za późno, ale powiem ci dlaczego wziąłem te pięć tysięcy yenów: chciałem żebyście ty i dziecko spędzili szczęśliwie Nowy Rok, pierwszy od tylu lat... To znaczy, że nie jestem potworem!

Jego słowa nie sprawiły mi szczególnej radości. Powiedziałam: — Nie ma w tym nic złego jeśli się jest potworem, no nie? Byle się tylko udało utrzymać przy życiu.

Osamu DAZAI

(Przełożył Gustaw HERLING-GRUDZINSKI)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Wiersze

LAS

Czekam na las otwarty,
rozbity na części
jasności dnia.
Czekam na las wyraźny.

Czerwiec — ten motyw już minął —
cisza leśna i zieleni.
W jednym lesie plakałeś,
w innym lesie jest jesień.
w jeszcze innym
chłopiec rysuje dom.
To wszystko, co zostało
z bezładnych wyrazów,
sygnałów alarmowych
moich pierwszych dni.

Okno wychodzi w las.
Otwieraliśmy je razem
w bardzo nieszczerzy las,
w miłość.
Lecz i ten alarm zgaśł,
gdy zieleni jest czerwona,
gdy spopielaly las
konał.

Lasy —
treść każdego dnia.
Bez leśnych, tajnych dróg,

bez deszczu i bez dna
któżby istnieć mógł?

A ja straciłam las
jak przemilczaną noc.
Z korzeniami wyrwałam
drzewa rozblakane,
spaliłam dni deszczowe,
utopiłam słońce.

Czekam na las otwarty,
jasny i wyraźny.
Tam zostanę.

Salomea KAPUŚCINSKA

WSZYSTKO JEST OBOK

Trąby pozawieszane na chmurach.
Nie zagra na nich żaden anioł
z okazji końca świata.
Urodzeni pod nimi
czekamy aż przyleci
ptak czy samolot
by zawieść w górę
gdzie ustanie skwierczenie warg.
Zdejmujemy trąbę
dmąc na intencję
spełnionego czynu —

W międzyczasie
spadają na horyzont
tysiące dysków mroku
Błyskają atomy jak szkiełka lunet
Ogląda się nimi przyszłe lata

Stoimy
i czekamy na ptaka lub samolot

W ogrodzie z sadzonek
wyrosły drzewa
Twarda gąbka ulicy
jest coraz gładsza
z ustawicznego mycia butów

Wszystko jest obok nas
Wpatrujemy się w trąby wiszące
Czekamy na ptaka lub samolot

Kiedy usłyszemy nad sobą
szum skrzydeł
nie mamy na nic siły

Jeżeli siłę znajdziemy
rzucamy kamieniem

U nóg naszych leży
rozbity ptak-maszynka
stworzony przez
średniowiecznego dziwaka

nad nami wiszą trąby

Ireneusz IREDYŃSKI

BŁOGOSŁAWION

Błogosławion
co światła dojrzał
na cudzym horyzoncie
i krokiem nie własnym
podbiegł do metropolii
od Światowida kompas nastawił
ideal jak igłę
zgubił w kłębie ulic
pomnożył humor na miliony

czasami siebie spotykał
na rogach nieuniknionych
— ekspres co mija
słupy telegraficzne —
czasami nawet rozpoznał
powitał jako bliźniego
do sumy zaliczył

jemu na trumnę
kamienie z ich serc
się posypią
jemu krzyż
ze swoich ramion
na grobie postawią

błogosławion
on psu by ogonem zamachał
z godnością

Ludwik F. BUYNO

Archiwum polityczne

Kronika angielska

O „PISANIU DO SZUFLADY”, „POZYTYWNYCH BOHATERACH” i „WYBIERANIU WOLNOŚCI”

Gdy nadszedł Październik wyobrażałem sobie naiwnie, że na emigracyjnym rynku wydawniczym zaroń się od książek, broszur i innej twórczości dobytej z krajowych szuflad. Wydawało mi się, że pod ciśnieniem nocy stalinizmu — w pisarzach, poetach, publicystach musiało nastąpić jakieś rozdzielenie — że ludzie ci zdołali zachować psychiczną równowagę tylko dzięki temu, że choć godzinę w dniu byli sobą i pisali do szuflady.

Nieporozumienie polega na tym, że o literatach literaci myślą literacko. Moje płache nadzieje przedstawione powyżej stanowić mogą w tej materii klasyczny przykład.

Temat ten interesuje mnie od dawna i przeprowadziłem w tej sprawie serię rozmów z ludźmi pióra, którzy na przestrzeni ostatnich osiemnastu miesięcy odwiedzili Londyn.

Z generalizowaniem zawsze i wszędzie trzeba być ostrożnym. Zakładając, że istnieją pewne wyjątki — jako regułę można jednak przyjąć, że „do szuflady” pisali grafomani. W tym miejscu konieczne jest pewne dość istotne, wyjaśnienie. Nie można zaliczyć do twórczości szufladowej książek, które autor pisał z nadzieją, że cenzura jakoś je przepuści. Dopiero gdy cenzura postawiła veto autor schował manuskrypt do szuflady i wy dobył go dumnie po Październiku. Osobiście podejrzewam, że w po-październikowej twórczości było wiele antydatowania. W modzie było wówczas drukowanie poezji i nowel sprzed dwóch lub trzech lat. Ten niewinny snobizm jest interesujący. Autor przesuwając datę napisania swego wiersza o trzy lata wystawiał świadectwo nieprzerwanej ciągłości swojej postaci i stwarzał sobie sztuczną tradycję.

Osobiście jestem przekonany, że gdyby w czapce niewidce przeprowadzić rewizję w biurkach pisarzy rosyjskich również nie znalazłoby się manuskryptów pisanych wyłącznie dla szuflady.

Zdolność adaptacji jest czymś zdumiewającym u pisarzy. Kto się nie adaptuje ten nie drukuje, kto nie drukuje ten się nie liczy (pomijając fakt,

że na dobitkę często nie dojada). Można by ułożyć interesującą antologię ilustrującą poszczególne etapy procesu adaptacji. W tej antologii nie brakłoby utworów podpisanych tym samym nazwiskiem z epoki legionowo-sanacyjnej, z epoki emigracyjnej, peanów stalinowskich i na koniec liryk na swojską nutę wiosny w Październiku. Ponieważ jest to zjawisko w Polsce — jeżeli nie powszechne — to niezmiernie częste — wskutek tego nikogo nie dyskryminuje. Jeżeli w danym kraju osiemdziesiąt procent ludzi ma piegi — nie istnieje pojęcie piegowatych. Można mówić tylko o problemie tych, którzy piegów nie mają. A piegów nie mają tylko grafomani. Powyższe zdanie w stosunku do pewnych jednostek może być krzywdzące — ale uogólniającej prawdy w nim zawartej gotów jestem bronić.

W pewnym piśmie krajowym czytuję z przyjemnością dobre i inteligentne artykuły młodego człowieka, który kiedyś przed laty napisał ode na cześć Bezpieki. „Kultura” przedrukowała wówczas ów wiersz jako swojego rodzaju unikat w dziejach europejskiej literatury. Był to przejaw literackiej adaptacji posunięty raczej dość daleko. Przyszedł Październik — młody człowiek otrząsnął się z stalinowskiego czadu i pisze rozsądnie. Koledzy redakcyjni — z których żaden nie jest bez „winy” — przebaczyli bardowi tajnej policji i życie płynie dalej. I dobrze, że tak jest.

Krytyka personalistyczna w dzisiejszej epoce jest całkowicie bez sensu. Pierwsze pytanie jakie należy stawiać autorowi nie powinno brzmieć — co pan pisał — tylko kto pana organizował?

Jestem przekonany, że kiedyś ściśle socjologiczna szkoła historii literatury. Wówczas okaże się, jak stosunkowo mało znaczą pisarze, a jak wiele znaczą menadżerowie kultury.

Sięgnijmy po przykłady nam najbliższe — emigracyjne. W londyńskich „Wiadomościach” i w paryskiej „Kulturze” w dużym stopniu piszą ci sami ludzie. A przecież to są dwa zupełnie różne pisma. Różne kompozycją, wyrazem, atmosferą — wszystkim. Z grupy tych samych autorów Grydzewski lepi zupełnie coś innego niż Giedroyc. Gdyby przyszło pisać historię kultury na emigracji — to zacieśniając pojęcie kultury do pisarstwa — trzeba by stwierdzić, że owych dwóch wyżej wymienionych menadżerów wywarło większy i bardziej decydujący wpływ na strukturę kultury emigracyjnej niż stu pisarzy zrzeszonych w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Kultura — to jest organizacja. Bez organizacji twórczość jest dżunglą. Chodzi tylko o to by istniało bogactwo ośrodków organizacyjnych i by na czele tych ośrodków stali menadżerowie, którzy wiedzą czego chcą.

Publicysta nawykły i wtręcony od lat do rozpatrywania wszystkiego pod kątem kryteriów politycznych, rozumie lepiej niż krytyk czy literat zawiły problem Chruszczow-Dudincew. Politykowi trudno nawet nie mieć pewnego „współczucia” dla Chruszczowa w tej beznadziejnej sprawie.

Nie wiem czy Gomułka czytuje „Twórczość”. Może czytuje ją Spychalski. Może czyta jeszcze kilku innych członków KC. Wstawmy się na chwilę w położenie inteligentnego członka KC, który czuje na sobie ciężar współodpowiedzialności za to co dzieje się w Polsce. Starajmy się sobie odtworzyć reakcje takiego gentelmana po przeczytaniu świetnej noweli Iwaszkiewicza pt. „Wzlot”. W mojej niefachowej opinii jest to najlepsza rzecz jaką Iwaszkiewicz napisał po wojnie. Nowela jest poświęcona Camusowi i stanowi bardzo udaną próbę adaptacji jego techniki pisar-

skiej. Niemniej, nie można jej przyrównać do żadnego z utworów Camusa. Dla Camusa centralnym problemem jest zawsze człowiek — „ten człowiek”. Iwaszkiewicz jednym zdaniem koszar bezdennego upadku swego bohatera uogólnia na całą polską rzeczywistość. Bohater „Wzlotu” kończy swój wstrząsający monolog następująco: „Alboż to ciekawe, co ja ci opowiedziałem? Ciekawe? Zwyczajne. Prawda? Jak wszyscy ludzie”.

Z makabryczności zmasowanej w tej noweli najbardziej makabryczna, wprost nieludzka jest owa rzetelnie szczerza świadomość bohatera, że jego życie na tle współczesnej Polski jest... zwyczajne — jak wszystkich innych ludzi wokół.

Dla każdego polityka istnieje zagadnienie „pozytywnego bohatera” w literaturze. Gdy polski Chruszczow przeczyta „Wzlot” czy setkę innych niepomiernie słabszych, ale o podobnym wyrazie utworów — budzi się w nim naturalny i zrozumiały sprzeciw. Pomyśli sobie: „literatura nie musi zbawiać ojczyzn, ale nie musi również jej oczerniać. Przecież na miłość Boską trafiają się jeszcze ludzie w Polsce, którzy nie mordują, nie upijają się codziennie, nie kradną, a nawet dążą do konstruktywnych rozwiązań. Dlaczegoż ci ludzie nie znajdują łaski w oczach naszych pisarzy?”

Nieszczęsny polityk staje przed problemem, którego nie umie rozwiązać. Nie opuszcza go refleksja, że przecież stosunkowo tak niedawno polska literatura rola się od pozytywnych bohaterów. Czyżby Cezary Baryka zmarł bezpotomnie? Równocześnie (jak liczne próby wykazały) państwowe zamówienia na „pozytywnych bohaterów” — nie dały rezultatu. Lakierowane „produkcyjniaki” — drętwe typy — cegły i makulaturowy koniec. Więc jakie jest wyjście?

Gdyby jutro zniesiono cenzurę w Polsce w przeciągu najbliższych miesięcy pojawiłyby się nowele i powieści z pozytywnymi bohaterami. Nawet może Czarus Baryka doczekałby się potomstwa.

Dlaczego potrzeba do tego zniesienia cenzury — zapyta polski kandydat na Chruszczowa. Przecież cenzura jest jak najbardziej za „pozytywnymi bohaterami”.

Dlaczego? OTÓŻ DLATEGO, ŻE DOSZLIŚMY W POLSCE DO KRESU I ZMARTWYCHWSTAŁY BOHATER POZYTYWNY MUSIAŁBY ROZPOCZĄĆ SWOJĄ ŻYCIOWĄ KARIERĘ OD OKRZYKU POD ADRESEM POLSKICH CHRUSZCZOWÓW: „GO, FOR GOD'S SAKE GO!” (gdybym tę myśl miał wyrazić zwrotem polskim musiałbym być brutalny — a może nawet ordynarny).

Nie ma na tym globie bardziej oportunistycznego plemienia jak intelektualści. „Intelektualista” to brzmi dumnie. Ale inteligent to określenie zbyt szerokie. Inteligentem jest Leszek Kołakowski i inteligentem jest weterynarz w Koziej Woli. Przez intelektualistę w tym kontekście rozumiem jednostkę kulturo-twórczą.

Plemię intelektualistów ma za sobą stulecia kompromisów z cenzorami świeckimi i duchownymi — z inkwizytorami, cesarzami, mecenasami i wszelkiego typu i gatunku menadżerami kultury. Intelektualista jest bezbronny. Wszystkie związki zawodowe intelektualistów są fikcją — bo zamiast stwarzać tarcze solidarności są z reguły areną walk, koterii i zawiści. Intelektualistów musi zawsze organizować ktoś inny. Gdyby intelektualści a zwłaszcza pisarze byli zdolni do wytworzenia prawdziwie solidarnego

organizacji ich sytuacja nawet w Polsce Ludowej byłaby zupełnie inna.

Intelektualiści są bezbronni i skłonni do kompromisów jak wszyscy ludzie holdujący pasjom, nałogom i namiętnościom. Każdy pisarz z krwi i z kości chce pisać i drukować. Chce być czytany, dostrzegany, dyskutowany. I dlatego autentyczny pisarz pójdzie (raczej) na kompromis, by jednak pisać i drukować a nie zdecydować się na twórczość „do szuflady”.

Ale wszystko, jest jak Anglicy, mówią „matter of degree”. To angielskie powiedzenie jest w gruncie rzeczy trawestacją marksistowskiej zasady głoszącej, że w pewnym układzie ilość przemienia się w jakość. Ilość oczek w sieci cenzury decyduje o stopniu jej nieprzepuszczalności. JEŻELI SIĘ CENZURY JEST TAK GĘSTA, ŻE NIE MOŻNA PRZEPCHAĆ PRZESZ NIA KSIĄŻKI, KTÓRĄ AUTOR UWAŻA ZA ISTOTNĄ — GRANICA KOMPROMISU ZOSTAJE OSIĄGNIĘTA.

Można by w tym miejscu wypowiedzieć wiązaną wzniosłości o wierności sztuce, o misji, o powołaniu itd. Te motywy odgrywają czasami rolę. Ale jądrem dramatu jest indywidualna ambicja twórcza i to co popularnie nazywamy szczęściem. Nikt na tym padole nie jest szczęśliwy, ale to nie oznacza by ludzie godzili się łatwo z nieszczęściem — zwłaszcza własnym. Świadomość, że ranga pisarska zależy od urzędnika w cenzurze, który książkę może uśmiercić lub okaleczyć — wydaje mi się nie do pogodzenia z pogodnym spojrzeniem na świat. Przecież na liść Boską każdy z piszących wie jak straszliwie trudno jest być dobrym pisarzem bez cenzury — a cóż dopiero z cenzorem na karku. To tak jakby stawać do maratonu w butach z ołowiu.

Nie oznacza to oczywiście, że gdyby jutro w Polsce zniesiono cenzurę — zstąpiłby z niebios złoty wiek literatury. Dla wielu byłoby to nieszczęściem. Dziś taki pan pisze michałki a na dnie serca myśli: „ach, gdyby nie było cenzury — wówczas rozpostarłbym skrzydła!” Zniesienie cenzury przekonałoby wielu rzekomych orłów z podwianymi skrzydłami, że de facto są gawronami i pozostaną nimi w każdym ustroju.

Najistotniejszym węzłem łączącym pisarza z Krajem jest krąg czytelników. Cokolwiek mówilibyśmy o europeizmie — każdy autor piszący w języku polskim chce pisać w pierwszym rzędzie dla Polaków. I to jest jasne, naturalne i zrozumiałe.

Ale mimo to jestem pewien, że przed niejednym pisarzem w Kraju — od czasu do czasu — jawi się następujący dylemat:

Co jest istotniejsze — czy pisać pod cenzurą w kompromisie z samym sobą lecz za tę cenę utrzymywać bezpośredni kontakt z Krajem i polskim czytelnikiem — czy też wyjechać zagranicę, utracić ów bezpośredni kontakt, ale wzamian móc pisać bez cenzury?

Dylemat jest wielkiego wymiaru i może być rozwiązywany tylko w płaszczyźnie indywidualnych decyzji. Dla pisarza historycznego, którego interesuje epoka średniowiecza — ów dylemat może nigdy nie przybrać formy osobistego dramatu. Lecz dla pisarza związanego z współczesnością ów problem może doprowadzić do załamania, które odwrócić można jedynie podjęciem odważnej decyzji. Bo w końcu coś z czytelników jeżeli nie można im powiedzieć tego co im się chce powiedzieć — jeżeli nie można przekazać im w pełni tego co autor ma do zakomunikowania i co określa wagę, rację i sens jego pisarstwa.

W wypowiedziach pisarzy krajowych pod naszym adresem często powtarza się motyw, że o kulturę polską o jej formę i wyraz — walczyć można tylko w Kraju. Między wierszami daje się nam do zrozumienia, że i przeciwko cenzurze można skutecznie walczyć tylko w Kraju. Osobiście nie jestem tego pewien.

NIKOGO NIE NAMAWIAMY DO WYBIERANIA WOLNOŚCI. Uważam jednak, że każdy pisarz polski, podobnie jak wszyscy jego europejscy koledzy, ma prawo wydawać swoje książki tam, gdzie mu się podoba i tam gdzie znajduje wydawców, którzy mu odpowiadają. Dlaczego tylko pisarze emigracyjni mają korzystać z praw, których nikt nie poddaje w wątpliwość w cywilizowanym świecie. Powiedzmy książki Par-nickiego, ukazywały się w paryskiej Bibliotece „Kultury”, ukazują się w Kraju, a może następną powieść autor „Srebrnych Orłów” zechce wydać w Australii. Dlaczego wydanie książki u jednego z polskich wydawców zagranicznych ma być uważane za przestępstwo czy zdradę? Czy tylko dlatego, że autor krajowy uniknąłby w ten sposób stupajkowatej cenzury? Oczywiście w Polsce Ludowej na takie rozwiązanie nie można liczyć. Wiemy, że w stosunku do autorów krajowych, którzy drukowali swe utwory w „Kulturze” stosowano rozmaite formy terroru i nacisku.

Więc cóż pozostaje? Jeżeli książki do której przywiązuje się wagę nie można ani przepchać przez cenzurę — ani wysłać do polskiego wydawcy zagranicą — wówczas trzeba chyba wziąć książkę pod pachę i wyjechać z nią razem.

To są czysto indywidualne problemy, ale przecież o wydzwieku ogólnonarodowym. Pisarz adaptuje się i nagina — idzie na kompromisy bo chce pisać, drukować i żyć. Musi samotnie ocenić czy w danych ramach układu politycznego jest w możliwości dać z siebie maksimum. Jeszcze raz należy podkreślić, że wolność nikomu nie przypina skrzydeł. Przeciwnie — obnaża często intelektualną nędzę, której pod totalistycznym kłosem nie każdy jest świadom. Tam gdzie nie ma cenzury autor ze swym talentem jest sam na sam i nie ma absolutnie niczego na swoje usprawiedliwienie.

Z drugiej jednak strony z całą pewnością nie leży w interesie kultury polskiej by wybitne talenty miały przed sobą ograniczoną perspektywę rozwoju. Zagadnienie to wiąże się również z czysto praktyczną polityką. Gdyby kilku czy kilkunastu pisarzy krajowych ogłosiło swe książki u polskich wydawców zagranicą, wówczas KC musiałby poddać rewizji swą dotychczasową politykę cenzuralną.

Czy krok taki musiałby być równoznaczny z tzw. „wybraniem wolności”? To w całości zależy od władz Polski Ludowej. Jeżeli pisarz, któremu cenzura odrzuciła książkę mógłby wsiąść w samolot — polecieć do Paryża i omówiwszy wydanie swego rękopisu spokojnie wrócić do Warszawy — problem wybierania wolności odpadłby całkowicie. ALE CZY PISARZ W TAKIEJ SYTUACJI MOŻE SPOKOJNIE WRÓCIĆ DO WARSZAWY?

Wszystko co wyżej powiedzieliśmy sprowadza się do następującego punktu. W interesie kultury polskiej leży, by wybitne pozycje literackie, które potencjalnie mogłyby powstać — powstały. W znacznie większym stopniu wzbogaca kulturę polską wybitne dzieło wydane zagranicą — choćby chwilowo do Kraju nie miało legalnego dostępu — niż dzieło średniej wartości wydane w Kraju i powszechnie czytane. Książki Gombrowicza

napisane i wydane zagranicą wzbogaciły kulturę polską w niepomierne większym stopniu niż tomy średnich czy nawet niezłych powieści napisanych i wydanych w Kraju. „Dziennik” Gombrowicza jest wybitną pozycją w bilansie kultury polskiej bez względu na to czy w danym momencie Polakom w Kraju pozwolą go czytać czy nie. Czy Gombrowicz byłby przysłużył się kulturze polskiej siedząc „nad Wisłą” i pisząc pod cenzurą? Myślę że nie.

W sumie, cenzura i „wybieranie wolności” to są zagadnienia w pierwszym rzędzie (jeśli nie wyłącznie) dotyczące pisarzy wybitnych. Nigdy nie namawiałbym pisarzy średniego lotu do podejmowania takich decyzji.

LONDYŃCZYK

Ataman Petlura

Dnia 28 lutego r.b. Telewizja Francuska nadała słuchowisko odtwarzające proces Szwarebarda, który w 1926 roku zamordował w Paryżu Naczelnego Atamana Symona Petlurę. Słuchowisko było swego rodzaju apoteozą skrytobójeznego mordu na przywódcy walki o niepodległość narodu ukraińskiego.

Nie ulega wątpliwości, że istnieją czynniki światowe zainteresowane w kompromitowaniu niepodległościowego ruchu ukraińskiego. Ataman Petlura musiał zginąć w 1926 roku, gdyż wówczas obawiano się zaktualizowania walki wyzwoleniczej na Ukrainie, a dziś — gdy zaczynają powstawać rzyśy na bloku sowieckim, których etapami były polski „październik”, powstanie węgierskie, proces Haricha, nastroje na uniwersytetach Charkowa i Kijowa — próbuje się *zabić legendę* Atamana.

Jest ponadto tragedią, że tę tajemniczą rozgrywkę chce się robić rękami żydowskimi. Organizatorzy tej manifestacji nie liczyli się z losem żydowskiej ludności Ukrainy i Europy Wschodniej, tak, jak nie liczyli się i w roku 1926.

Jesteśmy przeciwnikami mordów politycznych i „kultu krwi”. Z nich rodzi się jedynie faszyzm — obojętne brunatny czy czerwony. Jesteśmy przyjaciółmi narodu żydowskiego a sprawa wolności Ukrainy jest również i naszą sprawą i dlatego — uważamy za swój obowiązek zaprotestować przeciw takim audycjom, które są krzywdą dla obu narodów.



W dowód hołdu dla Naczelnego Atamana Petlury — wielkiego patrioty, rewolucjonisty i socjalisty — Redakcja „Kultury” słożyła w dniu 1-ym kwietnia r.b. wieniec na jego grobie, na cmentarzu Montparnasse w Paryżu.

Kraj

O sytuacji w filozofii

W sześć lat po ukazaniu się pierwszego numeru „Myśli Filozoficznej” czasopismo to przestało wychodzić i jego miejsce zajął dwumiesięcznik „Studia Filozoficzne” (1). Zmiana nazwy centralnego wydawnictwa filozoficznego jest zewnętrznym znakiem doniosłych przemian jakie nastąpiły w warunkach pracy badawczej i dydaktycznej polskich filozofów. W tym celu wystarczy porównać słowo wstępne „Od Redakcji” pierwszego numeru „Myśli Filozoficznej” i „Studiów Filozoficznych”. „Myśl Filozoficzna” powołana została do życia jako „placówka wyraźnie marksistowska”, obdarzona przywilejem monopolu, prerogatywą najwyższego sędziego w sporach i prawodawcy prawdy w naukach filozoficznych. Mieniąc się „centralnym czasopismem filozoficznym w Polsce”, swój „główny pion koncepcyjny” określała „Myśl Filozoficzna” w następujący sposób:

„Walka o przepojenie całej nauki polskiej marksistowsko-leninowskim światopoglądem;
twórcze rozwijanie filozofii marksistowskiej w ścisłym powiązaniu z potrzebami praktyki;
popularyzacja podstaw naukowego marksistowskiego myślenia i działania w najszerszych masach;
walka przeciw hamującemu rozwój społeczny pozostałościom idealizmu, przeciw filozofii burżuazyjnej, przeciw rozkładowej filozofii imperializmu”.

Redakcja „Studiów Filozoficznych” odmiennie swą rolę pojmuje. Jak czytamy w słowie wstępnym, „Studia Filozoficzne”

(1) „Studia Filozoficzne”, podobnie jak „Myśl Filozoficzna”, są organem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Pierwszy numer „Studiów Filozoficznych” ukazał się w grudniu ubiegłego roku, nakładem PWN i liczy 236 stron.

„będą publikować prace z zakresu wszystkich dyscyplin tradycyjnie uchodzących za filozoficzne — a więc historii filozofii, logiki, teorii poznania, teorii i metodologii nauk, teorii moralności, estetyki, teorii kultury. W zakres zainteresowań pisma wchodzi problematyka różnych nauk — zarówno przyrodniczych, jak humanistycznych — posiadająca doniosłość filozoficzną już to dzięki swojej syntetyczności, już to dzięki związkowi rzeczowemu z kwestiami filozoficznymi w ustatkuowanym znaczeniu.

Redakcja „Studiów Filozoficznych” pragnie udzielać łamów pisma różnym żywotnym obecnie kierunkom i stylom myślenia filozoficznego w granicach określonych rygorami poprawności naukowej i zasadami myślenia racjonalnego”.

Powyższe słowo „Od Redakcji” nie jest werbalnym oświadczeniem. Potwierdza je zawartość pierwszego numeru „Studiów Filozoficznych” oraz poręczają zmiany dokonane w Komitecie redakcyjnym. „Myśl Filozoficzna” miała komitet składający się z jednostronnie dobranej grupy osób, z Adamem Schaffem jako redaktorem naczelnym, oraz radę redakcyjną, liczną i reprezentatywną, która jednak była pozbawiona wpływu na kierunek czasopisma, prócz daremnych protestów rzadko docierających do publicznej wiadomości. „Studia Filozoficzne” nie mają rady redakcyjnej, ich redaktorem naczelnym jest Leszek Kołakowski, a w Komitecie redakcyjnym zasiadają osoby reprezentujące wszystkie tradycyjne dyscypliny filozoficzne i prawie wszystkie kierunki w polskiej filozofii akademickiej (wyjątkiem jest fenomenologia i neotomizm).

Również zawartość pierwszego numeru „Studiów Filozoficznych” upewnia o zmianie charakteru jedynego polskiego czasopisma filozoficznego, tak co do problematyki jak i kryteriów kwalifikujących przyjęcie artykułów do druku. Numer otwiera Tadeusz Kotarbiński streszczeniem wykładu pod tytułem „Filozof”. Wykład ten wygłoszony na Uniwersytecie Łódzkim w 1947 roku wyjaśnia popularnie jakimi sprawami zajmuje się nauczyciel filozofii i jakich sposobów używa, by zaprawić swych uczniów w umiejętność filozoficznego myślenia. Ten kryształowo przejrzysty i sokratycznym duchem przepełniony artykuł mistrza polskiej filozofii dostarcza sam w sobie pionu koncepcyjnego czasopisma filozoficznego całkowicie odmiennego od tego, jaki obrała sobie „Myśl Filozoficzna”.

Ponieważ socjologowie mają obecnie własne publikacje — „Przegląd Socjologiczny” oraz „Kulturę i Społeczeństwo” — „Studia Filozoficzne” nie będą zamieszczać artykułów socjologicznych. Łamy ich stoją natomiast otworem dla rozpraw z dziedziny filozofii społecznej, historii kultury i myśli społecznej. Do filozofii społecznej należy wnikliwy artykuł Stanisława Ossowskiego „Pojęcie klasy społecznej”, wyjątek z dzieła „Struktura klasowa w społecznej świadomości”, które ukazało się ostatnio nakładem Ossolineum. Historię ideologii reprezentuje „Osobowość i Historia” Andrzeja Walickiego, wydawcy pism Bielińskiego w serii „Biblioteka Klasyków Filozofii”, który zajmuje się „walką o indywidualność” (przeciw bezosobowym siłom

kształtującym proces historyczny) w twórczości Bielińskiego, Herzena i Ławronowa. Do historii kultury zaliczyć chyba należy „Przełamanie narodzin idei tolerancji” Zbigniewa Ogonowskiego, również fragment obszerniejszej pracy „Z zagadnień tolerancji w Polsce w XVII wieku”, mającej się niebawem ukazać nakładem PWN.

Pozostałe artykuły należą do tradycyjnych dyscyplin filozoficznych. Tak więc historię filozofii zajmuje się Jan Legowicz („Metodologiczne założenia recepcji arystotelizmu u Bonawentury”), metodologią nauk przyrodniczych — Tadeusz Pawłowski („Z logiki pojęć przyrodniczoznawstwa”) i Marian Przełęcki („Logiczna analiza rozwoju pojęcia pierwiastka chemicznego”), filozofią przyrodniczoznawstwa — Gustaw Kerszman („O istocie życia”). Artykuły Pawłowskiego i Przełęckiego rozważają zagadnienie w jakiej mierze doświadczenie i teoria wpływają na zmiany definicji pojęć nauk przyrodniczych oraz czym są rzeczywiście te definicje — zdaniem analitycznym, definicją sensu stricto, czy też twierdzeniem empiryczno-rzeczowym. Kerszman referuje współczesny stan sporu między zwolennikami witalistycznych i mechanistycznych teorii życia (2).

W dziale omówień i recenzji Stanisław Baczko daje analizę książki Hyppolite’a „Etudes sur Marx et Hegel” oraz snuje refleksje nad „Trzema rozprawami społecznymi” Rousseau i „Szkielet obrazu postępu ducha ludzkiego” Condorceta, wydanymi niedawno w polskim tłumaczeniu (Biblioteka Klasyków Filozofii); Klemens Szaniawski recenzjonuje dzieło B.B. Braithwaite’a z 1953 roku „Scientific Explanation”, a I. Lazari-Pawłowska — „Moralność Mieszczańska” Marii Ossowskiej. W szrankach polemicznych występuje Adam Schaff. Zajmuje się on sprawą czy wyznawca metody dialektycznej winien przyjąć lub odrzucić logiczną zasadę sprzeczności (choć w polemice mowa jest o logicznej, stronom w sporze chodzi bodaj o ontologiczną zasadę sprzeczności). Jest to spór w marksistowskiej rodzinie, gdyż jego przedmiot jest wyjaśniony dla badaczy, których droga do filozofii wiodła przez wykształcenie logiczne.

Interesującą rzeczą w tej polemice jest potępienie przez Schaffa dyskusji filozoficznej prowadzonej na wzór oskarżenia przez prokuratora uzbrojonego w kodeks niewzruszonych prawd o świecie i obciążającego oskarżonego winą „podważania kamienia węgielnego marksizmu” w wyniku ulegania naciskowi filozofii burżuazyjnej. Ta metoda była szeroko stosowana na łamach „Myśli Filozoficznej” oraz jest nadal kultywowana przez „Woprośy Filozofii”, między innymi na przykładzie rozprawy Schaffa „Aktualne zagadnienia polityki kulturalnej w dziedzinie filozofii

(2) Kerszman wprowadza szereg nowych szpetnych terminów technicznych, jak na przykład „mechanicyści” lub „organizmizm”. Ukazywanie nowych terminów naukowych nie zawsze jest rzeczą łatwą, lecz ubolewać trzeba, gdy wzbogacanie terminologii dokonuje się bez uwzględnienia estetyki języka.

i socjologii" (Warszawa 1956), której krytyk sowiecki zarzuca „podawanie w wątpliwość wniosków teorii marksistowskich i ich rewizję" (Woprosy Filozofii 4/57). Wiele w Polsce zmieniłoby się na lepsze, gdyby zasada zalecana przez Schaffa w „Studiach Filozoficznych" — niedopuszczalność dyskwalifikowania poglądów różnych od własnych jako społecznie szkodliwych, antymarksistowskich lub antysocjalistycznych — była przez wszystkich szanowana, nie wyłączając jej obrońcy, w stosunku do każdego i każdej publikacji, zarówno naukowej jak i przeznaczonych dla szerokich kół czytelników" (3).

Nie byłoby rzeczą właściwą porównywanie „Studiów Filozoficznych" z czasopismami przedwojennymi — „Przeglądem Filozoficznym" lub „Kwartalnikiem Filozoficznym". Filozofia nie rozwija się w próżni społecznej i historycznej. Gdy rozpatruje się jej wątki i kierunki trzeba uwzględnić to co Gilbert Ryle nazwał „kształtem społecznej i kulturalnej sceny, na której rozgrywa się sztuka filozoficzna" (*The Revolution in Philosophy*, London 1956). Z „kształtem sceny" zmienia się zakres intelektualnych zainteresowań, a z zakresem zainteresowań często musi ulec zmianie metoda ich rozpatrywania. Można ubolewać nad tym, iż rozwój filozofii w Polsce został przez wojnę przerwany i po wojnie w pełni do dawnej tradycji nie zdołał nawiązać. Przed Drugą Wojną Światową filozofia w Polsce osiągnęła wysoki stopień specjalizacji, posługiwała się precyzyjnymi i technicznie wysoko rozwiniętymi metodami. Osiągnięcia polskiej filozofii przedwojennej i tych polskich myślicieli, którzy tradycję szkoły warszawskiej kontynuują poza granicami kraju, stanowią doniosły wkład do nowoczesnej myśli filozoficznej i są obecnie powszechnie znane. Należą do nich w pierwszym rzędzie prace Chwistka, Łukasiewicza, Leśniewskiego, Tarskiego, Kotarbińskiego, Bocheńskiego (4).

(3) Tytułem przykładu braku poszanowania dla zasady, o której mowa, można podać artykuł A. Schaffa „Czas decyzji" (*Trybuna Ludu*, 12. 11. 57).

(4) Korzystam z tej okazji, by zwrócić uwagę zainteresowanych czytelników na dzieło J. Passmore'a *A Hundred Years of Philosophy*, London 1957, w którym omówione są niektóre osiągnięcia polskich filozofów. Passmore zajmuje się filozofami innej narodowości niż angielska tylko wówczas, gdy wywarli oni wpływ na rozwój filozofii w Anglii, co w praktyce wymaga, by ich prace były dostępne w angielskim języku (tytuł dzieła Passmore'a jest mylący i brzmieć winien „A Hundred Years of Philosophy in Great Britain"). Wyjaśnia to z jednej strony, dlaczego wśród polskich filozofów o ustalonej w świecie anglosaskim reputacji brak jest Ajdukiewicza, z drugiej Ingardena. W swej „Contemporary European Philosophy" (University of California Press, 1956) I.M. Bocheński charakteryzuje „Spór o istnienie świata" Ingardena jako „jedną z najdonioślejszych publikacji współczesnych czasów" i ubolewa, iż dzieło to ukazało się jedynie po polsku, języku niedostępnym dla ogromnej większości czytelników dzieł filozoficznych. Inne losy spotkały dzieło Ingardena „Das literarische Kunstwerk". Znanie jest ono nie tylko na kontynencie europejskim, jego znajomość również przeniknęła do anglosaskiej teorii literatury.

Obecna polska produkcja filozoficzna stoi jakby na uboczu głównego prądu nowoczesnej myśli filozoficznej i z różnych przyczyn nadal poszukuje własnych dróg rozwoju. Pod ciśnieniem społecznych i politycznych okoliczności, filozofia w Polsce najczęściej podejmuje zagadnienia związane bezpośrednio z życiem lub narzucone przez życie i obudzające szeroko odczuwane intelektualne zainteresowania. Wydaje się, iż tak rozumiana „filozofia na powszechny użytek" jest obecnie głównym nurtem w polskiej filozofii i ten nurt przyciąga większość adeptów filozofii młodszego pokolenia. Filozofia akademicka, zorientowana logicznie, związana z naukami ścisłymi i posługująca się wyspecjalizowanymi metodami badawczymi, ma jak się zdaje mniejszy zastęp wyznawców. Do tego drugiego nurtu należy większość filozofów starszego pokolenia, nie ma on jednak, jak dotąd, wśród młodszych wybitnego przedstawiciela. Nurt filozofii akademickiej skupia się wokół „Studia Logica", wydawnictwa ukazującego się, niestety, nieregularnie, w rocznych a nieraz i dłuższych okresach czasu.

Dla przyszłości filozofii w Polsce rzeczą najistotniejszą jest to, jak się filozofię uprawia i jak się jej uczy. Pod tym względem nastąpiła w Polsce radykalna zmiana. Filozofia wyroczni i dekretu zmuszona została do ogłoszenia bankructwa i jej czołowi protagoniści bądź zamilkli, bądź wyrzekli się jej wraz z „kultem jednostki". Przestrzeganie wymagań logicznej i merytorycznej poprawności przestało być wykroczeniem, za które jest się pociągającym do odpowiedzialności przed trybunałem politycznym, szacunek dla tych wymagań stał się regułą i rzeczą samą przez się zrozumiałą. Filozofia marksistowska jest tylko jedną ze szkół. „Walka o wpływ i zwycięstwo ideologii marksistowskiej", stwierdzał Adam Schaff, „opierać się musi nie na wyłączności, lecz na wolnej konkurencji" (*Trybuna Ludu*, 7. 2. 57). Jak była o tym mowa, „Myśl Filozoficzna" czasopismo o charakterze propagandowo-politycznym (stopniowo eliminowanym w poprzedzających zawieszenie numerach), zastąpione zostało „Studiami Filozoficznymi", czasopismem o charakterze naukowym. Nastąpiły zmiany w nauczaniu filozofii. Marksizm-leninizm jako odrębny przedmiot studiów został skasowany. Instytut Nauk Społecznych przestał kształcić „marksistowskie kadry naukowe". Studium filozofii jest obecnie skoncentrowane na wydziale filozoficznym, powołanym do życia w 1953 roku w wyniku podziału wydziału humanistycznego. Niezależnie od tak zwanych usługowych katedr filozoficznych, jakie są czynne na wszystkich uniwersytetach, pełny wydział filozoficzny, z sekcją filozoficzną i socjologiczną, istnieje na Uniwersytecie Warszawskim (miał być ponoć również uruchomiony na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu, lecz niżej podpisany czerpie te wiadomości jedynie z niepotwierdzonych doniesień prasowych). Umożliwieniu studiów filozoficznych na innych uniwersytetach stoi podobno na przeszkodzie brak wykwalifikowanych wykładow-

ców. Tak w każdym razie tę okoliczność wyjaśnił minister szkolnictwa wyższego (*Życie Literackie* 35/57).

Program nauczania filozofii podlega rewizji. Jak się obecnie stwierdza, tak zwane katedry zespołowe nie zdały egzaminu użyteczności i następuje proces ich rozbijania na katedry indywidualne poszczególnych specjalności — logiki, metodologii, historii filozofii starożytnej, średniowiecznej, nowożytnej, historii myśli społecznej, estetyki.

Polscy filozofowie nawiązali osobiste i organizacyjne kontakty z szerokim światem, biorą udział w kongresach międzynarodowych i sami są gospodarzami międzynarodowych spotkań. W lipcu ubiegłego roku odbyło się w Warszawie spotkanie Międzynarodowego Instytutu Filozoficznego, w którym udział wzięli uczeni z 19-tu krajów świata, większość z nich z krajów zachodnich mimo liczego udziału przedstawicieli tak zwanych państw socjalistycznych. Zgodzić się trzeba z Adamem Schaffem, iż było to w skali polskiej najważniejsze wydarzenie filozoficzne ubiegłego roku (*Trybuna Ludu*, 3. 1. 58). Nieco gorzej przedstawia się sprawa wolnej cyrkulacji literatury zagranicznej. Jak pisał niedawno prezes PAN, „ktoś to i owo zatrzymuje”.

Zasłużeni dla rozwoju filozofii w Polsce, uczeni o europejskich nazwiskach — Roman Ingarden i Władysław Tatarkiewicz — odzyskali prawo nauczania i mogą wyklądać co zechcą (5). W ogólności „w odniesieniu do słowa mówionego w szkołach wyższych, instytutach badawczych, towarzystwach naukowych”, pisał Tadeusz Kotarbiński, „jest na ogół dobrze”.

„Nie słysząc, by ktokolwiek żądał tam od bezpartyjnych głoszenia twierdzeń nakazanych lub zakazywał głoszenia odpowiedzi na zagadnienia naukowe wedle własnego przekonania... Nowej sytuacji słowa drukowanego dotąd się nie wypróbowowało, ale nie słysząc jakoś o dyskryminacjach, o zakazach publikowania w organach naukowych czegokolwiek z naukowej produkcji humanistycznej” (*Trybuna Literacka* 4/57).

II

Lecz ledwo można zanotować i cieszyć się opisanymi zmianami na lepsze, pojawiać się zaczynają znaki ostrzegawcze, iż ich trwałość nie jest tak pewna, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje. W cytowanym wyżej artykule Tadeusz Kotarbiński wyrażał „pewien niepokój” co do pojawiających się tendencji ograniczania wolności słowa w literaturze i publicystyce. Pisarstwo humanistyczne, pisał on, nie znosi sztucznego podziału, na długą metę nie można utrzymać tego stanu rzeczy, by naukowcy humaniści mogli się swobodnie wypowiadać w swych czasopismach fachowych, podczas gdy swoboda pisarzy i publicystów podlega ograniczeniom. Prędzej lub później to co stracili jedni dotknie

(5) Pod koniec ubiegłego roku ukazał się nakładem PWN tom pierwszy „Studiów z estetyki” Ingardena.

i drugich. W szczególności, gdy ograniczenia wolności słowa dotyczą nie tego, co Tadeusz Kotarbiński nazywa konkretnymi, określonych spraw i osób, lecz przejawia się jako „tabuizacja pryncypów”. Zamknięcie „Po Prostu”, „Europy”, „Ziemi i Morza”, „Przemian”, „Kroniki”, czystka w „Sztandarze Młodych”, banicja z łam prasę kilku wybitnych publicystów, wzrost konfiskat artykułów, obostrzenie przewencyjnej cenzury, dostarczają ostrzeżeniom T. Kotarbińskiego konkretnych ilustracji. „Kto decyduje w sprawie „Po Prostu”, pisał Adam Schaff, „rozumie nie jako sprawę ‘samą w sobie’, lecz jako przejaw, symptom, znacznie szerszej i rozleglejszej polityki kulturalnej, ten rozumuje poprawnie” (*Trybuna Ludu*, 17.10.57).

Nie trzeba jednak sięgać do spraw dotyczących bezpośrednio pisarzy i publicystów, by doświadczyć uczucia zaniepokojenia tendencjami jakie dochodzą coraz silniej do głosu. Kazimierz Ajdukiewicz ogłosił w „Nauce Polskiej” (3/57) artykuł „O wolności nauki”. Jest to chyba najświetniejszy w języku polskim esej poświęcony tej doniosłej sprawie. Ajdukiewicz definiuje wolność nauki jako swobodę czworaką — wolność wyboru zagadnień i metody ich rozwiązywania, wolność myśli i słowa pisanego. Stwierdza on jednocześnie, że żadne względy nie usprawiedliwiają ograniczeń swobody myśli naukowej i wyboru metody badawczej, istnieć natomiast mogą okoliczności nakazujące pewne określone ograniczenia wolności słowa i wyboru problematyki. Gdy takie okoliczności zaistnieją, jedyną drogą uniknięcia szkodliwych dla rozwoju nauki nadużyć stanowi oddanie cenzury prac naukowych odpowiednio dobranym przedstawicielom świata nauki oraz udział uczonych w decyzjach dotyczących rozdziału środków na badania naukowe.

Powyższe propozycje dotyczą sedna rzeczy w sporze jaki obecnie rozgorzał wokół wolności nauki, a to w związku z wysiłkami Partii zmierzającymi do odzyskania kierowniczej, a więc decydującej roli w sprawach rozwoju i organizacji nauki. Inicjatorzy tej ofensywy stoją na stanowisku, iż wszystkie warunki wolności są spełnione, jeśli tylko Partia wstrzyma się od rozstrzygania za uczonych problemów należących do poszczególnych nauk, zrezygnuje z „administracyjnego narzucania poglądów” i metod badawczych oraz zagwarantuje swobodę dyskusji naukowych. Tak pojętej wolności nauki nie ogranicza, ich zdaniem, zasada dominacji „określonej polityki kulturalnej”, jakiej formułowanie i wprowadzenie w życie należy do Partii. Smutną jest rzeczą zanotować, iż meżom zaufania Partii dostarczają poparcia w tej sprawie również niektóre osoby wysoko postawione w hierarchii uniwersyteckiej. „Kto uznaje kierowniczą rolę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w państwie”, pisał Alfons Klafkowski, rektor Uniwersytetu Poznańskiego, „ten nie może odmawiać uznania tej kierowniczej roli również w dziedzinie organizacji nauki” (*Polityka* 43-44/57).

Szczegółowe uzasadnienie powyższego stanowiska znaleźć można w artykule „Wolność nauki a polityka kulturalna” Ada-

ma Schaffa, rzecznika Partii (*Trybuna Ludu*, 17. 10. 57). Partia, pisał Schaff, nie zamierza ograniczać wolności nauki, to znaczy „nie zamierza rozstrzygać sporów naukowych za uczonych”. Partia nie chce jej ograniczać, bo przecież dopuszcza „w dziedzinie twórczości duchowej rozmaite kierunki, pod warunkiem, że nie są one antynaukowe i antysocjalistyczne”. Nie oznacza to jednak, dodał Schaff po tym wstępie, wyrzeczenia się „rzeczywistego kierownictwa partyjnego w dziedzinie nauki”. Kierownictwo to ma się przejawiać jako „ingerencja państwa” w zagadnieniach takich jak dobór młodzieży na uczelnie, jej wychowanie polityczne i ideologiczne, powoływanie placówek naukowych, ich formy organizacyjne, rozdział środków materialnych, organizacja wydawnictw naukowych itp. „Ingerencja państwa” to w rzeczywistości ingerencja Partii, Sekretariatu PZPR-u, któremu w tych decyzjach ma doradzać anonimowa komisja nauki i oświaty KC, złożona z „naukowców marksistów” (6). Zdaniem Schaffa III Zjazd PZPR-u winien ostatecznie ustalić status tego ciała partyjnego, które już istnieje i działa.

W świetle tej wypowiedzi trudno jest zgodzić się z opinią Schaffa, iż oskarżenie Partii o chęć ograniczania wolności badań naukowych jest „całkowitym nonsensem”. Albowiem propozycje Schaffa nie pozostawiają nietkniętą żadnej z czterech swobód składających się na wolność nauki, a zagrażają bezpośrednio wolności słowa i wolności wyboru problematyki badawczej. Organizacja wydawnictw naukowych pod auspicjami Partii była w minionym okresie bardzo skutecznym środkiem ograniczania wolności słowa. Partyjna decyzja co do rozdziału funduszy na badania naukowe była sposobem narzucania problematyki badawczej, faworyzowania ze względów politycznych jednych dyscyplin lub kierunków kosztem unicestwiania drugih. Przyczyniła się ona również do zaniedbania zagadnień doniosłych z punktu widzenia czysto poznawczej funkcji nauki, do uprawiania wąskiego praktycyzmu, kosztem zarówno nauki jak i jej użytecznych zastosowań. Gdy Partia ma decydować o rozdawnictwie środków materialnych, priorytecie zadań badawczych, kierunku rozwoju poszczególnych dyscyplin, gdy Partia ma rozstrzygać o powoływaniu placówek badawczych i kontrolować wydawnictwa naukowe, na długą metę nie może ostać się ani wolność myśli i słowa, ani wolność wyboru problematyki i metody. Te wolności są w szczególności nie do pogodzenia z uroszczeniem Partii do rozsądzania tego, co jest wkładem do nauki, a co jest

(6) Skład działającej równolegle Komisji Kultury przy KC PZPR-u podany został do publicznej wiadomości. Oprócz partyjnych nominatów zasiadają w niej również twórcy i krytycy, jak na przykład W. Daszewski, J. Przyboś i J. Toeplitz. Ci ostatni są jednak zmagoryzowani przez osoby, które z twórczością kulturalną nie mają nic wspólnego i pisarzy, których nazwiska wystarczy wymienić — Kruczkowski, Putrament — by nie trzeba było dodać żadnego komentarza. W wypadku Komisji Nauki i Oświaty nie ujawniono dotąd, o ile wiadomo, jej składu i na ten temat snuć można jedynie domysły.

antynaukowe, co jest zgodne z socjalizmem, a co zgodne z nim nie jest. Samo sformułowanie warunków swobody w dziedzinie twórczości duchowej w podobnych terminach i w oparciu o podobne kryteria świadczy o tym, iż zamiast na płaszczyźnie formalno-rzeczowej rozstrzygnięć szuka się w oparach doktryny, odwołuje się do jakichś utajonych dogmatów i ciasnych uprzedzeń.

Schaff zgadza się obecnie z banalnym twierdzeniem, iż błędem było zakładać jakoby „stanowisko w hierarchii partyjnej czy państwowej zwiększało samo przez się czyjeś szanse na poznanie prawdy”. Wraca on jednak do dawnych urojeń przypisując jednostkom wysuniętym przez grę sił w Partii na szczyty partyjnej i państwowej hierarchii kompetencję naukoznawczą przerastającą wiedzę uczonych w tej dziedzinie, ich indywidualne i kolektywne doświadczenie w zakresie organizacji i kierowania rozwojem nauki. Podobnej opinii nie sposób jest racjonalnie uzasadnić, istnieją racje wystarczające by ją odrzucić. Przeszłość ostrzega ponadto donośnym głosem, jakimi konsekwencjami grozi przejęcie przez polityków kierownictwa nauką. Głos doradczy „naukowców marksistów” nie stanowi antidotum na niekompetencję Partii, gdyż ich działalność w przeszłości dostarczyła niezaprzeczalnych dowodów, iż posłuszeństwo Partii stawiają ponad inne względy. Kto w świetle niedawnych doświadczeń nadal upiera się przy kierowniczej roli Partii w nauce, naraża się na zarzut, iż stawia interes Partii ponad dobro nauki i troszczy się bardziej o władzę niż o postęp wiedzy.

Zbigniew JORDAN

POSTKRYPT

Już w czasie korekty powyższych uwag dotarł do rąk piszącego drugi numer „Studiów Filozoficznych”. Nie jest rzeczą łatwą zdobyć „Studia Filozoficzne” poza granicami kraju, czego przyczyną mogą być bądź wady dystrybucji, bądź zbyt mały nakład (około 2.700 egzemplarzy). W roku ubiegłym ukazało się w ramach Biblioteki Klasyków Filozofii drugie polskie tłumaczenie „Krytyki czystego umysłu” (pierwsze, P. Chmielowskiego, ujrzało światło dzienne w 1904 roku) w opracowaniu R. Ingardena w nakładzie 8.000 egzemplarzy. Jest ono podobno całkowicie rozsprzedane. Nawet jeśli odliczymy na stratę pewną liczbę egzemplarzy zakupionych przez okładkowych lub tytułowych snobów, wykupienie dzieła Kanta w wielotysięcznym nakładzie jest faktem uderzającym. Nic więc dziwnego, iż przy istniejącym zainteresowaniu publikacjami filozoficznymi popyt na „Studia Filozoficzne”, o nakładzie mniejszym niż „Krytyka czystego rozumu”, nie jest zaspokojony.

Drugi numer „Studiów Filozoficznych” potwierdza opinię wypowiedzianą o zeszytach inauguracyjnym. Zaspakaja on różnorodne zainteresowania

i oscyluje między orientacjami filozoficznymi o dużej rozpiętości. A. Walicki kończy artykuł zapoczątkowany w poprzednim numerze „Osobowość a historia” uwagami o poglądach na proces historyczny wyznawanych przez prawię heglowską w Rosji, w szczególności Apollona Grigoriewa, krytyka literackiego z pierwszej połowy XIX wieku. Z. Bauman analizuje różnice światopoglądowe Fabian Essays i New Fabian Essays (zanotujmy, iż nie z własnej winy, a z braku oryginałów w polskich bibliotekach, autor cytuje J.S. Milla i Bentham’a z tłumaczeń rosyjskich). „Empiryczny sens teorii materializmu historycznego” A. Malewskiego jest swego rodzaju sensacją, dziełem śmiałym, świadomie szukającym sprowadzenia — wzorem K. Poppera, któremu Malewski zawdzięcza wiele — socjologicznych spekulacji na grunt empirii. H. Greniewski rewiduje swój pogląd wyrażony w „Elementach logiki formalnej” i z obozu dwuwartościowców przeciwników logik wielowartościowych przechodzi w szeregi dwuwartościowców zwolenników pewnych logik wielowartościowych. Nie można niestety powiedzieć, że zwięzłe o jakie to wielowartościowe logiki chodzi i z jakiej przyczyny Greniewski zdanie zmienił, a tylko zapewnić, iż czyni to w sposób pomysłowy, z erudycją, precyzją i dowcipem. Zwolennik spekulatywnej filozofii znajdzie artykuł „Myślenie a działanie” N. Łubnickiego, którego prace nie mogły, jak się zdaje, przez wiele lat ukazywać się drukiem. K. Leśniak rozpatruje poemat Lukrecjusza „De rerum natura”, by odpowiedzieć na pytanie, czy rzymski poeta był tylko uzdolnionym interpretatorem epikureizmu, czy też samodzielnym, kontynuującym naukę mistrza myślicielem. Numer zamykają dwa obszernie krytyczne omówienia książek sowieckich filozofów z zakresu filozofii przyrody (pióra S. Amsterdamskiego i J. Sucha) oraz sprawozdanie ze spotkania Międzynarodowego Instytutu Filozoficznego w Warszawie, o którym była wyżej mowa. Autorem sprawozdania jest L. Kolakowski. Jego komentarze pozwalają zorientować się co do kierunku ewolucji tradycji marksistowskiej w Polsce, zadanie obecnie nieco utrudnione na skutek gniewnej wrzawy i politycznych potęgnień jakie spadają na jego i jego intelektualnych towarzyszy głowy, w kraju i poza granicami kraju. Kolakowski jest bowiem przedmiotem ataków w Polsce, Rosji Sowieckiej, krajach demokracji ludowej i na polskiej emigracji, której pewne, mówiąc ogólnie, prawicowe koła nie mogą mu wybaczyć jego socjalistycznych poglądów politycznych.

Z. J.

Odwiedziłem Ojczyznę

No i... pojechałem. Już na Victoria Station zaleciało kontynentem. Tłum zbity, wielojęzyczny, niedający się ustawić w żadne angielskie ogonki. Tu tablica: Ostend 21,15, tu: Venice 23,00, a tam: „Batory” 23,25. W biurze informacyjnym wyjaśnienia można dostać we własnym języku, jakim by on nie był. Między pakunkami brak miejsca na ludzką stopę. Robi to jednak policja. „Kto jeszcze do Ostendy? Proszę się posuwać. Ostenda! Ostenda!

Tłum ruszył i zrzedniał. Przyszła kolej na grupę polską. „Poland! Poland!” — nawoływał policjant. — „Not Poland, but Polska!” — pochwalił się z uśmiechem drugi. Pociągami do Dover, w każdym razie na siedząco. Na dworcu morskim widziałem jak starł się obyczaj polski z brytyjskim. W pociągu już zgadałem się z jakąś starszą mateczką, wracającą właśnie z odwiedzin syna. Synalek marnotrawny — podobnie jak ja — naprzód nie posłuchał prośb, że pod ich systemem (a zakosztował tego systemu w źródle, w samej Rosji) będzie mu lepiej, jak za sanacji. Nie zastraszył się potem gróźb, że faszysty, angielscy agenci i andersowcy źle skończą — i został.

— A w Anglii nie chcielibyście zostać? — zapytał jej.

— Panie, gdzie tam! Ani tu życie, ni tu jedzenie, ani to, ni owo.

Racja! Tak samo mówiłem w 1939 roku.

Nieszczęściem było, że mama ta miała cztery walizy, a tylko dwie ręce, ja zaś tylko dwie torebki. Trzeba mamusi pomóc. Wypadłem z wagonu i za wózek. Zaczęłem ładować torby i walizy. Pcham to jak urodzony bagażowy aż mię zatrzymał zawodowy tragarz.

— W taki wózek więcej się kładzie — pouczył mię i zaczął ładować pakuny tych, którym rąk brakło do niesienia, a równocześnie nie chcieli się z nimi rozstawać.

— Gdzie moje walizy?! — załamała ręce staruszka, kiedy one znikły pod nawalem worów. Tragarz już pchał. Ja krok w krok za nim a staruszka i inni za mną. Wreszcie wpadł w korytarz celniczy. Po jego przejściu policjant rozkrzyżował ramiona, zagrządzając nam drogę. Zostaliśmy bez walizek i pakunków.

— I to wszystko przez pana — nie zapomniała mi wytknąć kobiecina.

— Będzie wszystko, będzie na pewno — pocieszałem ją, ale sam miałem wątpliwości.

— Przecież tam miałam od syna i materiał na poszwę... Urwanie głowy miałam od niej. I dosłownie jak złodziej, ulotniłem się wreszcie.

Przed wejściem do hallu celniczego znów ustawił się tłum. Tu zaczęły się pożegnania tych, którzy odprowadzali swych bliskich aż do samego Dover. Starsze, siwe głowy matek, tyse ojców tulone były do piersi synów lub córek. Stąd i stamtąd dochodziło chlupanie, pożeganie to nielada. Nie widziano się przecież 18 — 19 lat i, logicznie biorąc, może już nie zobaczą się więcej. Synek ciulający z 10-cio funtowej tygodniówki musiał składać dobrych parę lat by staruszkom opłacić podróż powrotną. Jest mało prawdopodobne by — czy to on, czy oni, przedsięwzięli podobną wycieczkę w najbliższych latach. Przede wszystkim czy starczy im jeszcze życia?

Flegma w mundurze policjanta położyła kres wylewnym uczuciom. Przepuszczał tych z paszportami i zatrzymywał resztę. Chusteczki przy oczach, chusteczki w powietrzu.

— Gdzie moje walizy? — napadła mię znów znana matczka.

A gdzie moje torby? — pytałem i ja z kolei celnika.

— Gdzie je pan zostawił — odwrócił pytanie.

— *Porteur* zabrał na wózek i tędy przejechał.

— To będą już na „Batorym”. A co tam miał pan?

Drwi, czy rzeczywiście uwierzy mi na słowo?

— Nic co by podlegało oczeniu — odparłem.

— A więc pan co podlega oczeniu, a co nie?

— Wiem.

— *All right then.*

Odetchnąłem spokojniej kiedy już na „Batorym” w kabinie, znalazłem moje torby a na pokładzie B — walizy matczki.



Z nudów znalazłem się w barze. Pociągałem piwo Pilsen.

— Pan gdzie jedzie? — zapytał mię jeden z repatriantów, ubrany jak dygnitarz, posiadacz 9 waliz.

— „Batory” podobno do Gdyni zmierza... — odrzekłem.

— Ach, nasza wódeczka! — mlaskał językiem i patrzył przez kieliszek pod światło.

— Ale nas wykiwali te Żydy... — zaczął znów.

Zanurzyłem nos w piwo. Sześć wódek rozwiązało mu język:

— Jeszcze się spotkamy, jeszcze im pokażemy! *All the best* powiedział mi na odchodne, ja im dam *all the best*! Sześć lat człowiek walczył... Ale się im już kończy. Suez i — ta nafta! Dżemoidy! Barman słucha, uśmiecha się i nic nie mówi.

— Na zdrowie!

— Wszystkiego najlepszego! — Wobec tego czemu pan wcześniej nie wrócił?

— Ja nie głupi, — nie byłem jeszcze gotowy. Wie pan ile mam teraz pełnych waliz?!

— Opowiedz pan jak było w kraju, bo co nas podróż obchodzi — wysunął pretensje jeden ze słuchaczy już po powrocie.

— Nie zamknęli cię?

— Zamknęli. A może cię wzrok myli, to pomacaj mnie. — Wystawiłem ramię do pytającego. — Panowie! na balkonie dworca morskiego orkiestra marynarki różnie jak za dawnych czasów. Nie wiedziałem gdzie patrzeć — na Oksywie i znajome okręty, czy na orkiestrę i tysiące powiewających chusteczek.

— A w kraju, jak było? Nie zamknęli cię?... — podnieśli znów głosy zniecierpliwieni.

Znów wyciągnąłem ramię. Dotknął i rozczerował się. Czy powiedzieć im naprawdę, jak było? Odmówiłem. Wrażenia są tak mieszane, że nie da się ich sformować, czy podciągnąć

pod jakąś regułkę: jest dobrze lub jest źle. Postanowiłem więc nie mówić ani nie pisać o narzekaniach tych, którzy z cegieł wybranych z ruin własnoręcznie budują domy i wtedy żąda się od nich by udowodnili, że forsa na dom nie pochodzi ze źródeł nielegalnych. Akurat w drugim końcu kraju słyszę na odwyrtkę. „Przed wojną mieszkalem w suterynie a kielbasę jadłem raz do roku koło Wielkiej Nocy. Dziś ja i żona pracujemy, a z fabryki przydzielono nam czteropokojowy dom. „Kielbasę — jeśli tylko dowiozą — to se możemy i co dzień pozwolić”.

— Więc wam się lepiej teraz powodzi?

— No, toż sam widzisz.

— Ale jakim chciała zrobić klopsy, to akurat u rzeźnika były tylko świńskie łby i nogi — wypnęło się gospodyni.

Ten nie miał żalu do obecnego systemu. Ale — znalazło się ale.

— Kto widział płacić za litr spirytusu 180 złotych? — wyrzucił z ąłem wskazując na próżniącą flachę.

Rzeczywiście — kto widział tyle płacić?!

Nalał.

— Cyk!

— Sto lat!

Ale czy mogę o tym mówić, czy pisać?

— Jeśli tak dobrze, to czemuś nie został?

— Dlaczego tyłu z „Batorego” uciekło?

Dlatego też właśnie postanowiłem o tym nie mówić i nie pisać. Co by o tym powiedział ten, który mnie pytał: „Jak mam żyć i utrzymać żonę i dzieci za 800 złotych miesięcznie? Dziś tylko ci mają się dobrze, co dobrze kradną — dodał. — Ale nie obazgraj i nie obczerniaj nas przed obcymi — prosił nieomal. — Czy ładnie by to było po gościnnościach z jakimi pana wszędzie przyjmowano? Nawet u nas czy panu czegoś brakowało?

Milczałem.

— Na zdrowie!

— Cyk! Stara, podaj jeszcze parę kiszonych.

Zanurzyła żyłaste ramię w czelusz beczułki i łowiła między koprem, liśćmi bobkowymi i drożdżowym chlebem.

— Przegryż...

Przegryżłem. Podziwiałem ich troskę by ich własne klopoty nie wyszły przeze mnie na zewnątrz. Nie drogi Dionizy, nie jest moim zamiarem obazgrywać, czy oczerniać kogokolwiek, ale sam zaglądaj czasem do gazet a na pewno natkniesz się aż za często na słowa: łapownictwo, manko, pijaństwo, nadużycia. Prasa ta, odwrotnie jak emigracyjna, ma dostęp we wszystkie zakątki świata nie może być w tym wypadku posądzana o kłamstwo. Zresztą panie Dionizy, raczej niż obazgrywanie, celem moim jest wytknięcie tego, co razi turystów. Przecież tu, w Wielkiej Brytanii, powiedziano mi:

— „My chcemy rozwinąć przemysł turystyczny, czyli chodzi nam o funty o dolary”. Z wiadomych powodów czuję sentyment do Gdyni, tym bardziej rażący był dla mnie widok ka-

wałka mola oberwanego i na pół zanurzonego w wodzie. Po Kopenhadze, Dover, czy Southampton nabrzeże nasze między samym „Batorym” a dworcem wyglądało na nieuporządkowane podwórko. Celnik jest na tyle przebiegły w Gdyni, że wytknął mi, iż pieprz nie zalicza się do 10 kg. żywności, jaką każdy turysta ma prawo wwieźć bez cła, lecz podchodzi pod przyprawę i wobec tego albo płacić, albo deponujemy. Ale biegiłość jego nie sięgała tak daleko, by do mego przyjaciela Anglika przemówić po angielsku, mimo, że musiał to odkryć z jego brytyjskiego paszportu. Dalej: czy nie należałoby oczekiwać innej odpowiedzi od kolejarza zapytanego o czas odejścia pociągu. Zamiast tego, które dostałem: „Tam jest rozkład”. Zaczęłem szukać i kręcić rozkładem, wyglądającym jak skrzydła wiatranka. Prześledziłem go już przez pięć skrzydeł, by na szóstym wyczytać, że pociąg poszukiwany przestał kursować z dniem takim a takim. Wiem, panie Dionizy, że kraj był okupowany i to mogło mieć wpływ na obecny stan taboru kolejowego, że w rezultacie ludzie jeżdżą na buforach i na schodkach, ale co to ma wspólnego z brakiem grzeczności? Albo: emigracja hojnie śle ciężko zapracowane funty na pomoc repatriantom, a repatriant ze wschodu żalił mi się: „wiozłem 16-letni dorobek w jednym tobołku i to mi tu własni rodacy skradli”. To nie jedyny wypadek, panie Dionizy, — jeżeli coś zdarza się za często przestaje być wypadkiem. Gdybym przez „oczernianie” tych złodziei mógł wpłynąć na ich sumienie chętnie bym to zrobił. Moim celem jednak nie jest oczernianie. Wystarczy bowiem czasem zaglądnąć w gazetę. W innym zakątku kraju robotnik mi mówi: „Fabryka co roku wysyła mnie, na miesiąc wczasów. Z tej samej fabryki przed wojną nigdy na wczasach nie byłem...”.

— *A nie zamknęli cię? — rzucił znów ktoś ze słuchających.*
 — *Jakoś nie.*
 — *Dlaczego?*
 — *Chyba dlatego, że nie popełniłem żadnego przestępstwa, czy nie podlegałem zamknięciu.*

Przyznam się, iż wybierając się do własnej ojczyzny miałem tremę. Nie tak dawno nie koniecznie trzeba było być przestępcą, by być „zakluczonym” i stracić żalobę razem z paznokciami. Zaszłe zmiany? Trudno nie zauważyć, że czas deportacji zmienił się na okres repatriacji. Na pewnych ulicach w niedzielę, patrząc na przechodniów, na ich wygląd zewnętrzny, można by zapomnieć, że jest się w Polsce. Wycinek takiej ulicy wstawiony w jakiegokolwiek miasto brytyjskie mógłby ujść niezauważony. Aż nagle człowiek natknie się na kilka starszych kobiet, okręconych starymi pledami i w butach z cholewami, z wymęczonymi twarzami, zawzięcie szuflujących węgiel na ciężarówkę.

Zaledwie pora południowa, a już zaalkoholizowana postać podpiera parkan.

W samym mieście Gdyni widok szwendających się maryna-

rzy i oficerów nasunął mi pewne refleksje. Strój polskiej marynarki wojennej, tak przedwojennej, jak i powojennej, i nie tylko polskiej, ale prawie każdej marynarki świata, wzorowany jest na tradycyjnym stroju marynarki brytyjskiej. Koinierz, na nim trzy białe paski, czarny krawat mają przecież swoje dokładne znaczenie i nawiązują do życia Nelsona. Małe różnice w strojach różnych narodów są, powiedzmy, wynikiem specyficznych warunków danych państw. Admiralicja brytyjska, większy nacisk niż na mundur, kładzie na wygląd samego człowieka. Mam tu na myśli regulamin zakazujący noszenia fantastycznych zarostów. Jeśli wzorować się — to we wszystkim. A jeśli chodzi o zarost, to chyba warunki specyficzne nie odgrywają tu roli. Podczas wojny i obecnie widok marynarzy brodatych i wąsatych nie jest rzadki. Noszą oni zarost naturalny, a więc nie przystrzygany częściowo, sztucznie czyli fantastycznie. Obecnie porucznik z trzema złotymi pierścieniami na rękawach z fasonem podkręca wąsika, inny hoduje baczki jak szwoleżer.

Ani jednego baru czy sklepu w stylu przedwojennym. Piwo piłem na chodniku z kiosku. W pociągu — nie wiem ile ulgi przynosi szarakowi fakt, że stojąc w korytarzu na jednej nodze całą noc ma za towarzysza majora. Kiedy dla odmiany zaopatrzyłem się w bilet pierwszej klasy zawisłem tam na rzemieniu nie mając miejsca na stanie. Tu też można spotkać ludzi wszelkiego pokroju, od przekupek w wyprawie na targ z całym kramem, przez zakonnicę do zde gustowanego inteligenta w motylku. W przeciwieństwie do czasów przedpaździernikowych słyszeć można pełny i niekontrolowany upust w rozmowach.

— Cały październik to lipa — mówił okrzeseanie wyglądający robotnik. — Co się zmieniło?

— To że może się pan wyrazić, jak się pan wyraził, bez strachu — odpowiedział mu w popielatym i przyciętym po oficersku mundurze urzędnik górnictwa.

— Kto tylko położy ręce na forsie publicznej, to kradnie — wcisnął znów robotnik.

— Wini pan za to Gomulkę? — zapytał trzeci, sierżant wojskowy.

— Wina leży w systemie — odpowiedział na to jeszcze inny, inteligent, w berecie naciągniętym po uszy. — Walka z burżuazją była celem systemu. Palili, mordowali, rabowali i — pochwały za to zbierali. Czy myślicie, że dla złodzieja stanowi różnicę czy kradnie z prywatnego dworku, czy z mienia publicznego? — Po wypowiedzeniu tego inteligent poprawił берет, sięgnął po teczkę z przeciwnej półki (bagaż tu zawsze na przeciwnej półce, aby mógł być pod stałą obserwacją właściciela) i wyszedł.

O północy oczekuję w Wrocławiu pociągu na Kraków — Tarnów. Głośnieki zapowiadają: Odsunąć się od toru! Czepianie się pociągu w biegu grozi karą aresztu lub śmiercią! Po peronie spaceruje sowiecka patrolka — oficer i dwóch żołnierzy. Erkaemy na plecach lufami w dół. Jedyni sowieciarze w mundurach,

jakich spotkałem w moich objazdach. Nie ścigali oni przyjaznych spojrzeń. Wtem z sykiem wpada lokomotywa. Zanim stanęła, wagony atakowane są przez tłum. W tyle tuż za mną powietrze rozdziera trzykrotny przeraźliwy pisk kobiety. Zerknąłem wstecz. Niedoszła pasażerka wisiała zaczepiona na drążku mosiężnym. Bieg pociągu poderwał jej nogi i te dostały się między koła a peron.

Pamiętając ostrzeżenia znajomych — jeśli nie użyjesz łocki, nie pojedziesz! — walecznie szturmowałem wejście. Tego rodzaju pociąg jest tylko raz na dobę, a bilet ważny też tylko dobę. Pełne korytarze przyjęły jeszcze wielu podróżnych. Ciała ludzkie są ściśnięte.

W Jeleniej Górze wskazują mi obszarpanego bruneta, prowadzącego barana. „To Grek, co walczył o taką, jak nasza demokracja”. Jakieś Indochińce i Greci — przywlokło się to tu i objadają nas tylko. Przypomniało mi to, z małymi tylko zmianami, wypowiedzi pod moim adresem sprzed kilku laty. Współczułem handlarzowi baranów.

Z rodziną zaproszony zostałem na urodziny dziadka. Nie pamiętam, bym miał dziadka — wyraziłem zastrzeżenie. „Dziś mam 70 lat” — oświadczył dumnie stary. A dziadek to był nie-lada. Chłop po sufit, bary jak szafa, głowa i wąsiska białe jak śnieg, ale (według jego słów) jakby w machę gwizdnął, to by się człowiek szwarcem zwał. „Czy nie mogę być dziadkiem was wszystkich?” — odpowiedział na moje zastrzeżenia.

Zsunęto dwa stoły i przykryto obrusem. Nie było tu *cup of tea*, ani ciastka, do czego byłem przyzwyczajony od 18 lat, natomiast michy z kiszonymi ogórkami — jak braknie, to w kącie cała beka — salami, kiełbasa, spyрка, chleb, kołacz z serem, pomidory i śliwy. Stanął litr spirytusu, drugi i trzeci. Rozgadał się stary o swoich dawnych bólach przed wyjazdem do Francji.

— Panie, miałem skrawek pola pod Przemyślem. Ale jak mię pan hrabia otoczył swoimi gruntami, tom i nie miał prawa dostępu do swojego pola.

— A do sądu?

— Wiesz pan jak chłop w sądzie wygrywa. Dwadzieścia lat się człowiek wysługiwał. Przed wyjazdem straszili mnie, że w Polsce do kościoła nie wolno mi będzie chodzić. Dziś ja opatkę śliw na wsi kupię, sprzedam to w mieście i — żyje się. Ujeżdż pan jeszcze — podsunął mi jedzenie — u was w Anglii to tak pewnie, jak we Francji. Postawią filizanczkę herbaty, co na jedno przełknięcie nie starczy. Trzeba lizać jak kot.

Nie wszyscy uczestnicy biesiady zgadzali się z wypowiedziami starego. Zaoponowała mu kobieta w średnim wieku:

— Ja tylko tyle wiem, że przed wojną jakim posła do sklepu, tom kupiła com chciała, do wyboru do koloru, a dziś musi się kupić to, co rząd naśle do sklepów. Choć są trzewiki, za które płaci się miesięczny zarobek, to je pakują jakby nam łaskę robili.

W tej chwili poczułem się niby jakiś bezstronny obserwator, a przecież naprawdę nim nie byłem. Przyskro odczułem fakt, iż jakiegokolwiek były bóle i uciechy rodaków, byli to ludzie żyjący życiem narodu — ja byłem tylko gapiem.

Na fasadach fabryk widnieją jeszcze przestarzałe napisy: „wykonamy pięciolatkę”. Na murach wzdłuż ulic: „Ten tylko jest patriotą, kto jest w naszych szeregach”. W Warszawie zapytałem gościa czy rzeczywiście tak wszyscy kochają Rusków, że każda gazeta podkreśla miłość do nich.

— Panie, nie przejmuj się pan tym — odpowiedział. — Trzeba wiedzieć jak to rozumieć. Panie, przecież my tu w kraju mamy więcej powodów do wdzięczności dla wyzwolenców niż wy. Szli, panie, i strzelali po nieprzyjaciół — i po swoich. Aby naprzód, aby w pierrot! Z wyjątkiem jeża pięć odmienna żadnego stworzenia przed nimi się nie ostała. Właśnie gazety dlatego tak piszą a nie inaczej.

Rozmowa z oficjałem skończyła się na niczym. Po przedstawieniu się postanowiłem wykorzystać fakt, że był tym, kim był.

— Panie, jak pan pogodzi trąbienie o wolności w słowie i piśmie z niedopuszczaniem do kraju „Dziennika Polskiego”, „Wiadomości” czy paryskiej „Kultury”.

Pomyślał nieco zanim odpowiedział.

— Wie pan, wolność nie koniecznie znaczy pozwolenie na bałamucenie nam ludzi przez taką szmatę jak „Dziennik” londyński. „Wiadomości” i „Kultura” też musiałyby spuścić z tonu. Szczególnie ten, co się w „Kulturze” londyńskim podpisuje. Chodzą mu stale po głowie jakieś nierealne i utopijne marzenia. Zresztą „Kultura” dochodzi do nas.

— Ja mam na myśli oficjalny i pełny kolportaż.

— Nie dogadamy się — przyznał mój rozmówca i rozstaliśmy się w sztucznie jak najlepszej komitywie.

W Jaśle na próżno kręciłem głową za budynkiem stacyjnym. Miasto zostało nie tylko odbudowane, ale i przebudowane. Mimo, że mieszkałem tu blisko 20 lat, musiałem zapytać o drogę. Opowiadano mi cuda o wyczynach AK. Uwolnienie skazańców z więzienia i prowadzenie ich zwartym orszakiem przez oddział AK w niemieckich mundurach aż pod Warzyce musi w cień usunąć ucieczkę z Colditz. Wojna w stylu zachodnim to honorowy pojedynek w porównaniu z koszmarem, jaki przechodziła ludność w kraju pod obu okupacjami. Ogólnie — chamsko. W gronie przyjaciół i znajomych — uprzejmość i szczerść. Nie rozumiałem. Czy ci ludzie zmieniają się w zależności od otoczenia?

— Musisz zrozumieć — tłumaczył mi stary jaślanin — w Jaśle teraz nie mieszka więcej jak 30% prawdziwych jaślan. Napływ obcych, ta miniaturowa wędrówka ludów, wytworzyła atmosferę obcości. Nauczyciel, czy wójt otaczany był przez swoich szacunkiem. W przesiedleniu są obcymi, a między obcymi szacunek zaniknął.

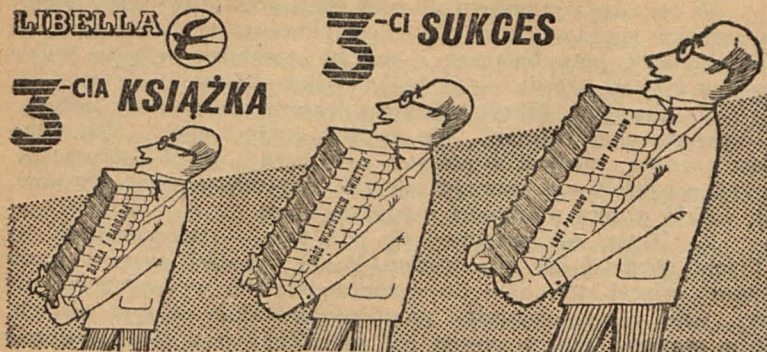
Wincenty CYGAN

LIBELLA



3-CIA KSIĄŻKA

3-ci SUKCES



Nowe wydawnictwo "Libelli"

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

LOS PASIERBOW

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena: franków 850. — sh. 17/.— — dolarów 2.50.

Warunki sprzedaży:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Zamówienia wraz z należnością przysyłać do:

"LIBELLA"

12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV
FranceSprawy i TroskiO wydaniu krajowym
"Monte Cassino"

Są to wyjątki z wyjaśnień, które wraz z dokumentacją złożył M. Wańkowicz na Komisji SPK w NY, wyłonionej na jego prośbę w sprawie artykułu Z. Stahla pt. „Monte Cassino — ocenzone przez współludzi autor” (Orzeł Biały, 21. XII. 1957).

Protokółu posiedzenia oraz opinii Komisji nie otrzymaliśmy do dnia zamknięcia numeru; p. Wańkowicz jednak ma prawo do nie odkładania zbyt długo wyjaśnień w sprawie postawionych mu publicznie zarzutów (Redakcja).



Dziękuję Kolegom za przychylenie się do mej prośby. Nadużywam jednak ich wolnego czasu w zrozumieniu, że sprawa, którą wnoszę ma znaczenie publiczne.

Wyjaśniać będę sprawę punkt po punkcie, idąc za treścią artykułu p. Stahla. Postarałem się nie pominąć ani jednego zarzutu, gdybym jednak co przeoczył, lub moje wyjaśnienia były niedostatecznie wyczerpujące, zgłaszam gotowość odpowiedzi na dodatkowe pytania. Każdy z powołanych dokumentów jest na miejscu do wglądu.

Czy udałem się do Polski „na zaproszenie komunistycznego reżymu”?

Był to okres kampanii powrotowej stąd ta lekkomyślna dedukcja. O zaproszenie się nie zwracałem i nikt mi go nie składał. Wyjazd mój do tego stopnia był nieuzgodniony z kimkolwiek w Polsce, że nikt nie tylko mnie nie witał na dworcu, ale miałem trudności ze znalezieniem miejsca w hotelu. Odmówiłem też wszelkich wywiadów, a wywiad sfingowany w „Ży-

ciu Warszawy" napisał do „Przeglądu Kulturalnego”, który przedkładał (z. 1) (*).

Za jakie pieniądze pojechałem do Polski?

Przełot w obie strony N.Y. — Paryż otrzymałem z Komitetu Kongresu Kultury, którego zaproszenie zaakceptowałem, podkreślając, że jadę jako obserwator z tytułu mojej pracy o losach na emigracji (z. 2).

Za przejazd w obie strony zapłaciłem w Paryżu dolarami na co jako dowód składał list dyrektora „Libelli”, który mi tę sprawę załatwił (z. 3).

Kiedy Kongres się nie odbył, aczkolwiek była to okoliczność niezależna ode mnie, zaproponowałem, a „Free Europe” odmówiła przyjęcia biletu, motywując listem 13. XII. 56 (z. 4), że tak samo jak ja pojechały wcześniej w dobrej wierze inne osoby — ofiarowałem równowartość biletów czekiem z 16 grudnia na nagrodę recenzentów, którą jury przyznało trzem krytykom z Polski i jednemu z emigracji (z. 5).

Czy szukałem porozumienia z NYorskim Komitetem Kongresu Kultury?

Porobiłem w tym kierunku wszelkie wysiłki, co nie znaczy, abym szukał jego zezwolenia. W warunkach istniejących musiałem sam rozstrzygać, ale poczuwałem się do wysłuchania uwag kolegów i dania z mej strony wyjaśnień. Lokalny Komitet Kongresu jednak unikał rozmowy. Na stanowcze moje żądanie zgodzono się mnie „wysłuchać”, limitując moje oświadczenie do piętnastu minut, oraz uchylając się od omawiania sprawy „z powodu przeciążenia porządku dziennego”.

Zgodziłem się i na tę niezwykłą formę, szło mi bowiem o dokumentację.

Poinformowałem, że jadę dla mej pracy. Podam powód jako potrzebę ratowania siostry ciężko chorej, którą utrzymuję od lat. Nie zgodzę się na przyjęcie i wywiady. Proszę o kredyt sześciotygodniowy, bo stawię się na Kongres, który będzie mógł zająć stanowisko, rozporządzając już danymi tyczącymi mego pobytu.

Komitet, złożony z rzekomych kolegów, wyzybił się mnie bez jednego zapytania.

Uchwalono odebrać mi mandat i zażądać zwrotu biletu. Nie miałem więcej ochoty do rozmów z tym asortymentem. Na list ich (z. 6) odpowiedziałem, że mandat w literaturze mam nie z ich mianowania:

„Zaproszenie na Kongres jest tylko stwierdzeniem pozycji w literaturze. Odmienność myślenia nie może powodować utraty tego mandatu wieloletniej pracy. Uważam się więc za członka Kongresu, odrzucając decyzje Panów podkopującą jego znaczenie” (z. 7).

Przeciwstawiając sprawę z Komitetem NYorskim, zwróciłem się do prezesa Komitetu, prof. Haleckiego, komunikując, że bilet postawię do dyspozycji plenum Kongresu, zaznaczając, że odbył mi odmówiono udziału w Kongresie, rezerwując sobie prawo „naświetlić metody najłatwiejszego urzędniczego administrowania kulturą i rozprawiania się z odmiennymi przekonaniami z arcybiskupów wyżyn rozporządzania dolarami” (z. 9).

Profesor Halecki w odpowiedzi apelował do porzucenia mego zamiaru, zwłaszcza wobec wypadków poznańskich. Ale właśnie one mnie umoc-

(*) Znaczenie odsyłacz: z. 1 — załącznik N 1. Cyfra arabska — odsyłacz do strony wydania krajowego. Cyfra rzymska — odsyłacz do strony wydania korpusowego.

niły. Prof. Halecki ostrzegał w swym liście (z. 10), że czekają mnie bramy triumfalne lub więzienie. Nie sprawdziło się ani jedno ani drugie.

Czy szukałem porozumienia z politykami?

W tych warunkach rozpatrzenie sprawy było obowiązkiem ludzi chcących kierować opinią. Powinni sami byli okazać inicjatywę. Tymczasem kiedy ja ją podejmowałem, uchylali się tak samo jak Komitet Kongresu.

Rezerwując sobie prawo omówienia tych uchyleń się, dla przykładu przytaczam list do p. Korbońskiego, dla którego przeszłości w latach wojny mam szacunek:

14 lipca 1956 r.

Szanowny Panie,

W związku z moim zamiarem odwiedzenia kraju przed Kongresem Kultury, otrzymawszy list Komitetu Organizacyjnego Kongresu, wykluczający mnie za wyrażenie tego zamiaru z grona członków Kongresu, pragnąłem, aby Pan miał informację z pierwszej ręki. Pojechałszy w tym celu do Waszyngtonu, nie mogłem się dodzwonić 25 czerwca i dopiero wieczorem 20 czerwca zdołałem porozumieć się z Panią, która mnie powiadomiła, że Pan znajduje się w NYorku i wskazała hotel. Wyruszywszy natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości do NYorku, przekonałem się, i we wskazanym hotelu i w ACN, że Pana w NYorku nie ma. Pozostałem „message”.

Nie mogłem dłużej zwlekać z odpowiedzią Komitetowi Organizacyjnemu na jego list z 23 czerwca, wysłałem odpowiedź 1 lipca, ale w dalszym ciągu uważam rozmowę z Panem za wskazaną obustronnie.

W następną środę 4 lipca, jako w dzień w którym Pan bywa w ACN, zatelefonowałem do tej instytucji, znowu zostawiając „message” z moim nazwiskiem i telefonem.

Nie mając i tym razem rezultatu, w następnych dniach porozumiałem się telefonicznie z p. Gadomskim, który obiecał mi przekazać mój telefon Panu.

W następną środę 11 lipca telefonowałem do ACN trzykrotnie: przed południem, kiedy sekretarka narodowości litewskiej oświadczyła, że Pan jest na sesji i że dopilnuje aby sprawę Panu przypomnieć. O godzinie 6-ej telefonowałem po raz trzeci, przyjął telefon głos męski, który poinformował, że sesja trwa, zapisał moje nazwisko i telefon i obiecał je dać Panu. Telefonu jednak od Pana nie otrzymałem.

Podaję to wszystko do wiadomości Pana, aby utrwalić fakty.

(—) M. Wańkowicz

Przedkładał odpis listu (z. 11) oraz pokwitowanie na list polecony i przedkładał opłacony recepty zwrotny, poświadczający, że list p. Korbońskiemu został doręczony.

Pan Korboński na list ten nie odpowiedział. Przysyłając mi swą książkę z dedykacją: „Znakomtemu pisarzowi z wyrazami głębokiego podziwu dla Jego talentu” — doceniał moje pisarstwo. Dlatego jego zachowanie się nie tłumaczę lekceważeniem, które by pozwoliło jemu, politykowi, przejść do porządku dziennego nad zamiarami pisarza, za którym stoją lata pracy i większość uchodzącej opinii.

Widać zasługa i opinia nie są to czynniki rozstrzygające w decyzjach zarówno działaczy przydzielonych do polityki jak do kultury.

Dlaczego podkreśliłem niewymagalną nadgorliwość polskich funkcjonariuszy „Free Europe”?

Nie żebym piętnować ich pracę, tylko jej przerosty.

„F. E.” robi tylko część polityki amerykańskiej — na odcinku ofensywnym. Skoro więc nie pokrywa całokształtu tej polityki, to i jej „Polish Desk” nie może pokrywać całokształtu polityki polskiej. Dlatego nazwa „Głos Wolnej Polski” jest płaszczem dla tego „desku” za szerokim.

Stąd wynikają dysproporcje, które nie grożą w „Voice”, albo BBC.

Kiedy np. polityka amerykańska, ta przez pełne „P” widzi chętnie wyjazd swoich pisarzy do Polski, funkcjonariuszom „F.E.” wydaje się, że ci pisarze muszą być wraz z nimi uwiązani do ich zwężonego odcinka.

Punkt statusu „F.E.” o pomocy dla kultury został zwężony do pomocy ofensywnej. Wyjeżdżając do Polski, skierowałem w dniu 25. VI. 56 do W. H. Shepherdsona, prezydenta „F.E.” list (z. 12) prosząc o poparcie paszportowe, podkreślając moje cele pisarskie. Pan Shepherdson odmówił (z. 13), motywując, że nie jadę „on behalf or on the request of Free Europe”.

Byłem jednak stypendystą literackim „F.E.” i prośba o ułatwienie mej pracy byłaby całkiem na miejscu, gdyby punkt o pomocy literatom nie był zwężony do ich usług doraźnych.

Gdyby p. Shepherdson akceptował mój wyjazd, ostałby się mój literacki mandat w Kongresie. Widać ekspertyza literacka jest zostawiona polskiemu sądowi niższej instancji do spraw nie wyżej stu funtów — maksimum nagród literackich.

Odebranie mi stypendium, kiedy okazało się, że praca moja ma zasięg dalszy, potwierdziło ostatecznie moją tezę.

Pogrom generalny, który spotkał skromne stypendia pisarzy, z których niektórzy, zamieszkali po zakątkach świata, dotąd uniknęli pracy propagandowej, nie daje żadnej wątpliwości co do wyznaczonych im miejsc. Nie zmieścili się we „F.E.”, mogą nie zmieścić się w Polsce, ale to nie znaczy, że nie są pisarzami tej jakiejś wolnej Polski bez miejsca zamieszkania, choć jej tabliczkę lokatorską zawieszają w byle bramie.

Nie można żywić pretensji do rządu amerykańskiego, że rozdziela funkcje między swe agendy. Ani do tych Polaków, którzy, pracując na tym zwężonym odcinku, robią przeważnie pożyteczną robotę narażając się na naganki, które zainicjował Z. Nowakowski nim nie został funkcjonariuszem „F.E.”.

Cała rzecz polega na tym, aby zachowywali proporcje.

Jeżeli Kuncewiczową usunięto na wniosek polski, co do czego nie ma wątpliwości (przy pełnej bierności pracujących z nią kolegów), albo jeśli polscy urzędnicy „F.E.” pozwolili sobie w oparciu o dolary pozbawić mnie nie tylko biletu (jak się okazało, przeholowując ponad intencje moco-dawcy), ale i mandatu literackiego, jeśli wykrzykiwali w mikrofonie, że mi serce nie drgnęło na widok pustego fotela kardynała w Częstochowie — to proporcje są przekraczane.

P. Stahl zarzuca mi obywatelstwo amerykańskie.

W „Dzienniku Polskim” (Detroit) z dn. 22. II. 54 umieściłem wyczerpujący artykuł o przyjmowaniu obywatelstwa. Cytuję z niego: „Obywatelstwo jest przyrodzonym prawem człowieka, tak mu przynależnym jak powietrze. Nie jest to przywilej, którego świat ma prawo moralne odmawiać, uzależniając jego udzielenie od zrzeczenia się przez człowieka jego drugiego przyrodzonego prawa: zachowania narodowości”.

Nie robiłem starań o przyspieszenia obywatelstwa, aż tego nie zażądała moja praca.

Wierzyńskiemu, Wittlinowi i innym amerykańskie obywatelstwo nie przeszkodziło odbierać nagród i holdów. Jest to więc zwykły chwyt.

Pan Stahl odmawia mi praw moralnych do książki „Bitwa o Monte Cassino”.

P. Stahl uważa, że książka ta „nie jest w swojej istocie prywatnym i osobistym dziełem literackim, ani niczyją prywatną własnością”, bo „powstała zbiorowym wysiłkiem żołnierzy”.

Należałoby więc pozbawić praw autorskich Hersey’a, Ernie Pyle’a i setki innych z Churchilllem włącznie, bo ich książki opisują „zbiorowy wysiłek żołnierzy”.

Pobory moje otrzymywałem zgodnie z kontraktem podpisanym z 2 Korpusem w zamian za zrzeczenie się „bilietingu” wygnańczego, stypendium literackiego i honorariów w prasie wojskowej, co razem wynosiło więcej niż te pobory. W myśl tej umowy ogłosiłem 61 odczytów i napisałem szereg artykułów w całej prasie Korpusu, której liczby ustalić mi trudno, ale która zapewne jest podana w sprawozdaniu o całokształcie mej działalności złożonym szefowi sztabu Korpusu.

Natomiast w umowie z Korpusem zastrzegłem punktem specjalnym swobodę rozporządzania moimi prawami autorskimi do książek, które będę pisał, dając tylko na nie opcję Korpusowi i zobowiązując się nie żądać więcej niż to ustalają zwyczajowe normy. W ten sposób Korpus miał zastrzeżoną jednostronnie przysługującą decyzję czy zechce wydać moją pracę. Sprzedanie prawa autorskiego na wieczność w zamian za urzędnicze pobory byłoby sprzeczne z prawem autorskim i moralnym.

P. Stahl zarzuca mi zawarcie umowy z reżymem, który pozbawił gen. Andersa obywatelstwa i w czasie, kiedy urzędował Rokossowski.

Ten reżym dopuścił się wielu gorszych rzeczy i urzędowali, poza Rokossowskim, jeszcze inni liczni agenci rosyjscy. Jaki stąd logiczny przeskok do tego, aby nie skorzystać ze sposobności dania Polakom książki o „Monte Cassino”?

P. Stahl zarzuca skróty polityczne.

Rozpatrzmy je za p. Stahlem starannie. Mówiąc generalnie, podzielam opinię listu Jerzego Stempowskiego w londyńskich „Wiadomościach”: „Z Mickiewiczem zapoznałem się w wydaniu warszawskim zaopatrzonym napisem „dozwolono cenzurze”, w którym brakowało nie tylko III części „Dziadów”, ale i wielu innych rzeczy. Czy takie wydanie nie miało sensu? Czy należało przeszkodzić jego ukazaniu się? Mógł to zrobić Władysław Mickiewicz, mający nie tylko prawa autorskie, ale i odpowiedni autorytet moralny. Znając jednak Władysława Mickiewicza nie mogę wyobrazić, aby mógł zająć takie stanowisko (nie mając odnośnego N-ru „Wiad.” cytuję z listu J. Stemp. do mnie, streszczającego ten list — z. 14).

Twierdząc jednak, że przytłaczająca ilość skreśleń była podyktowana nową koncepcją książki, więc jej zwiększeniem na skutek braku ilustracji do jednego tomu i potrzebą przeniesienia fragmentów z bitwą nie związanych do mego cyklu pt. „Panorama Polskiego Losu”, którego dwa tomy już

wyszły. Nieuniknione w istniejącej sytuacji liczne skreślenia polityczne, odnoszące się do momentów dla bitwy wtórnych, pozwoliły na ukazanie się tej książki w Polsce. Nie pominę ani jednego wytknięcia.

P. Stahl oskarża, że wydanie krajowe „było zlekceważeniem znanego i oczywistego stanowiska dowództwa i żołnierzy 2 Korpusu”.

Identyfikowanie stanowiska generała i b. żołnierzy nie jest „oczywiste”, bo mutacjom podlega i gen. Anders jako polityk i jego żołnierze jako cywile. Połowa ich nie poszła za nakazami generała czekania na nową wojnę na emigracji, pozostali nie wszyscy entuzjastą sę do podchorążówek tłukących musztrę formalną w wieku atomowym, ani do groteskowych awansów. Niektórzy należą do ugrupowań politycznych nie uznających ugrupowania gen. Andersa a wszyscy zachowują przywilej swojego sądu.

Stabilizując rzeczy, których stabilizować się nie da, p. Stahl chciałby i moją książkę ustabilizować na poziomie książki jubileuszowej, stworzonej, jak pisze — „krwią, bohaterstwem i śmiercią pisanego eposu żołnierza polskiego”.

Takie oto uznanie znajduje książka, gdy trzeba jej autora uderzyć. Ale skoro wśród 53 nagród udzielonych na emigracji żadna jej nie przypadła, to i to pośpieszne jej ubrązowanie jest zwykłym chwytem.

Książka mówi o ociąganiach się (II, 50; III, 39), panikach (II, 65), załamaniach (II, 267), odmowach natarcia (II, 133), o wahaniach (III, 10) i błędach dowódców (III, 155). Pamiętam raport złożony w szpitalu w Campobasso aby mi zabronić wstępu, bo konfrontując opowiadania, ubliżam bohaterom. Pamiętam wymówki szefa sztabu, że „takich pytań stawiać nie wolno”, kiedy badałem sprawę zarzutów saperom nie chcącym wysuwać się przed czołgi. Zmuszony byłem odpowiedzieć, że takie pytania będę stawiał, bo to mój obowiązek i rad jestem poświadczyć, że szef sztabu uznał moją postawę. Mam uwagi na piśmie wyższego dowódcy wojsk pancernych, gorszącego się, że notuję wypadki rozwolnienia w akcji u jego podkomendnych.

Książka żyje z żołnierzem jego ludzkim życiem, a nie życiem wymagowanym w czytankach patriotycznych, gdzie nawet trupy są perfumowane.

Przecież, będąc jeszcze w mundurze, nie zwróciłem się o przedmowę do dowódcy Korpusu, nie umieściłem na czele jego fotografii, nie zgodziłem się na zmiany w krótkim dowodzeniu, co spowodowało czteromiesięczną konfiskatę, nim gen. Wiśniewski, szef sztabu Korpusu, nie napisał dołączanej do III tomu swojej polemiki.

Skądże więc teraz, po dwunastu latach, ta czwarta z rzędu wersja książki jest „zlekceważeniem” byłego dowódcy?

Ma on monopol na zaszczytny tytuł dowódcy historycznej bitwy, autor ma prawa do książki. Ale nikt nie ma monopolu na opinię.

P. Stahl zarzuca niepodporządkowanie się uchwale Zw. Pisarzy.

Uchwała koła londyńskiego, które nie skupiało nawet wszystkich pisarzy w Londynie, powzięta w roku 1947, nie została przyjęta nawet przez wielu jego członków. Do koła tego nie należałem, zaproszenie jego prezesa, prof. Stronńskiego (z. 15) odrzuciłem (z. 16). Uważałem, że do Polki należy pisać do kresu ostatecznej możliwości i dlatego w odpowiedzi na list Koła, podpisany przez jakiegoś p. Kopczyńskiego (z. 17), zapraszając do dania podpisu na uchwale, skierowałem do owego kadłubowego Koła,

złożonego w dużej części z nieznanych mi nazwisk, list, w którym piszę: „Gdybym był członkiem Związku, usiłowałbym skłonić zebrane do dokładniejszego przemyślenia uchwalonego tekstu” (z. 18).

P. Stahl był wówczas w Londynie, wie więc o tym. Wie też o tym, że kiedy ta sama grupa usiłowała 20 października 1956 r. (czyli już po udzieleniu mojej zgody na wydania krajowe) zaaktualizować tę uchwałę, spotkała się z żywiołowym protestem, którego odbicie znajdujemy w ankiecie „Kultury” (NN. 110-112).

Pod naciskiem opinii uchwałą 21 grudnia 1957, a więc w dniu ukazania się artykułu p. Stahla i ta grupa londyńska swoje stanowisko odwołała. Tekst odnoszącej uchwały załączam (z. 19).

P. Stahl wytyka moje twierdzenie, że cele polskie i aliantów w czasie bitwy się nie pokrywały.

Istotnie takie jest moje zdanie. Było to już po mowie Churchilla.

Zarzut, że dowodzę „bezużyteczności walk zbrojnych o niepodległość”.

Oto ustęp z wydania krajowego, który wywołał ten zarzut:

„Bitwy nie można było odwrócić, jak nie można było odwrócić powstania warszawskiego. Należało, aby przeszła do historii w historii czynu wojskowego dźwięczną patriotyczną ofiarą. Takim czynem ta bitwa była i taki postarałem się utrwalić. Nie chciałbym jednak, aby na przyszłość książka przyczyniła się do kontynuowania wychowania narodu na mitologii ofiarnictwa bez kalkulacji”.

Czy dając jeszcze jedną książkę romantyczną z tych, na których się wychowały pokolenia, nie powinienem był ostrzec, że to jest likwor wysokoprocentowy, który pić należy z dyscypliną wewnętrzną?

A p. Stahl w prostackim przeinaczeniu podaje, że uważam likwor za truciznę.

P. Stahl imputuje mi pogląd, że „należy pogodzić się z zaliczeniem Polski do komunistycznego imperium Moskwy”.

P. Stahl niczym swego twierdzenia nie uzasadnia. Jeśli uważa, że do tych wniosków upoważnia sam fakt wydania w Polsce „Monte Cassino”, to, oględnie się wyrażając, licencja jest tu zbyt wielka. Tym bardziej, że tenże „Orzeł Biały” (20. XI. 47) pisał: „Wankowicz nie jest zagadką, poglądów jego nie trzeba dociekać żmudnie, można je czytać, przyznaje się do nich otwarcie, tak, jak przyznaje się do swych przywiązań. Ma swój pogląd na rzeczy polskie”.

Moje stanowisko określiłem w broszurze „Klub 3 Miejsca” (z. 21), studiach „European penders America” (z. 22) i „Lattimoriada Zachodnia” (z. 33), a po powrocie z Polski w wywiadzie udzielonym „Związkowcowi” (z. 34), w artykule drukowanym w „N. Leader” (z. 35), w wykładach na „Indiana University” (z. 36) i w prasowych recenzjach o nich (z. 37), w drugim tomie mojej Trylogii pt. „Droga do Urzędowa”, wreszcie w odczytach po śródowiskach polskich od Kalifornii po British Columbię i Nową Anglię (z. 37-A).

P. Stahl imputuje mi ideologię Mackiewicz i Hrabka. Mackiewicz wycofał się z publicystyki, Hrabek uważa, że emigracja winna być jedynie organem pomocniczym rządu w Polsce.

Sądzę, że moje stanowisko nie dopuszcza żadnych frywolnych licencji. Polska nie ma pełnej niezawisłości, ale rządzą nią Polacy. Wyznają obcą mi doktrynę, ale nie są agentami Moskwy. Uznają potrzebę polityki emigracyjnej aczkolwiek dzięki memu zawodowi mogę pracować wydatniej i wszechstronniej poza jej obrębem.

Nie mam złudzeń co do trudności i osobistych i dla mej pracy, obrawszy trzecie miejsce.

P. Stahl demaskuje moją interesowność.

I znowu, zabierając się do rewidowania moich kieszeni, startuje z pozycji podfałszowanej, przytaczając bez kontekstu zdanie z wydania korpusowego: „Na dnie samopoczucia leży pieniądź. Pieniądź leży nawet na dnie — postawy moralnej”.

Zdanie to było umieszczone w relacji jak żołnierze cieszą się z dowozu sprzętu po załamaniu natarciu i nastroj się montuje.

Tej postawy moralnej nie stworzyły z piątku na sobotę najbardziej postępowe prawa 1919 bez pokrycia materialnego; stwarzać ją począł dopiero dorobek XX-lecia.

Haszysz wojny oderwał od dnia codziennego, stąd konieczność takich napomnień w chwili powrotu do niego.

Ustęp przytoczony, którego opuszczenie w wydaniu krajowym p. Stahl złośliwie komentuje, jest zgodny z podstawową tezą marksistowską „Byt kształtuje świadomość”. Zrozumienie tej tezy dla narodu, który nie stworzył mieszczaństwa, opóźniał emancypację chłopską, nie miał silnej warstwy robotniczej i był rządzony przez inteligencję o poszlacheckiej kulturze może być bardzo pożądane. Ale uwag przydatnych dla demobilizujących się żołnierzy nie uważałem za stosowne serwować nekąnym drętą mową. Nic p. Stahl z tego nie rozumie.

Otóż stwierdzam fakt, że ani Korpus nie subsydiował mnie, ani teraz rząd w Polsce. Za moją pracę płacili moi czytelnicy. Książki rozsprzedane w dziesiątkach tysięcy nie potrzebują subwencji. Honoraria, które zawdzięczałem mojej pracy dają mi niezależność, aczkolwiek na skutek trudności transferowych moja sytuacja materialna jest bez porównania trudniejsza, niż większości emigracyjnych pisarzy-funkcjonariuszów propagandowych. Jest też trudniejsza, niż sytuacja jaką miałem przed wyjazdem do Polski, będąc jedynym pisarzem w Stanach Zjednoczonych, pobierającym stypendia literackie bez żadnych z jego strony świadczeń.

Zalącam odpis mego zeznania podatkowego (z. 39) za rok 1957. Całkowite moje zarobki wyniosły 1961 dol. 80 centów, na co złożyły się honoraria za „Tworzywo”, należności z Kanady i honoraria za artykuły i książki w kraju. W całej tej sumie nie ma ani grosza z „Monte Cassino”. Wszystko co za tę książkę dotąd otrzymałem, to 17,000 zł. wypłacone w kraju.

Jeśli pomimo tej niskiej sumy zarobku potrafiłem jednak nie tylko utrzymać się z żoną, ale ponosić wydatki na rzecz mego warsztatu pisarskiego, zjeżdżwszy USA aż po Kalifornię, to tylko dzięki całkowitemu czteromiesięcznemu utrzymaniu wraz z żoną w Huntington Hartford Foundation a następnie czteromiesięcznemu pobytowi w Montalve Foundation.

Zarzut pominięcia rozkazu gen. Andersa o rozbiórce w 1939 Polski przez Niemców i bolszewików.

Istotnie nie mogłem podać tego rozkazu.

Zarzut, że z wydania krajowego znikły wszelkie wzmianki o sowieckiej okupacji, masowych deportacjach, terrorze, łagrach, Katyniu i nawet o Kościszce i Traugutcie.

Istotnie dygresje na te tematy, z natury rzeczy nieliczne w opisie bitwy z Niemcami — przeważnie nie mogły się ostać. Jest wzmianka, o deportacjach do Rosji kilkakrotnie, jak np. na str. 288 apostrofa do poległych, „którzy widzieli zorzę polarną”, którzy „śledzili rozszerzonymi oczami comiesięczną machorkę”, którzy „szkorbutowymi nogami maszerowali od Kolymy”. Albo jak na str. 163 o ciężko rannym, który był zesłany czterysta klm. za Kręgiem Polarnym. Podaję ustępy, które rzuciły mi się w oczy. Oczywiście dać nie mogłem jednowierszowych wzmianek o Traugutcie „powieszonym przez Moskali” i o Kościszce więzionym przez nich — w koncieście z tworzoną przez bolszewików Dywizją Kościuski.

P. Stahl wytyka pominięcie ustępu o płk. Kamińskim i mapie na bransolecie.

Ustęp kilkunastowy o mapie Polski na rękę poległego mógłby zostać, gdyby nie został usunięty w ramach 180-wierszowego ustępu o pułkowniku Kamińskim, który poza tym jest wzmiankowany w wydaniu krajowym 12 razy. Na tym zarzucie p. Stahla można zademonstrować skreślenia podyktowane potrzebami kompozycji w perspektywie całości prac pisarskich.

W cyklu obejmującym wielki okres czasu poszczególne książki zachodzą na siebie. Przy porządkowaniu dorobku czasem ścina się całe książki. Na przykład mój „COP” musiał po zwartym wydaniu zejść z półek księgarskich, wtopiwszy się bez reszty w 630-stronicową „Sztafetę” — dzieło o historii gospodarczej Polski.

240-stronicowe „Wrześniowym Szlakiem”, wydane w 1943 weszło w wydany w cztery lata potem 530 str. „Wrzesień Zagwiałcy”.

Przedkładałem tłumaczenie znacznej części tomu I i list firmy kanadyjskiej zapewniającej jego wydanie (z. 39). Mimo to nie korzystam z tej propozycji, zamierzając raczej wydać całą moją „Panoramę” w skróconym jednym tomie. To samo bym zrobił z trzema tomami „Monte Cassino”, gdybym miał cudzoziemskiego wydawcę. Ale w stosunku do Polski mam siebie zamrozić.

„Monte Cassino” wydane na emigracji w trzech, każda inna, wersjach które przedkładał i w czwartej w Polsce — też koliduje z moim cyklem przez tematykę rosyjską niewyzyskaną dostatecznie. Tę tematykę należy poszerzyć w odpowiednich okresach cyklu o losie polskim. Np. opowiadanie o Rosji płk. Perkowicza, doczeponie w tomie III, 324, zostało opuszczone w wydaniu krajowym na rzecz „Drogi do Urzędowa” (str. 197 itd.), gdzie zostało poszerzone w cały rozdział.

Ustęp o płk. Kamińskim, którego opuszczenie sygnalizuje p. Stahl, potrzebny mi jest dla III t. cyklu pt. „Jak Daleko?” jako część losów występującego w t. II kpt. Ihnatowicza.

Póki mogę, póty piszę. Jak dotąd — z pewnym rezultatem. Oto tom z 60 wielkimi, po 2,000 słów każdy artykułów o demokracji amerykańskiej, drukowanych w 1957 w Polsce w siedmiu największych pismach, które uważam za ważki wkład w pomnożenie wiedzy Polaków o świecie (spis art. z 41).

Na ten temat „Merkuriusz Polski” umieścił następującą wzmiankę: „Życie Warszawy” w przeglądzie prasy (11. VIII. 57) pisze pt. „Frustrująca Zagadka Polityczna” co następuje: „Co łączy Paxowców z Prymasowcami, wojujących ateistów z wojującymi katolikami, „wsściekłych”

z konserwatystami? Odpowiedź: korespondencje Melchiora Wańkowicza z USA drukowane systematycznie w „Po Prostu”, „Przeglądzie Kulturalnym”, „Świecie”, „Nowej Kulturze”, „Kierunkach”, a począwszy od ostatniego tygodnia — w „Tygodniku Powszechnym”.

Podawszy powyższą wiadomość, „Merkuriusz Polski” dodaje:

„Aby obraz zgody narodowej pod egidą niezmordowanego pisarza był kompletny, trzeba dodać jeszcze następujące pisma, cieszące się współpracą Wańkowicza, przeoczone przez warszawskie dzienniki „Płomyk”, „Nokoło Świata”, „Przekrój”. Jak widać, mimo sławetnej uchwały emigracyjnego Związku Pisarzy o niedrukowaniu w ojczyźnie, brak słowa polskiego z emigracji krajowi nie zagraża. A wszystko przez jednego „niesforenego”.

Ta wzmianka „Życia Warszawy”, którą uważam za największe odznaczenie, daje miarę spragnienia polskiego czytelnika wieści o świecie.

Zadanie, które podjąłem, staje się coraz trudniejsze. Oto teczka z częścią tylko artykułów nie puszczonej przez cenzurę, oto list mój, protestujący przeciw tym praktykom, którego wydrukowanie wymogłem w Polsce (z. 42), oto artykuł atakujący mnie za serwilizm wobec Ameryki (z. 43). Oto artykuł z „Przeglądu Kulturalnego” (z. 44), stwierdzający: „różnica w podejściu do spraw dziejących się między nami a Związkiem Radzieckim tak zasadniczo dzieli tego pisarza od nas”. Oto art. z „Nowej Kultury” (z. 45) sygnalizujący, że w mej twórczości „leżą ciężkie i świadome akcenty wrogości i nienawiści do tego państwa (p. m. Rosji) i jego ludności. To leży w tej książce nie tylko jako kronika prawdy, ale jako wskazania”.

Nie wiem, w jakim stopniu uda mi się kontynuować pisanie do kraju. Ale jeśli, wbrew niedowarzonemu uchwalom, chciałem pisać dla czytelników w Polsce w czasach, kiedy w niej panoszyli się ludzie siedzący teraz w więzieniu, to robić to będę aż po ostateczny kres możliwości i obecnie nie bez względu na wysoki liczyliantów zarzucających, że nie piszę o Katyniu.

Naturalnie p. Stahl może zironizować tłumaczenie opuszczenia ustępu względami kompozycyjnymi i będzie miał rację, bo opisy tortur i przesładowań bolszewickich podane w tym ustępie nie mogłyby się ukazać, choćbym sobie tego życzył.

Toteż wyjaśnienia, które podałem idą dalej, niż zarzut p. Stahla. Posłużyłem się nimi, by wykazać niedopuszczalność domagania się, aby p. Stahl zmieniał „na jotę” tego co raz napisał. Nie tylko dlatego, że przez tę małą „jotę” obali się duża książka (jak „Wrzesień Zagwiazdy”, którego wydania odmówiłem), ale i dlatego, że w tym gorsecie żywa literatura tkwić nie może.

„Motywy bezbożnicze skłoniły do opuszczania ustępów o ks. Malinowskim”.

Najprzód — fałsz generalny — motywy bezbożnicze nie są tematem, na którym urzęduje cenzura. Świadczy o tym mój wielki wstępny artykuł wigilijny na ubiegłą gwiazdkę, moja opowieść o kapelanach w „Tygodniku Powsz.”, w którym w tym roku umieściłem dwanaście dużych artykułów. Przechodząc do mojej książki stwierdzam, że o ile miałem trudności z ustępami o Rosji i o ile musiałem wywalczyć nie pomijanie gen. Andersa, o tyle z podłożem katolickim, charakterystycznym dla żołnierzy 2 Korpusu, w ogóle nie miałem kwestii.

O ile pamiętam, nie wypadł z tekstu żaden z kapelanów, a jeśli wypadł w jakim cięciu, to na pewno nie ze względów „bezbożniczych”.

Nie wypadł ani bohaterski ojciec Studziński, jak pośród czołgów, w największym ogniu, sam nie osłonięty pancerzem, posuwa się z krzyżem w ręku, udziela ostatniej posługi (str. 198), ani kiedy pełni służbę w czasie masa-

kry załogi (str. 449), ani dramatyczna scena, kiedy ks. Sławik „w te straszne czasy, kiedy Bóg zeszedł do puszeki schowanej pod mundurem” w ogniu bitwy spowiada żołnierzy (str. 276). Ani ks. Lisowski tracący szczękę wraz z językiem (str. 426). Ani śmierć ks. Huczyńskiego (str. 225 i jego fotogr. str. 229). Ani ks. Joniec (str. 54 i 56). Niejednokrotnie wydanie krajowe dokumentuje pobożność walczących: por. Bortnowski, umierający ze „Zdrowaś Maria” na ustach (449); Tereszczuk „zabijany na raty”, spowiadający się, jak tylko go zniesiono z pobjowiska (222); „Jasio Pobożny”, por. Perkowicz, „większy obserwator jak kapelan”, który, nie oglądając się na swych żołnierzy, skacze na bunkier, a kiedy pocisk roztrzaskuje mu prawą rękę z pistoletem automatycznym, wyciąga lewą z olster p. stolet (281); żołnierze, którzy gorszą się, że ranny Niemiec nie prosi o księdza (428).

Ks. Malinowski, który zapraszał mnie na bezpłatne mieszkanie wraz z żoną w Argentynie i przyjeżdżał do mnie na Long Island dwukrotnie. O niego w porwywie pobożności dopomina się p. Stahl, kłamliwie podając, że „z III tomu znikła postać ks. Malinowskiego”.

I scena na str. 468, gdzie odważnego ks. Malinowskiego „nosiło po natarciu” jest wzięta z tomu III. I z tomu III jest wzięta scena na str. 481 wydania krajowego:

— *Ego te absolvo ab omnibus peccatis tuis...* — rozpina nad nim kapelan schron, którego już żaden szmajser, żaden nebelwerfer, ani żaden mortar, ani żadna handgranata nie zmoże.

A dalej — scena z umierającym Kuźniarem. I o tym jak „nie może ksiądz nadażyć z tą krwawą robotą”. Z tegoż III tomu, z którego jakoby „znikła postać ks. Malinowskiego” na str. 481 wyd. kraj. jest umieszczona nadnormalnych rozmiarów fotografia.

Natomiast z dwu opuszczonych o ks. Malinowskim ustępów, jeden, w tomie I — 196 podśmiewa się, że udawał rotmistrza skrzętnie ukrywając dystynkcje kapłańskie za co był monitowany przez bisk. Gawlinę. Osobliwego obrońcę ma ks. Malinowski w p. Stahlu.

Nie wyliczyłem wszystkich wzmianek katolickich w wydaniu krajowym, choćby pełne pietyzmu opisy klasztoru w I i III tomach, wizerunek św. Benedykta itp. Ale i na podstawie tego co zacytowałem możemy ocenić poziom insynuacji, że niepuszczenia tych dwu wzmianek o ks. Malinowskim „wymagał chyba postulat cenzorski ze stanowiska bezbożniczej ideologii komunistycznej, która nie dopuszcza w literaturze dodatniej osoby księdza”.

Szymmel polrealistyczny Stahla jest godnym partnerem socrealistycznego slangu „o pacholkach międzynarodowej burżuazji”.

Dlaczego gen. Anders nie był, wg p. Stahla „pokazany jak należy?”

Gen. Anders jest powołany w wydaniu krajowym 18 razy. Jest podkreślony jego spokój w dowodzeniu bitwą, kiedy inni stracili głowę (92), jego hart (236), wiara w swego żołnierza (96), wyjazd na front (272), pasowanie się z zadaniem (405), poczucie odpowiedzialności (404), sprężystość w montowaniu ponownego natarcia (406), dodawanie otuchy podkomendnym (407), troska o oszczędzanie żyć ludzkich (509).

Zastanawiałem się nad dwoma ustępami tycającymi gen. Andersa — czy je zostawić. Jeden dotyczy sceny, kiedy gen. Leese, pod którego komendą znajdował się 2 Korpus, wyraża gotowość oszczędzenia Polakom bitwy pod Monte Cassino, gen. Anders jednak decyduje się podnieść to zadanie (I — 131). Drugi — kiedy gen. Anders, uświadomiony, że Niemcy się

wycofują, spędza noc w pijamie i rano ukazuje się wyspany i uśmiechnięty (II, 296-231).

Usuwanie zależało tylko ode mnie. Kontrowersje były o to, co chciałbym utrzymać.

Wycofanie ustępów wywołałoby jazgot z jednej, zostawienie — z drugiej strony. Wołałem podać spuszczoną historyczną Polskę bez rejdachu.

Akurat po nocy, kiedy nad tym pracowałem, odwiedził mnie Kazimierz Smogorzewski. Wyjeżdżał z Polski przede mną, nie był obkładany anatemią, prosiłem go więc o zamówienie rozmowy z generałem Andersem. Generał się zgodził, kiedy jednak przyjechałem do Londynu, powiadomiono w adiutanturze, że wyjechał, co nie było prawdą. Powtórzył się casus Korboński. Z równym uporem jak w casus Korboński powiadomiłem bliskiego generałowi por. Racęskiego o moich wątpliwościach co do tych ustępów, ale reakcji nie miałem. Otrzymał list od Mariana Szyski-Bohusza, bratanka generała, zastępcy gen. Andersa, mieszkającego również w Londynie, w którym Marian Bohusz Szyszko zapytywał o przeróbkę „Monte Cassino”, zreferowałem mu skwapliwie sprawę obu ustępów listem z dnia 9. I. 57 (z. 46), kiedy jeszcze wszystko można było zrobić.

Nie otrzymawszy i na ten list reakcji, zdecydowałem się zostawić książkę przy decyzji pośredniej, jaką zostawiłem, wyjeżdżając z Warszawy. Skreślała ona ustęp, z którego w demagogicznej wersji wynikałoby, że to decyzja gen. Andersa spowodowała wykrwawienie się 2 Korpusu, drugi zaś ustęp (o pijamie) zostawiłem.

Stało się jak przewidywałem. „Polityka”, pismo przyhamowujące odwilż, w Nr 2 z dn. 11. I. 57 (z. 47) w wielkim artykule zaatakowała gen. Andersa właśnie z powodu tego ustępu o pijamie.

Podczas kiedy jazgot z tamtej strony poczał się o umieszczony, godny współpartner Stahl jazgocze o nieumieszczony ustęp, zarzucając, że „nie pokazał Wankowicz gen. Andersa jak należy”.

Wyobrażam sobie tę podwójną porcję zarzutów, jaka by spadła na generała, gdybym to zrobił.

Obecnie mi sygnalizują dalsze zbożne skutki tej zabawy wszczętej przez p. Stahla — repliki Polskiego Radia i „7 Dni”.

Istotnie musimy stwierdzić, że rozwłóczenie wielkiej legendy po podwórkach, rozpoczęła piórem p. Stahla — emigracja.

P. Stahl pyta: Dlaczego ilość fotografii w wydaniu krajowym jest mniejsza? Dlaczego nie ma fotografii gen. Andersa? Dlaczego na czele umieszczona fotografia autora?

Z książki drukowanej technika wkłęsłodruku na chropawym papierze fotografii reprodukcować nie można. Moje „Na Tropach Śmętka”, które ukaza się w tym roku, mają ten sam problemat: należy do nich zbierać fotografie na nowo i szata graficzna będzie uboższa niż przedwojenna.

Książka „Monte Cassino” mogła tego uniknąć, bo na emigracji znajduje się wielka ilość fotografii. Jeśli nie mogłem uzyskać nawet rozmowy z dowódcą Korpusu, nie mogłem też liczyć na materiał z archiwum. Kiedy prasa szczuła mój wyjazd, nie mogłem przez nią prosić byłych żołnierzy o zdjęcia.

Wydawnictwo musiało odnieść się do tych w kraju. Nadsyłali materiał przypadkowy. Stąd bezpodstawne są żale p. Stahla, że gen. Andersa nie ma nawet na scenach zbiorowych. Zresztą i tu p. Stahl mija się z prawdą, bo znajdujemy gen. Andersa na str. 463.

Nie miałem żadnego wpływu na materiał ilustracyjny, objeżdżałem Stany Zjednoczone.

Napisałem 22 sierpnia 1957 list — czy aby nie „zapomną” umieścić fotografii gen. Andersa. Zwlekli z odpowiedzią, by wreszcie odpisać, że „o ile tekst literacki ma wymowę dokumentarną, o tyle fotografia jest wyrazem holdu” (z. 49). Trudno to zrozumieć cywilnej mimo wszystko głowie.

Było już za późno na poprawienie głupstwa, ale gdy się zaniósł na następny nakład, wystosowałem do nieznanego mi osobie min. wojny, gen. Spychalskiego list datowany 27. XI. 57, domagający się umieszczenia fotografii. „Co pomoże dziecinne zatajanie fotografii?” — zapytuje w liście.

Co do mojej fotografii — nie tylko nie powodowałem jej zamieszczenia, ale po raz pierwszy w ogóle zobaczyłem obie swoje fotografie umieszczone w wydaniu krajowym. Widać mieli je żołnierze, z których uczuciami wg p. Stahla nie liczyłem się wydając książkę, a którzy obesłali wydawnictwo tak obficie, że udało się z tego do książki wybrać aż 400 zdjęć z fotografiami czterech generałów łącznie. Zwyczajem przyjętym jedną z moich fotografii dało wydawnictwo na wstępie książki. Byłbym temu przeciwny, jak przeciwny byłem w wydaniu korpusowym.

Nie podaje w wydaniu korpusowym swych fotografii, aż dopiero znalazła się jakaś marginesowa w trzecim tomie, kiedy już nie siedziałem świekiem w Rzymie, a zirytowany grafik nie miał czym miejsca zatknąć (miałśmy zasadę: ani strony bez ilustracji). Jeśli zdarzałem się w grupach, prosiłem fotomontażystę Z. Haara, by nalepiać na moje miejsce kogo innego.

Czy politruk dopisał „groteskową wstawkę?”

W krajowym wydaniu nie ma dopisanego ani jednego wiersza.

Zwracam się o wyznaczenie dwu członków komisji, aby zechcieli odczytać kolejno zarzut p. Stahla i porównać z tekstem wydania korpusowego. Przewodniczący plk. Popławski sam kolejno czyta ustępy:

Artykułu p. Stahla (z 50)

Wyd. korpusowego tam I, str. 19.

Linie przewodnią konfiskat potwierdza i uzupełnia w sposób zresztą trochę groteskowy jedyna wstawka, jaką w reżymowym wydaniu „Monte Cassino” na str. 76 znajdujemy. Jest tam mowa o pociskach ogromnego kalibru 150 mm. i przy nich dodano takie uzupełnienie:

„Są to moździerze pierwotnie przeznaczone do zadymiania, które następnie domyślono się zastosować do rzucania pocisków kruszących. Pierwsi domyślili się używać tego rodzaju broni Rosjanie, „Maria Iwanowna” pod Sewastopolem napelniła Niemców przerażeniem. Salwy pocisków wyją i niesamowicie chichoczą. Pociski mają mały rozprysk, ale potężny podmuch. Należy dodać, że Niemcy strzelali trzema bateriami po trzy „nebelwerfery” naraz”.

Są to moździerze przeznaczone do zadymiania, które następnie domyślono się zastosować do rzucania pocisków kruszących.

Jest to sześć sprzężonych luf, których pociski są odpalane równocześnie elektrycznością ze schronu.

Pociski te są ogromnego kalibru — 150 mm., a nawet 240 mm.

Pierwsi domyślili się używać tego rodzaju broni Rosjanie, których „Maria Iwanowna” pod Sewastopolem napelniła Niemców przerażeniem.

„Domyślamy się” — pisze p. Stahl dalej, biorąc te słowa w cudzysłów — że autor wstawki nie był mocny w literackiej polszczyźnie oraz, że skoro nie było pod Cassinem wojsk sowieckich, do odpowiedniego ich zgłoryfikowania, trzeba było przynajmniej zareklamować Marię Iwanownę.

Salwy pocisków wyjął i niesamowicie, rzekłbyś, chichocząc.

Pociski mają mały rozprysk, ale potężny podmuch.

Należy dodać, że Niemcy strzelali trzema bateriami po trzy nebelwerfery naraz.

Dziękuję, panie Pułkowniku. Ustęp ten znajduje się na samym wstępie wydania korpusowego, opatrzonego nadto zwracającą uwagę fotografią dziwnego nebelwerfera. Pan Stahl więc przy tak drobiazgowym porównywaniu tekstów, przeoczyć go nie mógł. Przymruża oko, podkreślając cudzysłowem „domyślamy się”, że nie ma się co domyślać, tylko jest pewnik, że „autor wstawki nie był mocny w literackiej polszczyźnie”.

Tymczasem ten tekst jest najwłaśniejszy mój — żywcem z korpusowego wydania. Przecież w korpusowym wydaniu powołuję i inne rosyjskie tematy (np. dzieło o czołgach mjr. Kołomiejowa — III, 174). Jak mógł pan Stahl nie spreparować takiej gratki? Przecież wiedział, że nigdy nie prostowałem dotąd żadnych fałszerstw, czułem się więc z mojej strony całkiem ubezpieczony.

Czułem się też ubezpieczony od strony czytelnika. Bo jakże czytelnik sprawdzi?

Ale to szachrajstwo na krótkich nogach może zdemaskować każdy posiadacz wydania korpusowego, otworzywszy tom I na 19 stronie.

Przełamaleś opór wewnętrzny i swoje obyczaje, zwróciwszy się do Kolegów o rozejście materiałów niedostępnych dla ogółu. Zrobiłem to w obronie książki. Mieroszewski pisał: „Za pięćdziesiąt lat z Monte Cassino nie pozostanie nic, prócz cmentarza na wzgórzu i Trylogii Wańkowicza” („Wiad.” 22. II. 48).

Za te pięćdziesiąt lat zwietrzeje i plwocina na grobie. Ale teraz zawiśła ona na książce w chwili, kiedy otwierają się dla niej serca w Polsce.

O próbach nadzoru nad pisarzami Emigracji.

Kiedy wyjeżdżałem do Polski, grożono mi, że po powrocie nie będę miał prawa do tytułu pisarza emigracyjnego.

Sądzę, że mi rzeczywiście miano pisarza emigracyjnego nie przysługuje, jak nie przysługuje miano pisarza krajowego. Muszę się ograniczyć do nazywania się, po prostu, pisarzem polskim.

Teraz zaczyna się faza przegródek pośrednich — uganiań się za pisarzem z „ani jotą”, obliczania o ile mniej dano fotografii, ile razy mniej powtórzono kogoś w indeksie etc.

Może kopnięcie przeze mnie tych przegródek przyczyni się, na równi z innymi czynnikami, do skrócenia i tej drugiej fazy.

Nikt w dziejach takich przegródek nie był w stanie skonstruować. Dlatego odwrót od zakazu nie może się zatrzymać dopiero na pozycji — odpowiedzialność pisarza.

„Stahlizm” żąda zakazu i zniszczenia nieposłusznych. Ta groźba w wypadku Kunczewiczowej zawiodła, w większości wypadków jeszcze działa. Jasne, że np. daniu Polsce „Soli Ziemi” stoi na przeszkodzie nie przekonanie autora, tylko terror pracodawcy.

Pisarz może odrzucić opinię, ale nie powinien jej lekceważyć. Bo jeśli opinia jest ułonna, to dlaczego pisarz nie ma być ułonnym?

Nie wyobrażam sobie jednak biura prewencyjnego opinii, w którym można by się ubezpieczyć.

Stąd niebezpieczny przywilej autora — stawiania opinii przed dziełem dokonany, w którym dopiero widać, jak co „siedzi”.

Jak kształtują się presje między którymi znajduje się pisarz na emigracji?

„Polityka” komunikuje: „Monte Cassino nie było nawet pół godziny na półkach księgarskich, całe 30.000 rozprysło się po znajomych”. Na cięzarówkę z tą książką, która wraz z innymi książkami palono w Anglii, aby opróżnić składy, teraz w Polsce urządzono napad, jak na transport papierów wartościowych. Nazajutrz wszystko sprzedano na czarnym rynku po 300 zł, tzn. czterokrotnej cenie księgarskiej.

W rubryce „Bestsellery tygodnia” daje „Tygodnik Powszechny” dla „Monte Cassino” współczynnik, oznaczający, że księgarnia z której „Tygodnik Powszechny” czerpie informacje rozprzedała otrzymany transport 600 egzemplarzy w ciągu trzech godzin. Ilu więc ludzi odeszło z kwitkiem? Jaki musieli przedtem, ci spragnieni ludzie, mieć wywiad, kiedy książkę przywiezła, aby się zbiec na tę godzinę? Czy możemy sobie wyobrazić ten tłum, przenoszący w każdym razie tysiąc osób, przed księgarnią?

Jakież tu zastawki postawimy przeciw żywiołowi — łączenia się słowa z jego podłożem kulturalnym?

Finansowe? By pisarze rzekali się honorarium?

Pisarstwo jest zawodem, z którym łączy się zespół form ekonomicznych: piapiernie, drukarnie, domy wydawnicze, księgarnie. Nie można z tego łańcucha wyjąć ogniwo pisarskie i umieścić w chmurach.

To też dyskusje emigracyjne koło tej rzeczywistości znalazły się w ślepej ulicy.

Przed półtora rokiem płynęła rzeka pomysłów:

Więc — że pisarz nie ma prawa zezwalać na druk w Polsce.

Ale to był bojkot nie tylko reżymu, ale i Polaków.

Więc — może, byle nie brał honorarium.

Ale to byłoby, w istocie, bojkotem pisarskiego warsztatu.

Więc — niech kraj kupuje książki wydane na emigracji.

Ale jak? Skoro te książki są 30-40 razy droższe...

Więc — niech wydawcy emigracyjni dają na Polskę książki darmo.

Ale — z czego?

Więc — niech wydawcy krajowi zamawiają dobijanie u emigracyjnych.

Ale wówczas wraz z autorami uzależnią się od zamówień.

Więc — wydawać można tylko u prywatnych wydawców w Polsce.

Ale oni ulegają także cenzurze i CUW zatwierdzającemu tytuły.

Więc — można wydawać u reżymowych wydawców, ale brać w złotych. Ale tak mówił sędzia z „Rewizora” biorący łapówki tylko psami rasowymi.

W trosce o pisarza, traktowanego jako potencjalny przestępca, wysuwano różne zastawki.

Najprzód — nie wolno w ogóle było odwiedzać Polski, pisarz więc nie był dyskryminowany w stosunku do tzw. szarych ludzi.

Potem — zwykłym ludziom dozwolono, choć zazwyczaj to ojcom kościoła zezwala się na prohibita.

Wobec tego rozgzeszono... dziennikarzy. Ale nie pisarzy. To znaczy na dobrą sprawę Mieroszewski mógłby jechać, ale jakaś Mniszchówna emigracyjna — nie.

Nie, okazuje się — Mieroszewski też nie może. Odwrotnie, może by pozwolić Mniszchównie? Ale kto będzie wydawał te przepustki w imieniu

opinii? Może komisja kwalifikacyjna, którą proponowano stworzyć celem wydawania „approbatur” na puszczanie do księgarń emigracyjnych książek krajowych?

Gdybym miał czas, wyszukałbym i zaznaczył przy każdym z wyżej wymienionych pomysłów jego autora.

Jestem daleki od wyszydzenia tych pomysłów „zrodzonych prawym duszy niepokojem”.

Toteż nie myślę odwracać się od nikogo, kto mnie atakował, nawet od p. Stahla. Zawodne wymierzanie w jakiej mierze motywem ataku jest kundlizm, a w jakiej polskie nieszczęście, prowadziłoby do emigracyjnego pieniactwa. Dostę już mam przynębiającego żalu nad czasem zdegradowanym na te wyjaśnienia.

Teraz, kiedy wyszliśmy z fazy zakazów bezwzględnych, tulają się pomysły zakazów zmieniania tekstu choćby „na jotę”. To znaczy gdyby na emigracji żył Zeromski i chciał swoje „Syzyfowe Prace” wydać w Polsce jako „Andrzeja Radka”, wylugowane z akcentów antyrosyjskich, albo gdyby Sienkiewicz chciał powtórzyć „Pamiętniki Poznańskiego Nauczyciela”, oznaczające nauczyciela w zaborze rosyjskim, to by im teraz na to nie pozwolono, a obu pisarzy zagnano do propagandowego szlachtuza.



To nie znaczy, że pisarz jest nadczłowiekiem, do którego nie ma się prawa stosować norm. Jest miernik!

Spójrzcie, koledzy, na to krajowe wydanie „Monte Cassino” i odpowiedź sobie: gdybyście mieli w Polsce syna, czy chcielibyście, żeby ta książka znalazła się w jego rękach?

I to, co poczujecie, to właśnie będzie miernik. Opinia!...

Artykuł w rodzaju artykułu Stahla zduszają tę opinię jak perz rozpleniony w emigracyjnej publicystyce.

Weźmy przykład.

W tymże „Orle Białym” p. Paweł Zaremba, umieszczając recenzję niedużej książki b. podchorążego 2 Korpusu, Olgierda Terleckiego „Kierunek Monte Cassino — książka uczciwa” (z. 70), aby nie było wątpliwości, co tytuł znaczy, pisze: „Dobrze się stało, że dzieło Terleckiego poprzedziło wydanie przeróbki reportażu Wąnkowicza... Jest to bowiem książka w intencji i treści rzetelna”.

Olgierd Terlecki (nie mieszać z prezesem Zw. Pisarzy w Londynie, który przybrał to historyczne nazwisko), który mi przysłał swą książkę z dedykacją „Mistrzowi — od ucznia”, zdziwiłby się: bo przecie i pisząc w kraju, mógł tę książkę zawczasu przystosować i p. Zaremba nie może wiedzieć co mu skreśliła cenzura.

Paweł Zaremba, autor gruntownych książek, nie jest pisarzem następnym. W tymże „Orle Białym” (29. XI. 47) pisał: „Porównyując Wąnkowicza z szeregiem wielkich korespondentów piszących w innych językach, trudno znaleźć kogoś wyższej klasy od niego”.

Jeśli więc ten nieuprzedzony do mnie spokojny pisarz o zacięciu naukowca, nagle o książce wywołującej w kraju wrzucenie tysięcy pisze jako o nieuczciwej, to widzimy jak głęboko artykuły typu Stahla są w stanie deformować opinię. Są one jak perz. Gdzie pojawia się z kultem zamiast kredytu moralnego stanowiącego o społecznej więzi; z ostracyzmem zamiast opinii, stanowiącej o równowadze moralnej, tam zanikają wyższe kultury socjologiczne, zostaje tłum ludzki — piasek.

Opinia na emigracji została zdewastowana przez tę sztywną mowę emigrancką. Została zdewastowana bardziej niż w kraju, bo tu się tej sztywnej mowy nie strzegła.

Weźmy znowu przykład pierwszy z brzęga.

Czołowy polityk emigracji, Korboński, stawia pisarzom J. Mackiewiczowi i Goetlowi ze śpiewaczką Szczepańską na dodatek zarzut kolaboracji. Śpiewaczka chodzi śpiewający, pisarze też. Najgorzej, że wcale to nie znaczy, że są winni, bo nie reaguja. W liście do redakcji z powodu powtórzenia zarzutu przez Kisielewskiego, J. Mackiewicz nawet wyraża pretensję do redakcji, że tę wypowiedź Kisielewskiego poruszyła. Przebijają w tym liście zniecierpliwienie, niewiara by w tej opinii przytłumionej perzem publicystyki a la Stahl można w ogóle coś załatwić. W tych warunkach, oczywiście opublikowanie zarzutów choćby z najpoważniejszego źródła jest... nietaktem.

Straszliwa dewastacja słowa drukowanego, a rezultat przerzucenia się histrionów na Rejtanów; pokajanych komunistów, którzy wdarli się na ambony; katabasów nagle uskrzydłych publicystyką; rozrabiaczy pod groteskę, rozrabiaczy pod paradoks; kombinatorów, którzy stworzyli publicystykę plotkarską; ciężkich łgarzy za lekki grosz; tępaków ratujących beztalencie niezłomnością; bridżystów z zasadami; wyrobników, wyszczekujących moźolnie kawałek chleba bez masła.

Cóż dziwnego, że w tych warunkach spotykam się z dobroduszną radą: po co to panu, pluń pan na to.

Można by machnąć ręką: każda emigracja ma swoich Ropelewskich, swoich Ibusiów Ostrowskich.

A jednak — nie machnąłem ręką. Jak i nie machnąłem ręką przed wyjazdem do Polski na gadanie po opłotkach. Wbrew wszystkiemu, chciałem się liczyć z opinią wówczas, pragnę się liczyć z nią dzisiaj. Bo jeśli dojść do dna cynizmu, to cóż z tej emigracji zostanie?

Artykuł Stahla, przedrukowywany w dobrej wierze, podrywa kredyt moralny jednego pisarza, zawodzi drugiego, grozi ostracyzmem innym, oszukuje ogół, rozpiera się licytując bez pokrycia patriotyzm.

Epoka każdej emigracji skazanej na werbalizm bez sprawdzianów, jest złotym czasem dla takich licytantów.

Nie ma w obecnej chwili Polaka bez kompromisu, na każdym szczeblu drabiny społecznej, w każdej szerokości geograficznej, którego nie można by przelicytować.

Pisarza los jego narodu nie wyłącza, zwłaszcza jeśli pisarz ten przywykł raczej przemawiać ze skrzynki po mydle, niż siedzieć w wieży z kości słoniowej. Robi on kompromis i wtedy, kiedy w Polsce pozwala sobie skreślać cenzurze i wtedy, kiedy na emigracji marnuje talent na urządzie propagandowym.

W tych warunkach jest niezwykle pole dla licytantów bez pokrycia. Ostatecznie — stara to rzecz: pisarz i opinia. Liczni w dziejach starali się ją zastąpić regulacjami, zakazami, nakazami, ograniczeniami, prewencją, kontrolą, nagankami, ostracyzmem, bojkotem i oszczerstwem.

Ten piękny asortyment w ciągu półtora roku pomijałem milczeniem. Ale z uczciwie wyważoną opinią chcę się liczyć, stawiam ją zaraz po moim sumieniu.

Daję tego dowód, zwróciwszy się dobrowolnie do mojego macierzystego Koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Ameryce.

Melchior WĄKOWICZ

Spóźnieni i nieprzekonani

Londyński zjazd Zw. Pisarzy 1957/58 był zebraniem zamierzającego stowarzyszenia. Na zjeździe nie zjawili się nikt z młodszego pokolenia literackiego, wychowanego już w Anglii. Nikt z „Merkurysza”, nikt z „Konsturów”. Polskie środowiska literackie spoza Anglii, zrażone metodą wąskiej grupy londyńskiej narzucania im zdania, zbojkotowały zjazd. Tak więc w szesnaście osób, jeśli obliczać ilość uczestników według decydującego głosowania, dawano upust ambicji rozstrzygania o losach literatury.

Jest chyba bezsporne, że polityczne i kulturalne oblicze emigracji najlepiej przedstawiają dwa periodyki: „Wiadomości” i paryska „Kultura”. Redakcje ich nie były reprezentowane na niedawnym zjeździe Zw. Dziennikarzy, a można by nadto ułożyć dość długą listę pism i polskich środowisk prasowych, z którymi zawodowa organizacja dziennikarstwa emigracyjnego w ogóle nie posiada kontaktu. Jest naturalnym wynikiem tego stanu rzeczy, że w Zw. Dziennikarzy najpoważniejszą grupę stanowią ludzie nie zajmujący się dziennikarstwem a w Zw. Pisarzy — ludzie z rzadka tylko zajmujący się pisarstwem. Ankieta „Kultury” w sprawie uchwały Kisielewskiego-Terleckiego dlatego wywołała w Związku tyle niechęci, że szyld zastąpiła rzeczywistością. Wyliczając inicjatorów i zwolenników uchwały pokazała kto ją właściwie popiera, a drukując odpowiedzi na ankietę zademonstrowała kto się jej sprzeciwia. W ten sposób wymowę uroczystej firmy — zastąpiono wymową nazwisk.

Na ostatnim zjeździe pisarzy najprostszą drogą wyjścia z kłopotliwej sytuacji było przekreślenie odpowiednim oświadczeniem „niemądrej” uchwały, co w niczym nie przeszkadzało wysunięciu projektów protestu wobec represji jakie spotkały w Polsce niektóre pisma. Szesnaście osób, obecnych na zebraniu, może próbować naprawienia własnego błędu i usunąć istniejące zadrażnienie, ale nie może rościć sobie pretensji do przemawiania w imieniu całego piśmiennictwa. Niestety, stała ambicją wielu organizacji emigracyjnych jest składanie oświadczeń bez sprawdzenia czy istnieje po temu odpowiedni mandat. Egzekutywa P.R.J.N. będzie przemawiać w imieniu emigracji, choć jej emigracja nie wybrała. Związek Pisarzy będzie dążył do zabierania głosu w imieniu ogółu piszących bez najmniejszej nawet próby zbadania ich opinii. Propozycje aby przed jakąkolwiek deklaracją zapytać o zdanie kolegów spoza Londynu zebranie kategorycznie odrzuciło. Zrozumiałe, jest to zabieg na rzecz utrzymania większości głosów za odpowiednią rezolucją, obrona monopolu na polskość i niepodległość.

Wymowa rzeczywistości była jednak na tyle silna, że powołano pięcioosobowy zespół dla przygotowania oświadczenia, które by przekreślało zeszłoroczne pomysły bojkotu wydawnictw krajowych. Komisja była zgodna jeśli idzie o wskazanie na rosnące ograniczenia szanowanych początkowo rozsądnych granic swobody prasy. Natomiast były różne zdania w stosunku do zasady ogłaszania w kraju prac autorów emigracyjnych. Niżej podpisany wysunął myśl że każdemu pisarzowi należy pozostawić całkowitą swobodę decyzji. Red. J. Kisielewski ograniczył to stwierdzeniem tego co Związek uważa za „dopuszczalne” a co za „nie dopuszczalne”.

W tym przekonaniu był to nawrót do nieudanego ustanawiania przez Związek jakichś niemal szkolnych reguł, których ludzie dorosli i odpowiedzialni z góry nie zechcą brać pod uwagę.

W końcu przedstawiono zjazdowi dwie odmienne propozycje. Zebranie przyjęło tekst J. Kisielewskiego dziewięciu głosami przeciw siedmiu. W ten sposób podtrzymano niedobry obyczaj pozowania na wyrocznie, na rzekomą władzę ogółu pisarzy, słowem — fikcję emigracyjną wynikającą z degeneracji form życia politycznego. Dwa głosy decydowały o nowym pisarskim kanonie moralnym. Wszystko to przemilcza rozesłany przez Związek biuletyn, ograniczając się do niezbyt ścisłego stwierdzenia, iż nową deklarację uchwalono większością głosów. W rzeczywistości było inaczej — przeszedł projekt red. Kisielewskiego, odmienny od tekstu podanego w biuletynie.

Tu wszakże nastąpiła dziwna rzecz: spostrzeżono groteskowość sytuacji, kompromitacja zeszłoroczna podziałała jednak ostrzegająco. Ci, co głosowali za pozostawieniem sprawy „sumieniu pisarza”, a jednocześnie za ustawowym ograniczaniem głosu sumienia, albo liczyli na szersze poparcie albo też mieli cichą nadzieję, że ich głosy — dokumentujące lojalność polityczną — nie zdolają przeważać.

Powiedzmy zwyczajnie — przestraszone się własnego oblicza. Wbrew zatem przyjętym zwyczajom przeprowadzono reasumpcję dopiero co powziętej uchwały, zmieniono zdanie na poczekaniu i odrzucono przed chwilą przyjęty projekt red. Kisielewskiego.

Zebranych ratowała z kłopotu dr Danielewiczowa, proponując tekst, który też został ostatecznie przyjęty — bez głosów inicjatorów dawnej uchwały. Do tego wyniku Związek nie doszedł prawidłową drogą, gdyż zmiana raz powziętej uchwały wymaga zwolnienia w tym celu osobnego zebrania, ale wynik nie jest najgorszy. Skończyło się narzucanie pisarzom jakichś autorytatywnych opinii, miejsce prezesa po Terleckim zajął Wiesław Wóhnt. Niestety, akcja przeciw zeszłorocznym praktykom nie zdolała na tyle uzdrowić stosunków, by przyjęty ostatecznie tekst uznać jedynie za propozycję, jaką należy przesłać wszystkim członkom Związku, mieszkającym poza Londynem i poza Anglią. Nie zrobiono tego skromnego kroku, który byłby pierwszym na drodze przywrócenia powszechności emigracyjnemu stowarzyszeniu pisarzy.

Tegoroczna deklaracja Związku zawiera wyrazy uznania dla kolegów w kraju, wywołane głównie przebiegiem zjazdu w Poznaniu, za zdecydowaną postawę w obronie swobody twórczości artystycznej.

O ileż silniejszy, wymowniejszy byłby protest Zw. Pisarzy przeciw zamykaniu czasopism literackich w kraju, gdyby pochodził od organizacji zajmującej właściwe stanowisko w właściwym momencie, a nie z rocznym opóźnieniem. Nie na wiele się przyda uchylenie zakazu drukowania w kraju w chwili gdy jest już o wiele trudniej pewne rzeczy wydrukować. Jedyna pociecha, że mało kto się liczył ze stanowiskiem Związku Pisarzy sprzed roku.

Na zjeździe Zw. Dziennikarzy znów wyciągnięto tę samą sprawę. Na szczęście na zebraniu dziennikarskim padł rozsądny głos, że organizacje pisarskie powinny mówić o pisaniu, a nie o tym jak nie pisać. To, niestety, dzieje się już samo przez się — spadek ilościowy emigracyjnych pozycji wydawniczych w ub. roku jest tu wymowną ilustracją. Ale nad tym aktualnym i o wiele ważniejszym zagadnieniem nie zastanawiało się ani jedno ani drugie zebranie.

Energię pochłonęło uchwalanie deklaracji politycznych oraz lamenty nad brakiem autorytetu sądu koleżeńskiego. Przed wojną byłoby nie do pomyślenia, aby Świątkat Dziennikarzy czy też Zw. Literatów przeprowadzał uchwały ściśle polityczne, wymagające od swych członków przyjęcia określonej „linii”. Zebrania tych organizacji opierały się wówczas na zasadzie, iż ludzi o różnych opiniach i różnych ocenach zagadnień kulturalnych łączy konieczność obrony wolności słowa, i interesów i etyki zawo-

du. Nawet protest wobec Brześcia nie był w Zw. Literatów protestem organizacyjnym, ale oświadczeniem osobistym podpisywanym imiennie, przy czym nie złożyli pod nim swego podpisu różni ludzie dziś tak gorliwie broniący „niepodległościowej” zasady odmawiania druku w kraju.

Zdzisław BRONCEL

Najnowsza historia Polski

Dlaczego ?

(PRZYSZYNEK DO KOMUNISTYCZNEJ MORALNOŚCI)

Latem 1934 roku krążyła w Polsce broszurka, wydana nielegalnie przez Kom. Partię Polską, w której autor, ukryty pod pseudonimem Albert, ujawnił z imienia i nazwiska 26 osób, wybitnych członków Kom. Partii, jako prowokatorów pracujących na rzecz agencji rządowych.

W 1937 roku, na wiosnę, Komintern obwieścił, że rozwiązuje Kom. Partię Polską ponieważ „jest przeżarta przez prowokację”.

Wspomnienie niniejsze poświęcone jest pamięci tych młodych idealistów z Kompartii Polskiej, którzy, widząc rdzę prowokacji, z obrzydzeniem z nią zrywali.

Latem wymiar sprawiedliwości w Polsce był na urlopie... Sale sądowe były w trzech czwartych przynięte, adwokackie kancelarie puste... W końcu sierpnia czy też na początku września 1934 roku, ciszę moich wakacji przerwała wizyta młodej kobiety, której brata kiedyś broniłem. To ona właśnie powierzyła mi ową sprawę i w okresie jej rozwiązywania była dosyć częstym gościem w mojej kancelarii. Na moje zapytanie czy znowu jakaś bieda spadła na głowę brata usłyszałem, że całkiem inna sprawa sprowadziła ją dziś do mnie. Byłem zaintrygowany. Mając jednak swoją wyrobioną i wypróbowaną metodę rozmawiania z klientami, nie zapytałem o nic więcej, lecz czekałem na jej opowieść czy spowiedź. Bo i te ostatnie wypadało mi nieraz wysłuchiwać. Gość mój długo przypatrywał mi się w milczeniu. Potem przymknęła oczy. Widziałem występujący na jej czole lekki rumieniec przecięty głęboką bruzdą prostopadłej zmarszczki opartej o nasadę nosa. Zbierała myśli, dobierała słowa,

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

NAJBARDZIEJ NOWOCZESNE MASZyny DZIEWIARSKIE

DZIĘKI SWOIM ZALETOM SZCZEGÓLNIC

POPULARNE W KRAJU

TRICOLETTE (RIBOMATIC). Całkowicie zautomatyzowana. Ściągacz wykonywany automatycznie. 360 igieł w dwóch STALOWYCH łożyskach. Jedyny prawdziwie przemysłowy aparat nadający się do wszelkich odmian ściągacza, do wykonywania wielkiej różnorodności wzorów, jak również do fasowania i okrężnego trykotowania bez szwu.

Obszerna polska instrukcja. Cena £ 46 (albo \$ 138.00)

AUTO-KNITTER 181 igieł w jednym rzędzie. Długość 90 cm. Łożysko całkowicie stalowe. Dwustronna kontrola napięcia włóczki umożliwia wielką dokładność i rekordową szybkość, dochodzącą do 10.000 oczek na minutę. Maszyna najczęściej spotykana w Polsce. Niewspółmiernie niska cena w stosunku do wartości.

Obszerna polska instrukcja.

CENA z licznikiem £ 24.00. (\$ 72.00).

poleca NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY

TAZAB & Co LTD.

LONDYN
22 ROLAND GRDNS,
LONDON, S.W.7.
Tel. FRE 3175/6

NOWY JORK
36, 3rd Avenue,
New York 3, N.Y., USA.
Tel. ALgenquin 4-4160/1.

a także jeszcze raz sprawdzała swoją decyzję, która owego dnia sprowadziła ją do mnie. Wreszcie zapytała czy mogę jej uroczyście przyrzec, że wizyta jej pozostanie w tajemnicy. Złożywszy „uroczystość” przyrzeczenia na karb jej młodości, pewnie i zimno odpowiedziałem, że albo się ma do mnie zaufanie, albo szuka się innego powiernika. Ja mogę powiedzieć tylko, że zastrzeżenie tajemnicy przyjmuję. Po tym wstępie dziewczyna przypomniała mi, iż jest pracownicą redakcji pisma codziennego „Frajnd”, będącego legalnym organem Kompartii. Jako członek partii z pewnym stażem korzysta w redakcji z pewnych przywilejów: nie zamyka się przed nią drzwi, gdy menadżerzy pisma odbywają poufne rozmowy.

Otóż poprzedniego dnia opowiadająca przyjęła telefon dla redaktora Kacizny, który był nieobecny. Telefonujący prosił o przekazanie p. Kaciznie, że kapitan Runge (naczelnik bezpieczeństwa w Komisariacie Rządu) oczekuje go nazajutrz o oznaczonej godzinie. Tego rodzaju telefon nie wzbudził w gościu moim żadnych podejrzeń, albowiem p. Runge otaczał swoją czułą opieką całą prasę warszawską i często-gęsto składał „telefoniczne” wizyty redakcjom warszawskim, domagając się usunięcia tego czy innego tekstu ze szpałt pisma lub też zapowiadając nieposłusznym swój gniew. Gdy pan Runge uważał za stosowne zademonstrować silniejszy stopień swego niezadowolenia, wówczas zapraszał redaktora do swego biura. Redaktorzy warszawscy nie lubili tych zaprosin, ale przyzwyczajali się do nich jak członkowie przyzwyczajają się do przechodzącej około jego domu drogi, pełnej ostrych kamieni i wybojów.

Dziewczyna zapisała polecenie i położyła je na redakcyjnym biurku p. Kacizny.

W gazecie „Frajnd” zagnieździł się jezuicki zwyczaj, że do władz chodzili redaktorzy parami. Więc i w dniu wizyty mego gościa u mnie p. Kacizna razem z innym redaktorem (pamięć moja zachowała pewne nazwisko, ale ponieważ mam niejakie wątpliwości co do ścisłości tego szczegółu, więc je pomijam) złożył wizytę p. Runge.

Wspomniani panowie złożyli relację ze swojej wizyty pozostałym zaufanym członkom redakcji „Frajnda” w obecności mego gościa. To co usłyszała złamało ją moralnie i dlatego przyszła do mnie.

A usłyszała, że p. Runge na samym wstępie, nie zapraszając redaktorów do zajęcia krzeseł, głosem podniesionym zwrócił się do przybyłych z pytaniem, co to ma znaczyć, że już od kilku tygodni nie ma we „Frajndzie” żadnego wystąpienia, żadnego ataku ani na „Bund”, ani na organ „Bundu” — „Naje Folkscajtung”. Dalej, Runge nakazał, że w określonej dacie (w pięć dni po rozmowie z nim) ma być umieszczony w organie p. Kacizny ostry artykuł wymierzony przeciwko „Bundowi” a zawierający — ponad to, co redakcji własna jej inwencja podpowie — trzy zarzuty: 1. zarzut socjal-faszyzmu; 2. zarzut zdrady interesów robotników w ogóle, a żydowskich w szczególności i 3.

zarzut obłudy w stosunku do idei jednolitego frontu klasy robotniczej. Runge doręczył swoje trzy punkty na piśmie i polecił przygotować projekt odpowiedniego artykułu na dzień następny z tym, że redaktorzy mają się spotkać o godzinie ósmej i pół rano w określonej kawiarence przy ulicy Focha z przedstawicielem p. Runge, pokazać mu przygotowany artykuł i zastosować się do otrzymanych od owego przedstawiciela wskazówek i ewentualnych poprawek.

Po krótkiej wymianie zdań w sztabie redakcyjnym „Frajnda” postanowiono artykuł napisać. Przygotowana do zatwierdzenia przez przedstawiciela Komisariatu Rządu napaść na „Bund” została przepisana na maszynie przez mego gościa.

Taka była ta opowieść. Z zastrzeżeniem zachowania w tajemnicy nazwiska i osoby mojej rozmówczyni cała treść opowiadania została mi oddana do dyspozycji.

Aby czytelnik niniejszych wspomnień, nie obeznany z wydarzeniami roku 1934 na gruncie ruchu robotniczego w Polsce, mógł ocenić wagę opisaną wyżej rewelacji, trzeba go o tych wydarzeniach poinformować.

Długotrwałe i systematyczne próby Kominternu i jego sekcji skierowane na oderwanie mas robotniczych, wiernych socjalistycznym ideałom — od ich partij za pomocą podburzania tych mas przeciwko kierownictwu socjalistycznemu (akcja od dołu) — zawiodły. Komintern przeszedł do innej taktyki. Komunistyczne partie niemal w całej Europie zwróciły się do socjalistycznych partij o rozpoczęcie pertraktacji w celu stworzenia jednolitego frontu robotniczego na terenie przede wszystkim ruchu zawodowego.

Komuniści w Polsce korzystali w całej pełni z tego, że większość ich prasy była nielegalna i pozwalali sobie na zupełnie niesłychane napaści, obelgi i oszczerstwa w stosunku do swoich przeciwników politycznych. Walczyć z tym w drodze publicznych rozpraw sądowych było niepodobieństwem, bo autorów i redaktorów nielegalnych druków nie można było ścigać sądowo. Legalna prasa komunistyczna uprawiała tę samą obrzydliwą hecę antysocjalistyczną, lecz zachowywała pewną ostrożność w skalowaniu poszczególnych osób w obawie przed odpowiedzialnością sądową. Wytworzona przez powyższą taktykę atmosfera była do tego stopnia ciężka, że gdy K.P.P. zwróciła się do C.K. „Bundu” z propozycją rozpoczęcia pertraktacji w sprawie jednolitego frontu, „Bund” jako warunek przedwstępny wysunął żądanie zawieszenia akcji skalowania.

Dnia 7 sierpnia 1934 r. stanęło przedwstępne porozumienie o przystąpieniu do pertraktacji, którego pierwszy punkt stanowił: „Wzajemne przeciwko sobie ataki zostają niezwłocznie wstrzymane”.

Piszący te słowa nie posiada żadnych dowodów na stwierdzenie, że kpt. Runge wiedział o rozpoczętych pertraktacjach i o przyjętym przez komunistów zobowiązaniu przyzwolonego zachowania się, ale ma wewnętrzne przekonanie („K.P.P. jest

przeżarta przez prowokację”), że był o tym poinformowany. W każdym razie, po kilkunastu dniach „zawieszenia szkalowania” winien był być oszołomiony przyzwoitością tonu „Frajnda” i... przystąpił do wykonywania praw współredaktora „niezależnego” pisma „Frajnd” i kuratora komunistycznych tradycji, które polegały na rozbijaniu ruchu robotniczego, nie zaś na jego cementowaniu.

A teraz wracam do mojego gościa. Po dokładnym uświadomieniu sobie znaczenia i ważności tego, co usłyszałem, zaproponowałem, by mój gość powtórzył swą opowieść Henrykowi Erlichowi, zapewniwszy ją, że tajemnica jej osoby będzie przez niego tak samo strzeżona, jak i przeze mnie. Erlich korzystał z tak wielkiego moralnego autorytetu u poszczególnych komunistów, że zapewnienia moje były zbędne. Dziewczyna się zgodziła.

Zatelefonowałem do Erlicha. Byliśmy zwyczajni do telefonicznych rozmów w języku Ezopa, więc Erlich zorientował się od razu kto jest moim gościem i po co zapraszam go do niezwłocznego przybycia. Odmówił stanowczo. Z dziećmi „wuja Józefa” nie chce się spotykać, chyba że u notariusza; z tego zawsze wychodzą przykrości i osobiste i rodzinne. Zrozumiałem, że obawiał się komunistycznej prowokacji.

Wobec takiego obrotu poprosiłem mego gościa, by mi jeszcze raz powtórzył swą opowieść, porobiłem pewne notatki, zapisałem kawiarenkę na ul. Focha i rozstaliśmy się.

Powtórnie zatelefonowałem do Erlicha i zapowiedziałem niezwłoczne swoje przyście. Opowiedziałem mu z całą dokładnością przebieg niedawnej rozmowy i obaj zastanawialiśmy się co należy począć.

Obaj rozumieliśmy, że — jeżeli nie jesteśmy ofiarami mistyfikacji (ja, zresztą, będąc pod wrażeniem bezpośredniej rozmowy z klientką, którą dłużej znałem, wątpliwości nie miałem żadnych) — d z i s i a j posiadamy wiadomości o tym, co pewni ludzie z komunistycznej partii zrobią jutro i za pięć dni z poduszczenia agenta rządu w celu niedopuszczenia do zjednoczenia ruchu zawodowego. Rozumieliśmy dalej, że jeżeli następne dni potwierdzą posiadane przez nas *dziś* wiadomości, to jednak nasze późniejsze zapewnienia, że myśmy byli o tym wszystkim wcześniej poinformowani mogą wzbudzić wątpliwości nawet wśród ludzi darzących nas zaufaniem. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że komuniści ogłoszą nas kłamcami i będą żądali dowodów, pewni tego, że współnik z Komisariatu Rządu w dowody nas nie zaopatrzył.

Więc musimy mieć dowód. Dowód na to, że właśnie d z i s wiemy co jest zamierzone na jutro i za pięć dni.

Od trzydziestu lat praktykował w Warszawie adwokat Leon Berenson (*), człowiek wielkiego charakteru, nieugiętej prawości

(*) Ten sam, który w 1918-20 latach był pierwszym sekretarzem Ambasad Polskiej w Waszyngtonie i znaną osobą w ówczesnych sferach dyplomatycznych.

ci, z najlepszymi i najszlachetniejszymi tradycjami politycznego obrońcy, człowiek, o którym wszyscy znający go — a znała go cała politycznie aktywna Polska — wiedzieli, że nigdy nie splamił się kłamstwem. Zaproponowałem Erlichowi byśmy się zaraz udali do Berensona i prosili go, aby on spisał z naszego opowiadania odpowiedni protokół. Takiego dokumentu komunistyczne machinacje nie obalą.

Berenson własnoręcznie zapisał nasze opowiadanie, zawierające i „tezy” przeciwko „Bundowi” w policyjnej redakcji, z podaniem godziny i daty naszych odwiedzin. We troje podpisaliśmy ten dokument. Następnie Berenson włożył go do koperty, opieczętował swoją pieczęcią i znowu własnoręcznie napisał na kopercie, że ma ona być wydana albo nam albo ewentualnemu sądowi, jeżeli sprawa dojdzie do sądu. Pod powyższym znowu położyliśmy nasze trzy podpisy.

Zabezpieczywszy sobie w opisany wyżej sposób „pewność daty”, w której otrzymaliśmy będące w mowie wiadomości, przyszlismy do przekonania, że powinniśmy sprawdzić, czy planowane spotkanie komunistycznego redaktora z redaktorem policyjnym w kawiarence przy ul. Focha dojdzie do skutku czy nie. W tym celu prosiliśmy studentkę medycyny, tow. J., by jeszcze z jednym towarzyszem spotkali się nazajutrz w kawiarence na Focha. Towarzyszka J. znała z widzenia redaktora Kona.

Relacje obojga towarzyszy potwierdziły prawdziwość posiadanych przez nas informacji: spotkanie i wspólna kawa przedstawiciela komunistycznego pisma (było ich zresztą dwóch; druga osoba naszym towarzyszom nieznana) i z przedstawicieli p. Runge doszły do skutku. Wspólnymi siłami ustalono ostateczny tekst nowej, ordynarnej napaści na „Bund”.

W przepisany terminie „Frajnd” wyszedł z artykułem redakcyjnym, w którym wszystkie trzy „pomysły” Komisariatu Rządu, do złudzenia przypominające żargon komunistycznych pism, znalazły się w całości.

Fakt komunistyczno-policyjnej współpracy przeciwko „Bundowi” i przeciwko jedności ruchu robotniczego nie uległ żadnej wątpliwości.

Wówczas Erlich wystąpił w „Naje Folkscajtung” z wyraźnym oskarżeniem „Frajnda” że czerpie swoje inwencje w Komisariacie Rządu.

W komunistycznym ulu zawrzało. Do redakcji „N. Folkscajtung” przyszli panowie z „Frajnda” z żądaniem wyjaśnień. Odpowiedziano im, że wyjaśnienia będą udzielone sądowi złożonemu z przedstawicieli społeczeństwa, a także odpowiednie dowody. „Dowody?” — zaniepokoił się przyjaciele z „Frajnda” — „my chcemy widzieć te dowody”. Twardo i stanowczo odpowiedziano im, że jeżeli wystąpią przeciwko „N. Folkscajtung” z oskarżeniem przed sądem społeczno-obywatelskim to nasza strona zaprodukuje dowody.

Cała żydowska prasa Polski, a częściowo i polska, zainteresowała się podniesionymi przez „Bund” zarzutami i często do nich wracała.

Od mojej wspomnianej już klientki dowiedziałem się, że w łonie redakcji „Frajnda” był bardzo mocny sprzeciw przeciwko wyrażeniu zgody na sąd. Przeciwnicy sądu obawiali się, że Kom. Rządu uchylił rąbka tajemnicy i „zgubił” gdzieś jakieś dowody, a większość wtajemniczonych trwała mocno w swym zaufaniu do współredaktorów z Kom. Rządu. Wreszcie zgodzono się na sąd. „Frajnd” mianował swego arbitra w osobie znanego komunisty, p. Zatorskiego. „Bund” mianował Emanuela Szerera, późniejszego członka Narodowej Rady Krajowej w Londynie. 27 października 1934 r. spisano protokół o powołaniu społeczno-obywatelskiego sądu w celu rozpatrzenia oskarżenia „Frajnda” przeciwko „Naje Folkscajtung”, i arbitrzy przystąpili do rozpatrzenia kandydatur na superarbitra.

Zgłoszone przez stronę bundowską kandydatury wszystkie były odrzucone, aczkolwiek nie zaproponowano nikogo, kto był z „Bundem” bezpośrednio związany. Zatorski wysunął 6 czy 7 kandydatur wszystko ludzi związanych z Komunistyczną Partią i z tego powodu oraz z tą motywacją odrzuconych przez „Bund”. Wreszcie Zatorski zaproponował adwokata Wacława Barcikowskiego. Barcikowski był bezpartyjnym lewicowcem. Wiedzano, że nie jest związany partyjną dyscypliną z żadnym stronnictwem i dlatego też — dla bundowców to był decydujący motyw — został zaakceptowany. Rzecznikiem „Frajnda” przed sądem był adwokat Surewicz, którego uprzednio proponowano na superarbitra. „Bund” reprezentował Henryk Erlich.

Dnia 7 listopada 1934 r. sąd się zorganizował. W okresie między podpisaniem protokołu o powołaniu sądu a pierwszym posiedzeniem „Frajnd” kilkakrotnie oświadczał, że sąd musi być publiczny, że opinia robotnicza musi wiedzieć co się dzieje na sali sądowej, by sama wyrobiła sobie sąd o rzetelności bundowskiej. „Naje Folkscajtung” w tym czasie milczała na temat sądu. Lecz zaraz na pierwszym posiedzeniu Erlich zażądał dopuszczenia możliwie największej ilości osób ze społeczności robotniczej do przesłuchiwania się postępowaniu sądowemu. Zatorskiemu nie paliło się do „publicity”; on zażądał przede wszystkim wyłożenia przed sądem jakimi dowodami „Bund” chce udowodniać swojej tezy. Nie pomogły tłumaczenia Erlicha, że najpierw winna być zdecydowana kwestia techniczno-organizacyjna — czy i w jakiej mierze publiczność będzie dopuszczona, a potem dopiero, w obecności publiczności, strony wyłożą swoje dowody. Sąd większością głosów zobowiązał Erlicha do wyłożenia swoich dowodów.

Gdy Erlich pokrótce wyłożył jakimi dowodami i na jakie okoliczności rozporządza i gdzie się znajdują dokumenty, o których była mowa wyżej, Zatorski zaoponował przeciwko przesłuchaniu świadków i przyjęciu dowodów. Świadkowie, zdaniem Zatorskiego, są skompromitowani politycznie przynależnością do

„Bundu”, a moralnie tym, że podglądali spotkanie osób trzecich i celowo stwarzali dokumenty.

Sąd większością głosów, tym razem przeciwko głosowi Zatorskiego, postanowił ofiarowanych świadków przesłuchać i dokumenty przyjąć.

Co zaś dotyczy jawności obrad, to po gorącej debacie, w której Zatorski bronił tezy wykluczenia jawności obrad, Sąd postanowił dopuścić po 2 osoby z każdej strony.

Przed następnym posiedzeniem sądu superarbitr Barcikowski otrzymał od Berensona zapieczętowaną kopertę z dokumentami, kopertę tę otworzył i odpis zawartego w niej protokołu przesłał Zatorskiemu. O powyższym Szerer nie wiedział. Gdy na najbliższym posiedzeniu sądu Barcikowski zreferował o przesłaniu odpisu Zatorskiemu, Szerer przeciwko pominięciu jego zaoponował. Barcikowski się obraził, powiedział, że wystąpienie Szerera uważa za votum nieufności i zrzeka się uczestnictwa w sądzie.

Szerer natychmiast wyjaśnił, że ma pełne zaufanie do bezstronności superarbitra, że prosi go o dalsze prowadzenie obrad, że jego wystąpienie miało na celu podkreślenie, że przecież on, Szerer, dokumentów przechowywanych u Berensona uprzednio nigdy nie widział i że istnieje zasada, iż z dowodami sądowymi wszyscy sędziowie powinni się zapoznać jednocześnie i na rozprawie.

Barcikowski trwał przy swojej decyzji i posiedzenie zamknął.

Szerer wówczas zwrócił się do Zatorskiego z propozycją zastosowania wspólnego listu do Barcikowskiego z prośbą o dalszy udział w sprawie. Zatorski obiecał dać odpowiedź po kilku godzinach i po odbyciu narady ze swoimi przyjaciółmi z „Frajnda”. Istotnie też, wieczorem zawiadomił Szerera, że on takiego pisma nie podpisze.

W kilka dni później Szerer opublikował oświadczenie („N. Folkscajtung” z dn. dn. 19 i 21 grudnia 1934 r.), w którym stwierdził, że Zatorski w rozmowie z nim wyraził się, iż „Frajnd” od początku nie powinien był przyjmować propozycji „Bundu” na sądowe rozpatrzenie podniesionych zarzutów i że wyrażenie zgody na sąd było błędem.

Kiedy dziś, z perspektywy 22 lat patrzę na sprawę „Frajnda”, to mam przeświadczenie, że Barcikowskiemu rzeczywiście zostało wyrażone votum nieufności, tylko nie przez „Bund”, lecz przez „Frajnd”!

Barcikowski do mnie osobiście powiedział, że panowie z „Frajnda” przyszli do niego na pozasądowe rozmowy i że on ich wyrzucił za drzwi. Rozmowę moją z Barcikowskim podałem w końcu grudnia 1934 r. do publicznej wiadomości na szpaltach „N. Folkscajtung”. „Frajnd” zapowiedział „ustosunkowanie się” do mojego oświadczenia ze strony Barcikowskiego. Jednak Barcikowski się nie odezwał.

To co się kryło za zamkniętymi drzwiami, przez które Barcikowski wyrzucił „Frajndowców” niewątpliwie wpłynęło na

odmowę zwrócenia się do Barcikowskiego i na zerwanie postępowania sądowego.

Czytelnik niniejszego jest niewątpliwie uprawniony do postawienia pytania: a co się stało z pertraktacjami o jednolitym froncie?

Rozpoczęte 7 sierpnia 1934 r. na wniosek Komunistycznej Partii Polski pertraktacje o utworzeniu z „Bundem” jednolitego robotniczego frontu na terenie zawodowym doprowadziły do pomyślnego wyniku, wyrażonego w ostatecznym porozumieniu z dn. 12 października 1934. Porozumienie to zostało zatwierdzone przez Egzekutywę Centralnego Komitetu „Bundu” w dniu 14-ym października 1934 r. A już nazajutrz, tj. 15 października 1934 r., „Naje Folkscajtung” przyniosło wiadomość, że Komunistyczna Partia zerwała osiągnięte porozumienie.

Pan Runge, naczelnik wydziału bezpieczeństwa Komisariatu Rządu w Warszawie, nie chciał jednolitego frontu robotniczego. Pan Runge zwyciężył via Partia Komunistyczna.

Jednym z największych grzechów Kominternu, komunistycznych partij i poszczególnych komunistów jest — posługiwanie się kłamstwem. Ale raz jeden Komintern powiedział szczerą prawdę: „Komunistyczna Partia Polski jest przeżarta przez prowokację”.

Tylko dlaczego o pewnych prowokacjach komuniści nie tylko nie pisali rewelacyjnych broszur, lecz wręcz bronili honoru prowokatorów?

Dlaczego?

Ludwik HONIGWILL



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

121, Earls Court Road, London. S.W.5.

Telefon: FREmantle 7888/9

Kronika ukraińska

Krajowa nagroda „Kultury”

Ustanowioną w ubiegłym roku Nagrodę Literacką dla pisarza krajowego jury przyznało Markowi HŁASKO za książkę pt. „Cmentarze”. Książka ta ukazuje się jednocześnie z bieżącym numerem jako XXVIII tom BIBLIOTEKI „KULTURY”.

Marek Hłasko urodził się w 1933 roku w Warszawie, gdzie mieszkał w czasie okupacji i Powstania. Po zakończeniu wojny przeniósł się do Wrocławia. Był kolejno: pikolakiem w barze, uczniem ślusarskim, praktykantem na barce, furmanem, mechanikiem samochodowym i szoferem. Zaczął pisać w roku 1951. W roku 1956 wydał pierwszy tom opowiadań pt.: „Pierwszy krok w chmurach”. Interesuje się filmem i między innymi opracował scenariusz ze swego opowiadania „Pętla” oraz brał udział w realizacji tegoż filmu, który wszedł na ekrany z początkiem br.

W bieżącym roku Marek Hłasko otrzymał Nagrodę Wydawców w Warszawie.

Twórczość Marka Hłaski wzbudziła duże zainteresowanie zagranicą. Tom jego opowiadań ukazuje się w najbliższych miastach we Francji (Julliard), w Niemczech (Kiepenheuer & Witsch), we Włoszech (Einaudi), w Stanach Zjednoczonych (E.P. Dutton & Co., Inc.). Przygotowywane są inne przekłady i wydania.

Niezależnie od wydań książkowych najpoważniejsze pisma literackie jak „Temps Modernes”, „Lettres Nouvelles”, „Esprit” i „Preuves” w Paryżu, „Encounter” w Londynie, „Tempo Presente” w Rzymie i inne zamieszczają w najbliższych numerach poszczególne opowiadania Hłaski. Z przyjemnością konstatujemy, że opowiadanie nagrodzone przez „Kulturę” oraz nowela „Następny do rajy”, wchodząca w skład wydanego tomu — spotkały się ze specjalnym zainteresowaniem. Niewątpliwie jest to zupełnie wyjątkowy sukces, który pozwala wróżyć młodemu pisarzowi światową karierę literacką.

Gramatyka historycznego malarstwa

Jedną z najciekawszych rzeczy w życiu, a zarazem — najbardziej przykrych i bolesnych, jest przemijanie. Jego wyczuwanie, świadomość łączących się z tym przemian pozwala nam jednak na odkrywanie nowych światów, na zapuszczanie sondy w głąb samego siebie, ale równocześnie umożliwia zdanie sobie sprawy z nietrwałości walorów i systemów, które należą do pewnej epoki i są z nią nierozdzielnie związane. Przeniesione w inne wymiary chronologiczne, tracą blask i świeżość przechodząc — albo do przechowalni wartości trwałych, albo — do rekwizytorni lub nawet — do lamusa. Niestety, nie ma rzeczy wiecznych. Dodajmy, że gdyby istniały — byłyby nudne i nie do zniesienia.

Te refleksje przyszły mi na myśl przy czytaniu artykułu Jeleńskiego w „Kulturze” o wystawie prekursorów polskiej sztuki abstrakcyjnej, pt. „Tryb zaprzeszy czasu przyszłego”, która odbyła się niedawno w Paryżu. Jest w nim wiele słusznych uwag, ale błędna jest optyka, punkt widzenia, z którego patrzy on na tę sztukę. Strzebiński jest związany z pewną epoką, której jego unizm jest najbardziej konsekwentnym wyrazem. Pójść dalej po tej drodze — było niemożliwe. Dlatego Strzebiński, w latach ostatnich, zwrócił się do innego malarstwa, do „powidoków”, które świadczą, że — gdyby dzisiaj żył jeszcze — nie byłby skostniał i byłby przekroczył nowy etap rozwojowy. Ale mimo to — pozostałby on dla nas przede wszystkim — twórcą unizmu, gdyż związany jest z pewnym okresem w historii sztuki. Jego wkład w rozwój malarstwa w latach 1920-1939 jest bezsprzeczny i dlatego chronologia wydarzeń nie jest tu obojętna. Pionierzy sztuki abstrakcyjnej odegrali rolę prekursorów, podczas gdy ci, co przyszli 10 lub 20 lat później — byli raczej naśladowcami. Prekursorzy tworzyli w epoce heroicznej, gdy tego rodzaju malarstwo wymagało wielu wyrzeczeń, dzisiejsi malarze abstrakcyjni „przyszli do gotowego”, w chwili gdy jest ono dobrze popłatne. Pamiętam dobrze, w latach przedwojennych, gdy spotykałem Mondriana, znajdował się on w bardzo trudnych warunkach materialnych graniczących z niedostatkiem, dziś — cena jego obrazów wyraża się już nie w setkach tysięcy, ale — w milionach franków. Wiele malarzy abstrakcyjnych potrafiłoby teraz bez trudu wyprodukować obrazy przypominające płótna Mondriana, ale nie zmienia to faktu, że twórca neoplastycyzmu był pierwszym, który wpadł na ten pomysł, który wynalazł „jajko Kolumba”. Dlatego chronologia ma tu jednak pewne znaczenie, chociaż nie należy jej przeceniać i trzymać się jej kurczowo, bo sztuka może wyprzedzać życie lub iść za nim, ale nigdy — nie stoi w miejscu.

Słuszne jest spostrzeżenie Jeleńskiego, że Przybóś związany jest ze Strzebińskim bardziej przez razem toczoną walkę o nową sztukę, niż przez wspólne cechy łączące jego poezję z twórczością plastyczną Strzebińskiego. Przybóś, z okresu „Śrub” i „Oburącz” — jest raczej poetą kubistycznym, niż unistycznym. Ale tak się złożyło, że kubizm w Polsce właściwie nie było, a jego polska odmiana, formizm, okazała się bardzo krótkotrwała i mało żywotna. Przez Czyżewskiego był on zresztą zbyt blisko związany z działalnością futurystów. Dlatego, w chwili gdy wznowiliśmy „Zwrotnicę”,

i nieco później, w czasie wydawania „Linii”, z natury rzeczy zbliżyliśmy się do Strzebińskiego, bo był on tym malarzem, który przejawiał największy dynamizm w poszukiwaniu nowych środków ekspresji. Utworzenie „grupy a. r.”, która była dalszym etapem współpracy Przybóśa i mojej ze Strzebińskim, nie potrafiło zmienić tego, że twórczość nasza nie była poetyckim odpowiednikiem unizmu, mimo iż w pewnym momencie Przybóś użył nawet słowa unizm mówiąc o poezji.

Natomiast nie zgodziłbym się z twierdzeniem Jeleńskiego, że należałoby sztukę abstrakcyjną wyłączyć z ogólnej historii malarstwa, że obraz Malewicz lub Strzebiński nie może dostarczać wzruszenia, które daje np. Giorgione. Sądzę, że w pewnej fazie rozwojowej kultury plastycznej — jest to możliwe; do słusznej oceny potrzebny jest także nieco większy dystans niż ten, który dzieli nas obecnie od tego okresu. Gdyby stosować głoszoną przez Jeleńskiego zasadę, dla tych samych powodów można by np. odrzucić „Nymphéa” Claude Moneta i dzieła wielu impresjonistów, lub obecnie — wszystkie płótna taszystów. Jeśli w ciągu ostatniego roku nadrealizm i tacyzm wpłynęły niewątpliwie na młodych artystów polskich — nie trzeba zapominać, że na krótki czas przedtem, po przypomnieniu przez Przybóśa twórczości Strzebińskiego — unizm oddziałwał silnie na wielu malarzy.

Nigdy nie zalecałbym młodym naśladowania unizmu. Ale kubizm, neoplastycyzm, unizm, nadrealizm, stanowią pewne etapy w sztuce, których znajomość niezbędna jest każdemu artyście, by — po ich przezwyciężeniu — odnaleźć siebie i stworzyć własny sposób wyrazu.

Jan BRZĘKOWSKI

„Inny świat” po włosku

„Inny Świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (po przekładach na angielski, szwedzki, niemiecki, hiszpański, japoński, chiński i arabski) ukaże się na wiosnę br. po włosku, nakładem znanej firmy wydawniczej Laterza w Bari. Wydaniu włoskiemu patronuje nowozałożony w Rzymie Klub Książki. W nr 1 „Bollettino del Circolo Italiano del Libro” książkę przedstawia czytelnikom włoskim Ignazio Silone, pisząc m. in.:

„W roku 1951, kiedy „Inny Świat” ukazał się po angielsku, dyskuutowało się jeszcze na temat istnienia sowieckich obozów pracy. Dziś, po XX Zjeździe KPZR i raporcie Chruszczewa, ich istnienie jest oficjalnie uznane. (Borys Pasternak mówi o nich wprost w swojej wielkiej powieści „Doktor Żiwago”). Czym się więc tłumaczy, że książka Herlinga nie straciła nic ze swego znaczenia, a nawet przeciwnie — zyskała na znaczeniu? Prostem faktem, że jest ona nie tylko świadectwem, lecz także dziełem literackim. Książki poświęcone polemice politycznej mają krótki żywot; żyją tak długo, jak długo trwają okoliczności, które wywołały polemikę; ale jeśli książka dotyka dna cierpienia ludzkiego, jeśli ogląda je oczami litości i od-twarza środkami sztuki, przeżywa ona na pewno i staje się częścią składową dziedzictwa duchowego, które ludzkość przekazuje sobie z pokolenia na po-

kolenie. Książka Herlinga posiada właśnie te rzadkie zalety. Opis faktów jest w niej prosty, trzeźwy i kryształowo czysty; napięcie uczuciowe jest tym intensywniejsze, im bardziej kontrolowane i trzymane na uwierzy. Mimo wszystkich potworności, o których opowiada, jest to książka pełna litości i nadziei. Nawet gdybyśmy nie znali żadnych danych biograficznych o autorze i gdyby rękopis dotarł do nas anonimowo, jego osobowość przebiega z każdej linijki tekstu. Szczerość ma ton niezmaconego głosu. Chcę wierzyć, ników, na których zasługuje".

Komunikaty

TYMCZASOWY KOMITET ZAGRANICZNY ODBUDOWY BAZYLIKI GNIEŹNIEŃSKIEJ, SZWECJA

Zgodnie z inicjatywą Prymasa Polski Księdza Kardynała S. Wyszyńskiego, który podjął i prowadzi dzieło odbudowy Katedry Gnieźnieńskiej oraz „Listem Pastorskim” i Odezwą skierowaną do Polaków o pomoc w doprowadzeniu odbudowy do końca celem przygotowania Bazyliki na Tysiąclecie, w porozumieniu z Kierownictwem Odbudowy postanowiliśmy zapoczątkować gromadzenie Zagranicznego Funduszu, dla ułatwienia wzięcia czynnego udziału w Tysiącleciu chrześcijaństwa Polski także tym wszystkim, którym wypadło przebywać poza Krajem.

W przekonaniu, że Rodacy pośpieszą z potrzebną pomocą i wspólnym wysiłkiem utworzą Zagraniczny Fundusz, dając przez spełnienie prośby Księdza Prymasa Polski i w tym wypadku dowód swej spójni z Narodem w tak ważnym momencie naszych dziejów, prosimy wszystkich o pomoc i uwagi dotyczące sprawnego przeprowadzenia tej akcji (np. powołanie miejscowych Komitetów, Międzynarodowego Komitetu tego Funduszu).

Zagraniczny Fundusz Odbudowy Katedry to nasza wspólna sprawa i każda inicjatywa mająca na celu spełnienie apelu Prymasa Polski o pomoc jest najbardziej wskazana, jak to wynika również z pisma Kierownictwa Odbudowy. Nie powinno więc być ani jednego z nas pokrzywdzonego przez uniemożliwienie mu wzięcia udziału w Tysiącleciu dlatego że „nie wiedział”.

W związku z powyższym prosimy szczególnie Redakcję pism polonijnych i Rozgłoszenie Radia o jak najdalej idącą pomoc informacyjną. Prosimy o radę, kierownictwo, przyjmowanie składek, o upowszechnienie i usprawnienie akcji.

Równocześnie pragniemy powiadomić wszystkich, że każdy ofiarodawca otrzyma imienną pamiątkę czynnego udziału w Tysiącleciu.

Dla tych, którzy chcieliby już dziś pośpieszyć z potrzebną pomocą otworzyliśmy konto pocztowe. Prosimy o czytelne wypełnienie przekazu, czeku, etc., z podaniem swego imienia i nazwiska oraz adresu z zaznaczeniem:

Na Millenium Zagraniczny Fundusz Odbudowy Bazyliki Gnieźnieńskiej, Postgirokonto 49 94 30 Sturegatan 31. III, Sundbyberg, Sweden (Na czeku: Till Millenium Utfl. Fondkom. för Katedralen i Gniezno.)

Wszystkim biorącym udział w utworzeniu Funduszu Zagranicznego udzielił błogosławieństwa Prymas Polski Ks. Kard. S. Wyszyński, Ks. Arcyb. Sztokholmu dr JE Mueller oraz Ks. Bp Sztokholmu K.A. Nelson.

Skład Tymczasowego Komitetu: Ks. Rektor H. Burczyk, ks. P. Głogowski, PP. M. Jerzewski, prof. F. Olipra, radca W. Patek, inż. J.H. Pisarski, inż. J. Pisarski, konsul A. de Pomian, dyr. S. Sierszyński, E. Wochna.

Uwaga: Za 1 kr. szw. prześlemy c/a 20-25 złp., za 1 dol. am. c/a 100-125 złp., lub równowartość w Kraju.

Korespondencję prosimy kierować: Prof. F. Olipra, Sturegatan 31. III, Sundbyberg, Sweden.

POMÓŻCIE WYDAĆ PODRĘCZNIK „POLSKIE TAŃCE NARODOWE I REGIONALNE”

Pracując od dziesięciu lat jako nauczycielka tańca i rytmiki oraz instruktorka zespołów tanecznych, przekonałam się, że tańce narodowe i regionalne są bezsprzecznie najsilniejszym magnesem przyciągającym naszą młodzież do polskości i jednym z najlepszych sposobów propagowania jej wśród obcych.

Skupiska polonijne wszystkich krajów odczuwają brak wszechstronnego podręcznika dla instruktorów i tancerzy. Wydawnictwa krajowe obejmują, niestety, tylko fragmentaryczny materiał. Korzystając z dłuższej wizyty przybyłej z Kraju znawczyni polskiego folkloru tanecznego, pani Sławy Nałęcz, uprosiłam ją o ścisłą współpracę w opracowaniu podręcznika, który by zaspokoił choć część potrzeb licznych zespołów polonijnych.

Książka zaplanowana jest na 192 strony wielkiego formatu 6 i pół na 9 i pół cala z nutami i licznymi rysunkami. Książka obejmuje pięć tańców narodowych (chodzony i polonez, kujawiak, krakowiak i starokrakowska, mazur, oberek) oraz tańce regionalne Wielkopolski, Śląska, Kaszub, Mazowsza, Beskidów i Podhala, a w razie bogatego udania się subskrypcji, także Nowosądeckich, Kurpiów i wschodnich rubieży Polski. Znając z praktyki pedagogicznej trudności rozmaitych zespołów i ich zainteresowania dajemy kilka tańców opracowanych wyłącznie dla zespołów męskich i zespołów dziewczęcych, oraz tańce opracowane dla zespołów dzieciennych. Dość duża ilość układów tanecznych została opracowana z myślą o wykonaniu scenicznym przez zespoły o różnym stopniu zaawansowania.

Ceny egzemplarza broszurowanego nie dało się skalkulować taniej jak 1 funt, 3 dol., lub 1.200 fr.), a oprawnego w płótno na £1-5-0 (3,75 dol. lub 1.500 fr.). W razie uzyskania dużej ilości subskrypcji szata zewnętrzna książki będzie wzbogacona barwnymi ilustracjami. Przedpłata zostanie zamknięta nie później jak we wrześniu, a nakład wyniesie tylko o 100 egz. więcej od ilości egzemplarzy opłaconych w subskrypcji. Te sto egzemplarzy będzie sprzedanych po cenach: £1-5-0 (3,75 dol., lub 1.500 fr.) za broszurę i £1-10-0 (4 dol. lub 1.800 fr.) za książkę w opr. płócienną.

Zgłoszenia i wpłaty należy kierować do: Messrs. Odra Press Ltd., 3, Beaufort Gdns., London S.W. 3, England, a na terenie Francji do Libella, 12, rue St.Louis-en-l'Île, Paris 4, France.

Mgr. Olga ŻEROMSKA

Książki

Pokolenie czyli traktat o niszczeniu kwiatów

*„Tu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu
W malowniczości zgonu”.*

(Wypiański — Warszawianka)

W *Horsztyńskim* Słowackiego odpowiedź na pytanie „Jak najprędzej świat objechać?” brzmi: „Pocztą i okrętem”. Dziś brzmiałaby: „Odrzutowcem”. Ale odpowiedź na pytanie: „jak najłatwiej zniszczyć stolicę i elitę narodu?” brzmi nieodmiennie: „zrobić powstanie w Warszawie”. Oczywiście zawsze bijemy się o dobro naczelne: Wolność (a jakże!). A gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Wobec tak wielkiego celu nie czas żałować ni lasów, ni róż. „Róże to tylko kwiaty, więc trzeba je poświęcić w ogniu wszystkiego” — piszą pokolenia za pokoleniami w wypracowaniach na temat *Lilli Wenedy*. Kwiaty... to młodzież. „Kwiat młodzieży” najszczytniejszą spełnia u nas rolę nie wtedy, gdy w naturalnym biegu rzeczy przekształca się na owoc dojrzałego wieku, ale gdy ścięty zostanie przed czasem i ozdobi wazon w sanktuarium narodowych klęsk. Wiele u nas tych ciętych kwiatów, wiele nagrobnych wazonów.

Nie należymy do narodów najlepiej usytuowanych i najszcześniejszych. Ale bez względu na okoliczności, nie fatum, nie siła tragicznych przeznaczeń spycha nas do rzędu narodów — mówiąc łagodnie — najmniej roztropnych, tylko irracjonalizm naszego własnego postępowania. Oczywiście o fatach, okolicznościach, dylematach mówi i pisze się wiele. Ale te górne słowa są jedynie „racjonalizowaniem” nieprzemyślnych, w afekcie powziętych kroków. Najuczciwiej, bo bez ukrywania się za pozorami racjami, słabogłowie narodowe przejawia się w piosenkach wojskowych. Jak moi przyjaciele wiedzą, od dawna noszę

się z zamiarem dopisania czegoś w rodzaju rozdziału do *Dziejów głupoty w Polsce* (patrz A. Bocheński), rozdziału traktującego właśnie o wojskowej piosence. Trochę utrudnia to zadanie fakt, że nie same słowa odgrywają tu ważną rolę, ale i melodia. Doprawdy serce zamiera z przerażenia na myśl o przyszłości, gdy się pomyśli, że już dzieci w szkole uczone są piosenek takich jak *Mazur z obozu Jeziorańskiego* i na wesolą, skoczną śpiewają sobie:

*„...poszli nasi w bój bez broni!
Hej ha, hu ha, krew gra, duch gra!
Niechaj Polska zna,
Jakich synów ma!”*

Tak, to jeszcze był romantyczny wiek XIX. Ale niedawno, w czasie najbardziej technicznej z nowoczesnych wojen, my praktykowaliśmy wciąż z uporem prastare hasła: „z kijami na karabiny, z karabinami na armaty”. Młodzi chłopcy na Woli 1944 równie skocznym tonem śpiewali, że „na Tygrysy mamy Visy” (co dla nie znających już wojennej terminologii wyklada się: z pistoletami na czołgi). Coraz lepiej! Ale co miały robić dzieci, skoro broni lepszej nie było?! Co miały robić dzieci, gdy je w bój *posłano*?! Zostawała im tylko piosenka i... śmierć. Odpowiedzialne za dopuszczenie do zbrodni dzieciobójstwa były dowództwa, sztaby... A od nich wymaga się myślenia. Tylko, że sztaby, to też ludzie i — Polacy. Wychowani w romantycznych tradycjach, w których posyłanie na śmierć dzieci niepoślednie zajmowało miejsce. Jak to zwykle u nas bywało — liczyła się tylko idea, zadokumentowanie woli wolności, zbrojny czyn itp. itd. Liczenie się z konkretnymi realiami polityczno-wojskowymi, z konsekwencjami, z ceną potencjału ludzkiego, jaki miano do rozporządzenia — w rachubę nie wchodziło. Wszak, Polsko, „dziś twój triumf, albo zgon!” Ale zadaniem dowódców nie jest układanie ani realizowanie treści piosenek. Zadaniem ich jest przygotowanie i przeprowadzenie operacji wojennych z maksimum korzyści a minimum strat.

Takie szaleństwo jak Powstanie Warszawskie 1944 było możliwe tylko w Polsce. Lekkoomyślnie podjęto decyzję kroku, którego nie umiano na najwyższych szczeblach przygotować ani wojskowo przeprowadzić. Po raz któryś z rzędu mieliśmy spektakl nieudolności dowódców, nadludzkiego bohaterstwa żołnierzy i w rezultacie — bezprzykładnej klęski, cierpień, krzywdy, zniszczeń. I jak zwykle — niczego się nie nauczyliśmy, skoro generałowie i publicyści (nie wszyscy na szczęście!) stwierdzają, że w podobnej sytuacji podjęliby po raz drugi tę samą decyzję; skoro serca i wobraźnię dzieci karmi się czcią bohaterów, bez zwracania należytej uwagi na podstawowe błędy, na niepotrzebność tłu ofiar i śmierci.

Żeby widzieć sorawę powstania oczyma zdrowego rozsądku nie potrzeba jednak wsłuchiwać słów oburzenia i antypowstaniowej propagandy. Wystarczy poznawać gołe, suche, —

fakty. I dlatego dobrze się stało, że po latach administracyjnie nakazanego milczenia w kraju i apologetyczno-politycznych zafałszowań, dokonywanych — nie łudźmy się — w kraju i na emigracji (choć jaskrawszych znacznie w kraju), zaczęły się wreszcie ukazywać coraz liczniejsze materiały dokumentacyjne, pamiętnikarskie, opracowania, których dobrej woli i obiektywizmu nie podobna kwestionować. Wszystkie one mówią same za siebie. Najwybitniejszym jest oczywiście źródłowe dzieło płk. Adama Borkiewicza *Powstanie Warszawskie — zarys działań wojskowych*, które ujmuje temat w sposób wszechstronny i fachowy, a swym beznamiętnym obiektywizmem narzuca wnioski całkiem jednoznaczne i dla przywódców Powstania miażdżące. Tym razem nie zajmuję się jednak całością spraw Powstania. Ograniczę się do ukazania jednego z aspektów zbrodniczości Powstania, jakim było bezmyślne szafowanie krwią i zniszczenie kwiatu warszawskiej młodzieży. Ukażę to na przykładzie najśłynniejszych formacji Armii Krajowej — harcerskich batalionów „Zośka” i „Parasol”, których męczeńskie dzieje odtworzyć można na podstawie dość już licznych relacji i opracowań.

AK była w ogóle bardzo młodym wojskiem, jeśli chodzi o wiek — i ten fakt leżał u podstaw jej specyficzności i „inności”. Myślę, że słusznie ujął to zagadnienie Witold Zalewski, pisząc w rocznicowym artykule:

„AK była chyba najbardziej jednolita, pod względem rocznikowym, armia świata. A przy tym było to pokolenie odcięte. Odcięte od przeszłości i przyszłości, odcięte od reszty świata, odcięte od normalnej wiedzy i nauki, odcięte nawet od szerszego kontaktu z własnym społeczeństwem. Konspiracja pogłębiała tę izolację. Było to pokolenie jak wyspa... Na barykadach spotykaliśmy naszych dwudziestoletnich rówieśników. Starszych widywaliśmy w piwnicach. Niepopularność Bora-Komorowskiego wśród powstańców miała również i ten aspekt. Był jednym ze starych ramoli, których nikt nie widział w ogniu. Uważaliśmy, że prawdy starego świata zbankrutowały ostatecznie, przed sobą zaś nie czuliśmy przyszłości. Pokolenie stało się synonimem ściślejszego pojęcia Ojczyzny. Z nim wiązały się najkonkretniejsze i najbardziej cenione wartości: przyjaźń w boju, wierność, gotowość do poświęcenia dla drugiego”. („Przegląd Kulturalny” nr 30 z 25. 7. 1957).

Był to jeden z paradoksów konspiracyjnych lat, że ta pozornie najbardziej zespółona ze społeczeństwem i tkwiąca w nim armia, była jednocześnie tak doskonale samotna. Młody chłopiec, stając się konspiracyjnym żołnierzem, mieszkając nadal w domu, kontynuował zwykle zajęcia w szkole lub pracy. Jednocześnie zaś przenosił się w inny świat, który dzielił z podobnymi sobie rówieśnikami. Był to świat groźny, w którym niebezpieczeństwa wojenno-okupacyjne potęgowały się znacznie; a jednocześnie świat nieręczny, dający poczucie pewności, przekonanie, że nie rozbijający się po ulicach Niemcy są istotnymi władcami miasta i kraju, ale tajemnicza, ogromna sieć konspiracyj-

nych piętek; każda z nich była ogniwem łańcucha, którego całości nie ogarniał nikt. W świecie tym żyło się nadzieją i spokojem, a zarazem w intensywnym napięciu nerwowym, pełnym niezapomnianych wrażeń.

Oczywiście konspiracja okupacyjna nie była wyłącznie wojskowa. Na zasadach konspiracyjnych działało średnie i wyższe szkolnictwo, organizacje polityczne, społeczne, ideowe. Chyba dla większości chłopców i dziewcząt konspiracja zaczynała się niewojskowo. W istniejącej wówczas atmosferze podjęcie na którymś tam etapie walki zbrojnej staowało się obowiązkiem. Zdarzało się często, że całe organizacje społeczno-ideowe, lub ich sekcje, wchodziły do AK, formując oddziały wojskowe, ale nie zmieniając charakteru i zachowując swoje organizacyjne tradycje i odrębność wewnętrzną. Żołnierze „Zoski” i „Parasola” zaczęli — jak wiadomo — od harcerstwa, i harcerzami nigdy być nie przestali.

Jeszcze przed kapitulacją Warszawy w r. 1939 założony został konspiracyjny Związek Harcerstwa Polskiego, znany odtąd pod nazwą „Szare Szeregi”. Już po dwóch latach liczba chłopców powyżej lat 16, zorganizowanych w zastępy, drużyny, hufce i okręgi na terenie samej Warszawy, dochodziła tysiąca. Poza tradycyjnymi zajęciami harcerskimi zajmowali się oni również wywiadem, małym sabotażem, propagandą, oraz otrzymywali szkolenie wojskowe w ramach AK. Przy końcu 1942 r. nastąpiła reorganizacja, w trakcie której ustalono podział według grup wieku na: najmłodszych do lat 15 („Zawiszacy”), średnich 16-17 lat (BSy — „Bojowe Szkoły”), starszych — od lat 18 w górę (GSy — „Grupy Szturmowe”). GSy, zorganizowane początkowo w czterech hufcach (obejmujących wówczas łącznie 300 chłopców), zostały przeznaczone do akcji bojowych Wielkiej Dywersji i podlegały dowództwu Kedywu (Kierownictwo Dywersji) AK. Pierwsza akcja bojowa („Wieniec”) nastąpiła 31 grudnia 1942, a przez dwa lata następne akcji tych było wiele, wszystkie opromienione sławą, ale niepozbawione wysokich strat wśród najbardziej wartościowych jednostek. W sierpniu 1943 dotychczasowe hufce stały się batalionem, podzielonym na kompanie. Dla uczczenia poległego niedługo przedtem pod Sieczkami dowódcy, Tadeusza Zawadzkiego, batalion nazwany został jego pseudonimem — „Zośka”, a także kompanie i plutony zostały ochrzczone pseudonimami poległych przyjaciół i dowódców. Jedna z kompanii wydzielona została wówczas do specjalnych zadań (zwalczanie Gestapo) i z biegiem czasu (lipiec 1944) przekształcona na batalion „Parasol” (nazwa ta była kryptonimem oznaczającym jednostkę spadochronową). To właśnie „Parasol” wykonał tak słynne akcje jak zamach na Kutschere w Warszawie, czy na Koppego w Krakowie.

Biorąc udział w licznych akcjach bojowych chłopcy Szarych Szeregów przygotowywali się jednocześnie do stania się kadrą

przyszłej armii, otrzymując wyszkolenie oficerskie w kolejnych turnusach szkoły podchorążych zw. Agrikolą. (Inni harcerze otrzymywali szkolenie w jednostkach, które wezmą w powstaniu udział w batalionach harcerskich „Wigry” i „Antoni”, oddziały „Żbik”, kompanii „Orląt” i innych). Tradycje harcerskie zachowywali starannie, kończyli kursy instruktorskie, w istocie podlegali zarówno władzom wojskowym AK jak i komendzie Szarych Sieręgów. W chwili wybuchu Powstania była to rzeczywiście kadra doborowego żołnierza. Strzelców w „Parasolu”, a zwłaszcza w „Zośce” prawie nie ma; wszyscy są ukończonymi podchorążymi lub podoficerami; chyba co szósty jest instruktorem harcerskim.

Wskutek skandalicznie bałaganiarskich rozkazów w sprawie wybuchu Powstania, i chaosu, jaki nastąpił, bataliony zebrały jedynie 80 % stanów (reszta żołnierzy wzięła udział w walkach w innych dzielnicach). Mimo to w pierwszych dniach Powstania batalion „Zośka” (wchodzący do kadrowego pułku „Broda 53”) liczył 400, a batalion „Parasol” ponad 300 żołnierzy. Weszły one w skład zgrupowania „Radosław” wraz z batalionami „Pięść”, „Miotła”, „Czata 49”, „Leśnik”, „Igor”. Skoncentrowane na Woli, jako oddziały stojące w dyspozycji Komendy Głównej AK, wzięły jednak od początku udział w linii, najpierw w walkach zaczepnych w rejonie Okopowej i Spokojnej, Żytniej (m. in. zdobywając obóz na Gęsiej i uwalniając więźniów), ale wkrótce przechodząc do walk obronnych, gdy Niemcy świeżymi siłami przystępują do przebicia arterii przełotowych przez miasto. Przez szereg dni oba baony bronią uporczywie rejonu cmentarzy na Powązkach. (Siły powstańcze na Woli wynosiły ok. 3500 ludzi przeciw niemal trzykrotnie liczniejszemu i znacznie lepiej uzbrojonym Niemcom): Gdy po 11 dniach „Parasol”, a za nim „Zośka” wycofuje się na Stare Miasto, jako ostatni oddział powstańczy, oba bataliony straciły w morderczych walkach już setkę poległych. Pułkownikowi Radosławowi (J. Mazurkiewicz — dowódca zgrupowania) nie udało się przekonać pułk. Wachnowskiego (K. Ziemiński — dowódca grupy „Północ”) o tym, że nie należy tracić w linii cennej kadry, że oddziały te powinny być raczej wyprowadzone poza miasto i wrócić z bronią zrzutową po wcieleniu do nich strzeleckich elementów w Kampinosie. Kadra musiała więc nadal walczyć na najbardziej zagrożonych odcinkach, ulegając dalszemu wyczerpaniu. Właściwy wniosek w tej sprawie wyciągnął pułk. Borkiewicz, pisząc o walkach zgrupowania „Radosław” na Woli:

„Było to jednak nieodpowiednie użycie tych oddziałów kadrowych, składających się przeważnie z podchorążych, doświadczonych już w walce. I słuszność miał ppłk. Radosław, chcąc odejść z nimi w dniach 4-6 sierpnia do Puszczy Kampinoskiej, gdzie miał możliwość wchłonięcia kilku tysięcy powstańców, zaopatrzenia się dostatecznie w broń ze zrzutów, by zorganizować poważną i szybką siłę odsiecz”. (Powstanie Warszawskie, str. 305).

W kotle Starego Miasta (7000 obrońców przeciw dwukrotnie przeszło większym siłom nieprzyjaciela) bataliony harcerskie dokonują bohaterских i beznadziejnych natarć (raczej kontrnatarć) na Stawkę, bronią ruin Ghetta, szpitala Jana Bożego, P.W.P.W., placu Krasińskich, Bonifraterskiej, Franciszkańskiej i in., biorą udział w słynnym natarciu z 30 na 31 sierpnia, mającym za zadanie przebicie drogi oddziałom Starówki przez Bielańską i Ogród Saski do Śródmieścia (przejście górą udaje się tylko części kompanii „Rudy” z dowódcą baonu hm. por. Jerzym). W walkach na Starym Mieście, które — śmiało rzecz można — w swym natężeniu i morderczej grozie są bez precedensu w dziejach polskich powstań i należały do najcięższych w ostatniej wojnie, „Zośka” straciła 140 żołnierzy, a mniejszy ilościowo „Parasol” niewiele mniej. Resztkom udało się przedostać kanałami do Śródmieścia.

Oba bataliony, liczące już tylko po kilkudziesięciu żołnierzy, zostają po paru dniach (4 września) przerzucone na Powiśle czerniakowskie. Po raz trzeci w ciągu powstania pełen impet niemieckiego natarcia spada właśnie na odcinek broniący przez zgrupowanie „Radosław”. Nieliczne powstańcze oddziały starają się do końca utrzymać przyczółek czerniakowski w nadziei, że za pierwszymi lądowaniami oddziałów I Armii Berlinga nastąpią dalsze. Walka toczy się dosłownie o każdy dom (ofensywa niemiecka na Wilanowskiej osiągnęła przestrzeń niecałych 500 metrów przez 6 dni walki). Powstańcy zepchnięci stopniowo z Rozbratu, Ludnej, Zagórnej, Okrągu bronią się w paru domach na Wilanowskiej i Solcu, w końcu przez ostatnie dni w jednym budynku Wilanowska 1 do 23 września. W końcu część ludzi płynie przez Wisłę, kilku (znowu kpt. Jerzy) przedostaje się z bronią do Śródmieścia, reszta dostaje się do niewoli, w tym ciężko ranny drugi dowódca „Parasola” por. Jeremi (Jerzy Zborowski), o którym od tej pory ślad zaginął. Prawdopodobnie został przez Niemców zamordowany (Pierwszy dowódca kpt. Pług — Adam Borys — został ciężko ranny jeszcze na Woli). I znowu setka poległych z „Zośki” i „Parasola” — ostatnia.

W sumie batalion „Zośka” stracił w Powstaniu 300 poległych, w tym zginęli wszyscy trzej dowódcy kompanii i około 50 instruktorów harcerskich. Wykaz strat „Parasola” nie jest jeszcze w pełni ogłoszony. Ale straty tego bratniego batalionu nie były mniejsze. To są gołe fakty w najogólniejszym zarysie. Ale za faktami kryje się wiele ludzkich treści. Przede wszystkim morze cierpienia, bólu. Świadomość wielkiej ofiary, niepotrzebnej straty. I wnioski.

Zanim wyciągnę wnioski, chciałbym pokrótce rozważyć źródła, z których tragedia „Zośki” i „Parasola” została do tej pory opisana.

Sporo szczegółów dotyczących walk obu harcerskich batalionów GS znaleźć można w opracowaniach ogólnych dotyczących powstania, zwłaszcza w książce Borkiewicza, w zbiorze *Drogi Cichociemnych* (Londyn 1954) i opracowaniu S. Podlewskiego *Przemarsz przez piekło* (wyd. M. Fuksiewicz, Warszawa, 1949), dotyczącym obrony Starego Miasta. Relacje szczegółowe zaczęły się ukazywać również w pierwszych latach powojennych. Na emigracji dowódca batalionu „Zośka”, kpt. Jerzy (Ryszard Białous) ogłosił swoje wspomnienia pt. *Walka w połodzie* (Paryż 1946). W kraju ukazała się pewna ilość relacji w prasie, np. w zamkniętym później „Tygodniku Warszawskim” (zwłaszcza H. Kozłowski: *Batalion „Zośka” w Powstaniu*, nr. 31-32/48) i w „Gazecie Ludowej” (zwłaszcza W. Czeszek: *Bojowy szlak batalionu „Parasol”*, nr. 296/46). W okresie stalinizmu nastąpiła wieloletnia przerwa w publikacjach dotyczących powstania. Na szczęście autorzy nie przerwali pracy, niejednokrotnie — jak płk. Borkiewicz — mimo prześladowań. Na przestrzeni ostatniego roku ujrzano światło dzienne kilka cennych pozycji dotyczących „Zośki” i „Parasola”, a skądinąd wiadomo, że dalsze są w stadium realizacji.



Człowiekiem jak najbardziej powołanym do opracowania tematu był Aleksander Kamiński, wybitny działacz harcerski (obecny Naczelnik Harcerzy), spod pióra którego wyszła jeszcze w czasie okupacji pierwsza relacja o żołnierzach późniejszej „Zośki” i „Parasola”. Mam oczywiście na myśli głośną książkę *Kamienie na szaniec*, wydaną (pod pseudonimem J. Górecki) w sierpniu 1943, powtórnie w czerwcu 1944, po raz trzeci w 1946 (Sp. Wyd. Wiedza), a także na emigracji. Książka ta była fascynującym opisem konspiracyjnej działalności — od Małego Sabotażu po Wielką Dywersję — warszawskich harcerzy, w szczególności zaś losów Zośki (Tadeusz Zawadzki), Alka (Aleksy Dawidowski) i Rudego (Jan Bytnar), którzy wraz z innymi jeszcze kolegami byli przywódcami a po śmierci patronami GSów. Chyba każdy dorastający chłopiec warszawski w ostatnich latach wojny czytał z wypiekami na twarzy książkę „Góreckiego”, z niej czerpał wzór i przykład postępowania. Od tego czasu pochłaniają ją równie łapczywie następne pokolenia. Jaki wpływ na ich postępowanie wywrze przedstawianie straszliwych wydarzeń ostatniej wojny jako Wielkiej Przygody — czy raczej (wedle tytułu innej konspiracyjnej książki) Wielkiej Gry — przyszłość okaże. Gra była niebezpieczna, a choć prowadziło się ją ściśle wedle reguł harcerskich, stawką było życie, bo niestety przeciwnik był jakoś dziwnie dorosły i nie chciał bawić się w harcerzy ani w Indian. Ceną, jaką się płaciło, była w najlepszym razie śmierć w akcji, w najgorszym — tortury i śmierć w lochach gestapo, lub Oświęcimiu. Z tej książki brało Pokolenie pojęcie honoru, wierności, przyjaźni — aż do rychłej śmierci,

i po niej. Gdy wiosną 1943 roku Rudy został aresztowany, Zośka z towarzyszami odbił przyjaciela z rąk gestapo w słynnej akcji pod Arsenalem. Skatowany w śledztwie Rudy zmarł na rękach przyjaciół po kilku dniach, jednocześnie z ciężko ranym podczas tej akcji Alkiem. Autentyczne wyczyny bohaterów *Kamieni na szaniec*, podane jednocześnie z patosem i gorącą prostotą zaangażowanych uczuć, od razu porwały wyobraźnię Polaków, którzy aby móc istnieć, muszą mieć nadzieję.

Kamienie na szaniec kończą się opisem śmierci Zośki w zwycięskiej potyczce pod Sieczychami. Nie można się więc dziwić, że nowa książka Kamińskiego, zatytułowana „Zośka” i „Parasol” — *Opowieść o niektórych ludziach i niektórych akcjach dwóch batalionów harcerskich* (1), podejmuje historię w tym miejscu, gdzie poprzednia się kończy: Oto koledzy Zośki idą za wozem, wiozącym spod Sieczych ciało swego dowódcy i przyjaciela. Wśród nich kroczy Andrzej Morro (Romocki), jeden z bohaterów *Kamieni* i centralna postać nowej książki. Kamiński zastrzega się, że ani nie pisze powieści ani też nie daje ścisłego i pełnego historycznego przedstawienia dziejów „Zośki” i „Parasola”. W oparciu o własne wspomnienia i relacje uczestników, którzy przeżyli, zamierzył on odtworzyć najciekawsze akcje i aspekty obu bratnich oddziałów. W pewnym sensie jest to kontynuacja — pośmiertna — losów Zośki, Rudego i Alka, gdyż pseudonimy ich dały nazwę batalionowi, kompanii, plutonowi, a ideały i przykład ich natchnął następców.

„Zośka” i „Parasol” Kamińskiego składa się z dwóch części. Pierwsza, obejmująca jedną czwartą całości, jest utrzymaną w stylu kontynuacją *Kamieni na szaniec* od jesieni 1943 do wybuchu Powstania. Znajdujemy w niej opis reorganizacji i utworzenia batalionów, opisy akcji pod Wilanowem, zamachów na Kutscherę i Koppego, dywersji, działania podchorążówki Agrikola. Sporo uwagi poświęca autor „kryzysom”, nie tylko organizacyjnym, czy personalnym, ale przede wszystkim moralnym, spowodowanym przez rozpaczliwe wysiłki utrzymania w stanie nieskażonym ideałów harcersko-rycerskich w obliczu bezwzględnej, pozbawionej skrupułów wroga i okrutnej, demoralizującej rzeczywistości. Tak było w wypadku akcji pod Wilanowem, która miała charakter pacyfikacyjno-represyjny w stosunku do Volksdeutschów odpowiedzialnych za śmierć kilku harcerzy. Akcja ta — nieodpowiednia dla harcerzy — została niesmak i wątpliwości. Konflikty wystąpiły też w łonie Agrikoli, gdy wojskowa dyscyplina i mentalność zaczęły kolidować z ideałami harcerskimi. Podobne tło miał przejściowy konflikt Andrzeja Morro z podkomendnymi, w wyniku którego ten znakomity dowódca udzielił sam sobie czasowego urlopu ze stanowiska dowódcy kompanii.

Kamińskiemu udało się uchwycić coś z umysłowości i nastrojów tej młodzieży. Zwrócił również uwagę na niezawsze do-

ceniany fakt, że u podstaw bojowej jakości żołnierzy batalionów harcerek leżała nie młodzieńcza brawura, ale głębokie poczucie obowiązku i w ogóle wartości moralne. Do kształcenia charakteru przywiązywano szczególną wagę. Mam jednak spore zastrzeżenia co do sposobu przedstawienia przez Kamińskiego tych spraw. Jest to książka dotycząca spraw jak najbardziej poważnych i „dorosłych”. Autor — kontynuując metodę *Kamieni* — ujął ją bardzo młodzieżowo. Nie ustrzegł się dydaktyzmu, schematyzacji, hagiografizmu. Niczego nie zafałszował, to prawda, ale książka nieco straciła ze swej mocy, właśnie przez to, że autor stawia kropki nad *i*, że od czasu do czasu każe prowadzić swym bohaterom nieco naiwne dyskusje na tematy filozoficzne, moralne, polityczne, społeczne; przez to, że nazbyt tradycyjnymi środkami zmierza do zdobycia tradycyjnie polskiego czytelnika. Im mniej tych rzeczy, tym lepiej. Dlatego w części pierwszej najlepszy może jest rozdział opisujący zamach na Kutschere, w którym głos mają fakty.

Z tego samego powodu druga część książki, opisująca powstańcze losy obu batalionów, jest znacznie lepsza od pierwszej. Niektóre jej rozdziały są streszczeniem relacji pamiętnikarskich, inne są — najpełniejszym dotąd — opracowaniem pewnych fragmentów ich dziejów. I tu mają czasem miejsce zbyt młodzieżowo-dydaktyczne rozmowy ideologiczne bohaterów (np. str. 455-458), ale jest ich mniej. Natomiast opisywane losy oddziałów składają się stopniowo na jakąś wzruszającą i tragiczną opowieść. W szczególności udało się autorowi znakomicie opisać scenę śmierci Rafała i zasypanie jego kompanii, oraz zasypanie kompanii Giewonta. Ewakuację Starego Miasta przekonywująco przedstawił autor szeregiem krótkich opisów. Wstrząsające są również czarniakowskie partie książki. Ale jak już zaznaczyłem — to fakty mówią. Autor nie miał ambicji artystycznych. Zebrał fakty i przedstawił je w książce poczętej z miłości. Z miłości do Andrzeja Morro, do Jeremiego, Czarnego Jasia, Rafała, Kuby, Kołczana, do tych wszystkich druhów-żołnierzy. Tę miłość chce przelać na czytelnika. Zamierzenie udane — trudno bowiem nie kochać tych, którzy tak wspaniale dali z siebie wszystko — nie wyłączając życia.

Relacje kronikarskie i pamiętnikarskie zaczynają również wychodzić na światło dzienne. Wiadomo, że dawni żołnierze „Parasola” pracują nad historią swego batalionu, której pierwszy tom obejmie działalność konspiracyjną, drugi Powstanie. Z pierwszego tomu kroniki ogłoszono drukiem ciekawą i rzeczową relację o zamachu na Koppego w dniu 11 lipca 1944 (2). Z materiałów rękopiśmiennych, które zapewne wejdą w ramy kroniki, znany mi jest opracowany na emigracji w pierwszych latach po wojnie pamiętnik kpr. Dejwira (Zbigniew Czajkowski-

Dębczyński), obejmujący okres powstania do upadku Starego Miasta. Wstrząsający ten dokument, z którego parę fragmentów ukazało się w prasie krajowej (3), pisany bez ubocznych tendencji, bez pretensji do „literatury”, wzrusza swym autentyzmem, bezpośredniością i umiarem. Dokument ten jest instynktownie dziełem literackim. Zwięzłe, beznamietne zda się opisy tylu straszliwych przeżyć, skoncentrowanych na przestrzeni krótkiego — a tak długiego — miesiąca, posiadają niezwykłą siłę wyrazu. Dowódca drużyny, człowiek o wielkim poczuciu odpowiedzialności za swoich kolegów-podwładnych, jest bezsilnym świadkiem tego jak jeden po drugim — do ostatniego — giną. Nadludzkie wysiłki pomocy rannym kończą się tylko nowymi, gorszymi, ciosami. Takich scen jak natarcie na Stawki, zasypanie szpitala pod „Pamfilem”, czy końcowe walki w rejonie Ratusza, nie zapomni czytelnik tego pamiętnika. Na stu stronach relacji Dejwira mieści się cały ogrom bohaterstwa i beznadziejności tej walki. Autor daje też jedyną autentyczną relację o powstańczych losach i śmierci świetnego młodego poety Krzysztofa Baczyńskiego, który był jego bezpośrednim dowódcą. Całość tego pamiętnika powinna być jak najszybciej wydana.

Niewiele wiemy na razie o tym, czy żołnierze batalionu „Zośka” przygotowują do druku kronikę, względnie historię swego znakomitego oddziału. Dobrze się jednak stało, że został już wydany zbiór ich pamiętników (4). Jak twierdzi Kamiński, do spisania powstańczych wspomnień zachęcił swych kolegów w pierwszych latach powojennych Anoda (Jan Rodowicz). Jednakże jego własne wspomnienia nie weszły do szesnastu pamiętników składających się na wspomniany zbiór, wydany przez Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej „Nasza Księgarnia” (czyżby dla ukazania naszym milusińskim godnych naśladowania wzorów patriotyzmu? Jeśli tak, to źle się stało: nie jest to bynajmniej lektura dla nieletnich). Za wybór i zredagowanie odpowiedzialny był jeden z autorów — Leszczyk (Tadeusz Sumiński). Poszczególne pamiętniki pokawałkowane i ułożone mniej więcej chronologicznie przeplatał 57 rozdziałków, ułożonych w trzech częściach obrazujących kolejne fazy walk batalionu: Wola, Starówka, Czerniaków. Czy taki układ był najlepszym możliwym rozwiązaniem trudno mi powiedzieć bez przestudiowania całości rękopisów (które, jak informuje Sumiński w słowie wstępnym, dostępne są wszystkim zainteresowanym).

(3) „Nowa Kultura” nr 33 z 18. 8. 1957. Por. także tegoż autora relację o śmierci Krzysztofa Baczyńskiego („Tygodnik Powszechny” nr 28 z 11. 7. 1948).

(4) *Pamiętniki żołnierzy baonu „Zośka” — Powstanie Warszawskie*, wybór i red. T. Sumiński, PWN, „Nasza Księgarnia”, Warszawa, 1957. str. 528.

(2) „Nowa Kultura”, nr 28 z 14. 7. 1957 i nr 29 z 21. 7. 1957.

W każdym razie podane w książce materiały, bez względu na taki czy inny układ, bez względu na to, że — jak zastrzega się redaktor — nie omawiają one wydarzeń w sposób dokładny i bezbłędny, że nie obrażają „nawet w przybliżeniu, historii powstańców walcących baonów”, między innymi dlatego, iż „spośród uczestników wielu akcji lub żołnierzy niektórych plutonów nie przeżył Powstania ani jeden człowiek”, mimo to jednak materiały opublikowane, samą wymową swoich faktów, wywołują — podobnie jak pamiętnik Dejwira — wrażenie wstrząsające.

Z pamiętnikarzami „Zośki” poznajemy dzieje batalionu nie od strony beznamietnego historyka wojny, czy rozmiłowanego hagiografa, ale tak jak one wyglądały — dzień po dniu — dla żołnierza w linii, dla łączniczki, dla rannego. Przeżywamy pierwsze dni upojenia (bardzo dobra *Pierwsza walka* Synona — W. Szymanowskiego) i stopniowo wciągani jesteśmy w tragedię. Tragedia przychodzi bez patosu i koturnów; przychodzi stopniowo, ale nieubłagane. Wzdrygamy się przy opisie mordu rannych w szpitalu Karola i Marii, zdobytym przez Niemców (Pani Stasia — S. Kwaskowska). Nic tak nie wzrusza — wzruszeniem bezsilności — jak rzezie bezbronných, rannych ludzi. A ileż razy ten opis będzie się jeszcze powtarzał w tej książce, aż po ostatnie dni na Czerniakowie:

„Mijamy ciężko rannych, którzy przeczuwają, że oddajemy ich na pastwę głodu i płomienia, że oddajemy ich w zbrodnicze ręce wroga. Niektórzy z nich patrzą na to ze zrozumieniem krytycznego położenia. Zachowują się jak prawdziwi męczennicy. Leżą w ciszy i spokoju, przykuci ciężkimi ranami, tylko łzy spływające po wynędzniałych twarzach świadczą o ich wielkim bólu... Patrzę ze smutkiem na innych, miotanych strachem i beznadziejną rozpaczą, rzucających się bezsilnie. Zrywają oni opatrunki, przeraźliwie krzyczą, żeby ich zabrać, żeby ich nie opuszczać”.

(Laudański — B. Deczkowski, *Księżęca 1*)

Dalszych losów rannych i jeńców nie można odtworzyć z *Pamiętników żołnierzy baonu „Zośka”*, ale wystarczy przytoczyć parę fragmentów z zeznań sanitariuszki Dudy (M. Damińska) o zdobyciu Czerniakowa, które obszerniej cytuje Borkiewicz:

„... Od strony ulicy Solec SS-mani przyprowadzili około dwudziestu Akowców z naszej grupy, w tym pięć kobiet. Mężczyzn zgrupowano na placu w szeregu, po czym SS-mani oddali do nich kilka salw, a do leżących rannych dawali strzały w tył głowy. Sanitariuszki-łączniczki zostały poprowadzone dziurą do fabryki farb. Później, odchodząc z placu, widziałam przechodząc przez fabrykę farb, iż na transmisjach wszystkie pięć kobiet były powieszane... Zaraz po egzekucji moich kolegów usłyszałam nieludzkie krzyki i zobaczyłam, iż SS-mani ciągną po ziemi za nogi, ręce i włosy pięciu rannych z naszego oddziału, którzy leżeli w oficynie domu Solec nr. 53.

Widziałam jak wszystkich pięciu SS-mani powiesili na szynach, łączących ścianę budynku parterowego, położonego na środku placu. Ja z księdzem stałismy pod ścianą pilnowani przez młodego SS-mana, który uprzednio zabił Szumskiego. Inni SS-mani zaczęli mówić, że trzeba z nami skończyć, odpowiedział po niemiecku „ci do mnie należą”, po czym powiesił księdza na ścianie domu na jego własnym szaliku... W tej chwili na plac przyprowadzono sto kilkadziesiąt osób ludności cywilnej. Na środku placu na rozkaz Niemców mężczyźni zaczęli się brać do kopania grobów”. ltd.

(*Powstanie Warszawskie*, str. 616)

Żołnierze w linii mieli jeszcze długą drogę do czerniakowskiego końca. Po paru pierwszych dniach straty, straty, straty. Na cmentarzu ewangelickim ginie Kolczan (E. Koecher) dowódca „Alka” (dobry opis Boruty — W. Sikorskiego). Epizody ważne przeplatane są małymi, ale charakterystycznymi: na przykład jak ośmioletni chłopiec z płaczem broni się przed odebraniem mu pistoletu, który sam zdobył i w rezultacie pozwolono mu go zatrzymać. (Wiktor — W. Bartnicki). Jak Krzys zginął od swoich, gdy nie podał hasła wracając z przedpoła (Boruta). Jak Czart (S. Lechmirowicz) został ranny przez brak rozkazu wycofania się z beznadziejnej pozycji.

Jednym z najbardziej fascynujących rozdziałów książki jest relacja Leszczyca (*Przez Kampinos na Starówkę*) o tym jak odcięta na Woli grupka ośmiu żołnierzy z plutonu „Felek” kompanii „Rudy” (w tym autor, Słoń — Jerzy Gawin i Xsiążę — Andrzej Samsonowicz, oraz trzy łączniczki), odcięta przy odwrocie z Woli, ukrywając się przed Niemcami przekradła się do puszczy Kampinoskiej, stamtąd na Żoliborz i po dwutygodniowej wędrówce wróciła do macierzystego oddziału i zdążyła jeszcze wziąć udział w ostatnim tygodniu walk na Starówce. Epizod zaczyna się śmiercią Kubry (Konrad Okolski) — dowódcy plutonu, ale potem nabiera cech pełnej przygód odysei i dopiero przy końcu wraca do powstańczej rzeczywistości: tuż po powrocie na Starówkę zginął jeden z ośmiu wędrówców — Kieros (J. Rządkowski). Na reducie Jana Bożego.

Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych, szpital Jana Bożego i katedra (ta ostatnia broniona przez harcerzy z „Wigier”) zapisały się jako punkty najzaciętszych walk na Starym Mieście. Szpital Jana Bożego był jednocześnie bastionem powstańczej obrony, szpitalem, w którym przebywali ranni i — wedle swego właściwego przeznaczenia — zakładem dla umysłowo chorych. Dantejskie sceny walk i bombardowań przeplatają się (w opisach Czarta i Boruty) z jękami rannymi, krzykami biegających po całym gmachu wariatów... Osiem niemieckich natarć w ciągu jednego dnia, bombardowanie lotnicze co 20 minut. Poza tym wszystkim nieszczęsne natarcia, nieprzemyślane, desperackie, z góry skazane na okupioną wielkimi stratami klęskę: dwa na Stawki (tu zginął kpt. Pomian) opisane przez Bo-

rutę i Alego (J. Waleszkowski) i na dworzec Gdański (Synon, Kmita — H. Kozłowski). Potem wzruszająca scena pożegnania poległego Blondyna (Andrzej Łukoski) — dowódcy kompanii „Maciek”, którego ciała nie można było wydobyć spod ognia nieprzyjacielskiego (Synon). Nalot na Franciszkańską (Boruta), w którym zginęło dwudziestu kilku żołnierzy. Ostatnie dni Starówki. I tragiczna próba przebicia do Śródmieścia: załamanie natarcia, śmierć mjr. Jana i jego pocztu, udane przebicie kilkudziesięciu żołnierzy, głównie z kompanii „Rudy”. Przebicie to — jeden z najbardziej brawurowych i nieprawdopodobnych wyczynów w Powstaniu, opisywane było już parokrotnie, ale w pamiętnikach żołnierzy „Zośki” wywiera największe wrażenie (Czart, Leszczyc).

Wreszcie trzeci, ostatni akt tragedii: Powiśle czerniakowskie. Dochodzimy już do krańca wrażliwości i wytrzymałości ludzkiej. Śmierć pojedyncza nie robi już wrażenia:

„— Zginął Mikołaj! Siedział w garażu, kiedy nadjechała pantera. Urwało mu głowę...
W pokoju zapanowała chwila ciszy. Ktoś rzucił z kąta:
— Szkoda chłopca...
Maciek potwierdził i założył nową płytę. Powróciliśmy do jedzenia i przerwanej rozmowy”.

(Boruta, *Odpoczynek na Czerniakowie*)

Ale potem i płyty się skończyły i jedzenie. Został tylko nieustanny ogień, bombardowania i śmierć na ścieśnionym skrawku, w końcu w jednym domu, utrzymywanego do końca, wbrew wszelkiej nadziei przyczółka. Gina ostatni bohaterowie tragedii: Andrzej Morro, Xsiążę, Słoń. Ostatnia kłeska, gwałty niemieckie, wędrówka do Śródmieścia garstki żołnierzy z kpt. Jerzym (Zosia — Z. Stefanowska) i relacje paru żołnierzy, którym po perypetiach na nieszczęsnym statku „Bajka” udało się przeprawić na wschodni brzeg Wisły (Miś — H. Deminet, Czart). Koniec tragedii. Nie, nie koniec. Jeszcze epilog: na końcu książki jest lista strat batalionu.

Krzywdę wyrządzoną narodowi przez wyniszczenie elity młodzieży, a wojsku przez wytracenie kadry, dowództwo nagrodziło w tradycyjny polski sposób: już po pierwszych dniach obrony Starego Miasta spadł na zgrupowanie „Radosław” deszcz awansów i odznaczeń (meldunek wymienia 22 orderu Virtuti Militari i 171 Krzyży Walecznych), za którymi przysły dalsze. Opisuując składanie życzeń w dowództwie „Brody” pamiętnikarz komentuje: „Dużo jest krzyży w naszym batalionie, najwięcej jednak drewnianych”. (Zygmunt — Z. Zbichorski: *Odprawa dowództwa*).

Załączona przy końcu pamiętników żołnierzy „Zośki” lista strat, obejmująca 283 nazwiska, pokrywa się dość ściśle z listą odznaczeń i awansów, przeważnie pośmiertnych, i stanowi cieka-

wą lekturę. Oto niektóre fragmenty (hm = harcemistrz, phm = podharcemistrz):

- hm pplk. Jan — Jan Kajus Andrzejewski, lat 32, dowódca grupy „Broda 53”, odznaczony VM IV i V klasy oraz dwukrotnie KW — poległ 31. 8. Bielańska.
- hm kpt. Piotr Pomian — Eugeniusz Stasiecki, lat 31, oficer wychowawczy baonu „Zośka”, zastępca Naczelnika Szarych Szeregów, odznaczony VM V klasy oraz dwukrotnie KW — poległ 16. 8. Getto.
- Sanitariuszka Zosia Duża — Zofia Krassowska, dowódca plutonu żeńskiego „Ojénka”, odznaczona KW — zmarła z ran 6. 8. Szpital Wolski.
- phm por. Blondyn — Andrzej Łukoski, lat 22, dowódca kompanii „Maciek”, odznaczony VM V klasy i KW — poległ 18. 8. Nalewki — Arsenal.
- phm ppor. Tyka — Jerzy Golnik, lat 21, dowódca plutonu „Włodek”, odznaczony KW — poległ 10. 8. Boisko „Skrzy” Wola.
- phm ppor. Skalski — Tadeusz Schiffers, dowódca plutonu 2, odznaczony KW — ostatni raz widziany około 16. 9. Czerniaków, rejon Wilanowskiej 18.
- phm ppor. Kindział — Leszek Kidziński, dowódca plutonu, odznaczony KW — widziany ostatnio 21. 9. Czerniaków.
- hm kpt. Morro — Andrzej Romocki, lat 21, dowódca kompanii „Rudy”, odznaczony VM V klasy oraz dwukrotnie KW — poległ 15. 9. Solec.
- phm por. Florian — Jerzy Jagiełło, lat 21, zastępca dowódcy kompanii „Rudy”, odznaczony VM V klasy oraz dwukrotnie KW — poległ 14. 8. Przebieg.
- phm por. Jerzyk — Jerzy Weil, lat 21, dowódca plutonu „Sad”, odznaczony VM V klasy oraz KW — poległ 22. 9. Wilanowska 1.
- phm ppor. Bonawentura — Jan Romocki, lat 19, dowódca drużyny, odznaczony VM V klasy oraz KW — poległ 18. 8. Miodowa 23.
- phm por. Kołczan — Eugeniusz Koecher, dowódca plutonu „Alek”, odznaczony VM V klasy oraz dwukrotnie KW — poległ 8. 8. Cmentarz Ewangelicki.
- phm por. Kuba — Konrad Okolski, lat 21, dowódca plutonu „Felek”, odznaczony VM V klasy, oraz dwukrotnie KW, poległ 11. 8. Sokołowa.
- phm por. Słoi — Jerzy Gawin, dowódca plutonu, odznaczony VM V klasy oraz trzykrotnie KW — poległ 23. 9. Solec.
- phm por. Xsiążę — Andrzej Samsonowicz, lat 21, dowódca plutonu, odznaczony VM V klasy oraz dwukrotnie KW, zginął 15. 9. Solec.
- hm por. Giewont — Mirosław Cieplak, lat 32, dowódca kompanii III, odznaczony VM V klasy oraz dwukrotnie KW — poległ 30. 8. Zakroczymska.

To tylko niektórzy dowódcy. A żołnierze — w przeważającej większości podchorążowie i podoficerowie, niemal każdy odznaczony. Lista nie podaje wieku wszystkich poległych. W każdym razie powtarzają się na niej niemal wyłącznie lata (podaje kolejno

od największej częstotliwości): 20, 21, 19, 18, 22, 24, 23, 17. Znajdujemy również nazwiska chłopców, którzy polegli w wieku lat 16 i 15, oraz nieliczne nazwiska od 25 lat w górę. Na podstawie listy możemy jednak przyjąć, że kadrowe oddziały harcowskie, wyniszczone w Powstaniu, składały się prawie wyłącznie z ludzi w wieku lat 17-24. Roczniki 1920-1927 określały więc górną i dolną granicę pokolenia.



Gdy po klęsce na Woli trzeba było wycofać się na Starówkę, jeden z pamiętnikarzy, komentując przejście Niemców do systematycznej ofensywy, napisał:

„Nas, co prawda, mało wzruszała nowa sytuacja. Nie mieliśmy czasu zastanawiać się nad tym. Co nas właściwie obchodziło, czy mamy pozycję tu, czy tam? Rozkaz przychodzi — zmienić pozycję. Dobrze. Nie ma o czym myśleć. Tam myślała za nas. Tu się tylko strzela i uważa, aby się nie dać zabić”.

(Jur — A. Wolski, *Obrona Spokojnej*)

Tak właśnie wyglądało to powstanie. Ci „sprzysiężeni”, czy „powstańcy” byli po prostu spełniającym swe obowiązki i wykonującym rozkazy wojskiem. W tej bitwie amatorszczyzna i anarchia (jak to widać jasno z Borkiewicza) była przywilejem dowódców, zwłaszcza wyższych. Żołnierze zrobili wszystko co do nich należało, i więcej. I nie za swoje przewiny nagminnie zność musieli złorzeczenia udręczonej ludności:

„— Macie ich, wojsko... Wojny im się zachciało. Całe miasto zniszczyli. Ludzki dobytek, szczeniaki, spalili!”

Ludzie stali wzdłuż ścian z pospuszczanymi głowami, nie patrząc nawet na przechodzących żołnierzy. Odprowadził nas tylko pełen gorzkiej nienawiści wzrok tych, którzy przed chwilą rzucili nam tragiczne oskarżenie.

Czyż mogło nas spotkać jeszcze coś gorszego? Chyba śmierć nie jest straszniejsza od tych pełnych nienawiści słów!... Jeszcześmy mieli w pamięci łzy radości i entuzjazm ulicy na widok naszych mundurów i białoczerwonych sztandarów. Wtedy nikt nie nazywał nas niszczycielami miasta, barbarzyńcami, bandytami. A przecież my byliśmy tacy sami”.

(Boruta, *Obrona Konwiktorskiej*)

Konspiracyjna samotność Pokolenia, o której podchorąży Agrikoli i kolejno żołnierze obu batalionów „Zośki” i „Parasola” poeta Krzysztof Baczyński pisał:

„... nas rozdziera ogromna samotność —
nieba powolne milczenie”.

połączyła się jeszcze w dniach Powstania. Pokolenie nie miało złudzeń. Baczyński, który napisał o sobie:

„śmierć mi wszystkie drogi zarosła”.

zginął 4 sierpnia w pałacu Blanka. A jeden z pamiętnikarzy „Zośki” notuje taki obrazek u progu ostatniego tygodnia obrony Starego Miasta:

„Ktoś mówi, że generał Bór wydał rozkaz, żeby bronić się do upadłego, bo oddanie Starówki może znacznie zaważyć na losach Powstania.

Bury śmieje się.

— Patrzcie. Znowu zapowiadają się Termopile. Będziemy ginąć po kolei i pisali swoją krew na murze: „Przechodniu, idź, powiedz Warszawie, tu leżą jej syny, prawom jej do ostatniej posłuszni go-dziny”...

— Pleciesz bzdury! — zachnął się Iks. — Robicie z siebie bohaterów. Kipniesz, bracie, trawka na tobie wyrośnie, i po wszystkim. Za parę lat zapomni się, żeś kiedykolwiek żył”.

(Boruta, *W ruinach Jana Bożego*)

Nie. Tak się nie stało, tak się stać nie mogło. Krzywdę, jaką swoi wyrządzili im przez wysłanie na bezsensowną śmierć, kontynuowali i potem „ideowi przeciwnicy” — przemilczając lub fałszując pamięć zmarłych, prześladowając niedobitków (ten ostatni rozdział historii „Zośki” i „Parasola” — prześladowania i dyskryminacje w okresie stalinizmu przez bezpieczeństwo tych, którzy przeżyli, czeka wciąż na swego historyka, i niewątpliwie będzie napisany). Ale społeczeństwo nie zapomniało. Teraz pamięć Pokolenia czci się otwarcie i w historii narodu utrwalaona zostanie ona tak mocno jak pamięć pokoleń Listopada czy Stycznia. Ale jeśli pamięć ta nie ma być powierzchowna, jeśli nie ma sprowadzać się do miedlenia wytartych frazesów o Wielkim Czynie, musi się w niej zawierać przede wszystkim żal za tylu cennymi, a utraconymi dla narodu — przez śmierć tych ludzi — wartościami. Wartościami, których utrata jest tym większa, że w pewnym sensie są niepowtarzalne. Do serca powinniśmy sobie wziąć mądre słowa Norwida:

„Nie trzeba robić z pokoleń ofiary
Iż one nie są tylko: dalszym ciągiem”.

W pamięci o utraconym Pokoleniu musi się też zawierać postanowienie odrzucenia szablonowego wzorca rozrzuconej gospodarki skąpych ludzkimi zasobami naszego narodu. Pamięć nie może być zachętą do nowych hekatomb, ale powinna zmierzać do ich zaoszczędzenia w przyszłości.

U podstaw tragedii wyniszczonego kwiatu naszej młodzieży leży nie fatum historii, ale w znacznej mierze błąd ludzki. Po-

wstanie Warszawskie było katastrofą takich rozmiarów, że wymaga rozważenia na nowo przez ogół narodu nawet pojęć podstawowych. Jeśli człowiek ma obowiązek w czasie wojny poświęcić największe dobro — życie — dla Ojczyzny, należy jednak stwierdzić, że ojczyzna nie występuje sama, ale przez ludzi. Jeśli ludzie u władzy są nieodpowiedni i nieodpowiedzialni, z oddawania życia na ich rozkaz wynika tylko szkoda: bo niepotrzebnie i bez pożytku oddane są życia, z których zachowania ojczyzna miałaby korzyść większą. Trzeba się nam, jako narodowi, wydobyć z prymitywizmu w myśleniu i działaniu, który przejawia się, między innymi, w nieproduktywnym bohaterstwie. Trzeba nam dorosnąć jako społeczeństwu. Wtedy dopiero zrealizuje się wezwanie, rzucone narodowi przez żołnierza „Parasola”, Krzysztofa Baczyńskiego, który rzucić je miał pełne prawo:

„O, wybudujcie domy, o nazwijcie wreszcie
Polskę — Polską, nie krzywdą, a miłością — miłością

.....
by czas był tym rosnącym, a nie krwi łakomym”.

Bolesław TABORSKI

Historia a ewidencja

Ewidencja autentycznych dokumentów stanowi niezbędną pomoc przy badaniu historii współczesnej, gdzie ogrom materiału i jego rozproszenie pośród źródeł łatwiej lub trudniej dostępnych, utrudnia historykowi samo dojście do badanego przedmiotu. Należy się więc szczególnie wdzięczność wydawcom ewidencji wydarzeń współczesnych czy niedawnych — i wdzięczność ta rozciąga się na wymienione powyżej ważne i bogato udokumentowane dzieło.

Na z górą 400 stronicach zgrupowane są dokumenty ostatniego przedwojennego miesiąca — sierpnia 1939. W poszczególnych rozdziałach przedstawiona jest ewidencja: „pretekstu” gdańskiego, zaskoczenia Italii i Ligi Narodów, kwestii sowieckiego przemarszu przez Polskę, pertraktacji niemiecko-sowieckich, międzynarodowych konsekwencji układu między Hitlerem a Stalinem, wreszcie negocjacji anglo-niemieckich i kwestii niedosłęgo „pełnomocnika” polskiego. Ten podział treści pozwala na jasne i zupełnie przedstawienie kolejnych faz kryzysu. Jest rzeczą nader pożyteczną

Weltgeschichte der Gegenwart in Dokumenten, hgg. von Professor Dr. Michael Freund, *Geschichte des Zweiten Weltkrieges in Dokumenten*. III. *Der Ausbruch des Krieges 1939*. Vg. Herder, Freiburg... 1956. — Stron X, 441.

(Tomy I i II omówione były w Nr 109 „Kultury”).

móc znaleźć w danych rozdziałach całkowitą ewidencję, na przykład rezerwy dyplomacji włoskiej, stopniowego angażowania się Stalina, negocjacji alianckich z Moskwą, albo końcowej próby mediacji angielskiej. Zamiast zestawiania i sprawdzania materiału z kilku książek historyk znajdzie tu dokumentację niejako gotową i ułożoną w chronologicznym porządku.

Zastrzeżenia krytyczne budzi przede wszystkim styl komentarzy. Ewidencja dokumentalna nie znosi poezji. Wszystkie te „ciemne chmury” i jaskrawe „blaski”, wyroki „losów”, „cienie” i „widma”, „śmiertelne zapasy pokoju”, niczego nie dodają i są tylko przeszkodą dla spokojnego analizowania treści.

Dalsze zastrzeżenia budzić musi nierównomierne traktowanie pobocznych i drugorzędnych źródeł. Świadekstwo Dahlerusa, naiwnego Szweda wędrującego jak *mouche du coche* w ostatnich dniach sierpnia między Berlinem a Londynem, pośrednika nie umiejącego na nic poradzić, a użwtego przez Niemców dla snucia malej i bezskutecznej intrygi, analizowane jest na szeregu stron i traktowane jako źródło pierwszej wagi. Gafenco, mało co poważniejszy i nie będący w sierpniu 1939 żadnym bezpośrednim świadkiem, cytowany jest kilkakrotnie. Natomiast szereg problemów, zasługujących na uwagę, nie doczekał się komentarzy. Czy Hitler w trakcie rozmowy z Ciano 12 sierpnia dostał i jaką informację z Moskwy? — Jaką była rola Bonnetta na razie państwowej w Paryżu 23 sierpnia? — Jaką była istotna przyczyna cofnięcia przez Hitlera rozkazu o wojnie 25 sierpnia? — Jaką właściwie rolę Göringa 30 sierpnia? — Do wszystkich tych i wielu innych zagadnień kontrowersyjnych istnieją dziś liczne wtórne źródła, prowadzona była o nie polemika w różnych krajach, i lepiej było w zbyt obszernych czasach komentarzów chociaż wspomnieć o nich, choćby zaznaczyć opinie krytyczne o takich ludziach jak Bonnet lub Neville Henderson, zamiast powtarzać frazesy o fatalizmie losów czy o wyroczniach dziejów.

Ta nierównomierność w użytkowaniu źródeł odbiła się specjalnie niekorzystnie na potraktowaniu polityki polskiej. Za nader nielicznymi wyjątkami źródła polskie zostały zignorowane — rzecz tym dziwniejsza, iż przecie o Polskę przez cały czas chodzi. Otóż, po pojawieniu się tak gruntownych studiów niemieckich, jak choćby Breyera, a nade wszystko Roosa, takie ignorowanie jednego z głównych działów źródeł nie powinno mieć miejsca. Wygląda na to, jak gdyby żadne pisma Becka, Lipskiego, Łukasiewicza, nie istniały, jak gdyby nie było wcale licznych i poinformowanych komentatorów polskich.

Ten brak w użytkowaniu źródeł łączy się jednak z poważniejszą znacznie usterką — brakiem obiektywizmu, jaki obowiązuje historię, a jeszcze bardziej dokumentalną ewidencję. Zaraz na samym wstępie komentarze mówią o polskiej... odpowiedzialności za wojnę. Od razu na pierwszej stronie autor mówi o „obcym rzeczywistości nacjonalizmie”. Polaków o ich „głupocie” i „braku rozważań” — to wszystko w stosunku Polski do Hitlera, którego nacjonalistyczna pasja i nieokiełznane odruchy pozostaną w dziejach krańcowym przykładem nieopanowania i nierealności. Za punkt wyjścia zwrotu ku wojnie uważa autor notę polską do Gdańska, która jego zdaniem posłużyła Hitlerowi za gotowy pretekst do decyzji wojennej; tymczasem wiadomo jest dobrze, iż decyzja wojny w ogóle zapadła znacznie dawniej, a decyzja skierowania ataku na wschód — przeciw Polsce — istniała już od wiosny. „Odpowiedzialność polską” za wybuch

wojny autor upatruje głównie w fakcie odmowy na przemarsz wojsk sowieckich przez terytorium Rzpltej; jak gdyby dziś jeszcze trzeba było dowodzić istnienia planu opanowania Polski, ukrytego za tym żądaniem. Od tej chwili dla autora komentarzy głównym „odpowiedzialnym” jest minister Beck: dostał on przecie (str. 331) „rozkaz” stawienia się 30 sierpnia w Berlinie; rozkazu tego nie usłuchał przez brak poczucia realności i przez brak... odwagi; łatwiej było bowiem, twierdzi autor, być „odważnym w Warszawie”.

Trudno jest dzisiaj jeszcze brać poważnie podobne argumenty, które jedynie zeszpecają zbiór podanych dokumentów. Ciekawy jest natomiast zupełnie przeciwny zamierzonemu skutek. W miarę grozy rozwijających się wypadków, skroś poprzez długie i pozbawione siły charakteru akty Bonnetta, Daladiera, Hendersona, Ciana, postać Becka urasta: do samego końca pozostaje zimny, powściągliwy, twardy, i jednocześnie bardzo uważny. Gdyż to, co przedstawia najgroźniejsze dla Polski niebezpieczeństwo w dniach 28-30 sierpnia 1939 — to była możliwość nowego Monachium, tym razem kosztem Polski. Do takiego właśnie wyjścia prowadził wyraźnie i celowo sir Neville Henderson na swym kluczowym w Berlinie posterunku. Ku niemu skłaniały pewne, jeszcze dzisiaj niedość znane, czynniki w Londynie. Z dalekim, ale niemniej ważkim sukursem stawał Mussolini. W szeregu ciekawych i stosunkowo mało znanych dokumentów autor komentarzy znajduje dowody na twierdzenie swoje, że Anglia nigdy nie była skłonna gwarantować integralności Polski, że przeciwnie, nawet z Hitlerem, i nawet w ostatnich dniach przed wybuchem wojny, gotowa była dyskutować o okrojeniu granic Polski, gotowa stać się w dziele takiego okrojenia współsędzią.

Niebezpieczeństwo ze strony Hitlera było już w sierpniu 1939 rzeczą dowiedzioną, walorem stałym. Niewiadomą było niebezpieczeństwo, jednocześnie grożące Polsce ze strony jej własnych aliantów. Kto tego zagadnienia nie dostrzega, lub nie rozumie, ten nie jest zdolny sprawiedliwie sądzić polityki Becka.

Michał SOKOLNICKI

Ruś Zakarpacka

Włączenie Karpackiej Ukrainy do Sowietów w r. 1945 przeszło, poza bezpośrednio zainteresowanymi, raczej niespostrzeżenie. Być może przyczyną tego należy szukać w fakcie, że w przeciwieństwie do innych aneksji sowieckich, które opierały się na faktach dokonanych z lat 1939-41 i na mniej lub więcej wymuszonych traktatach, tutaj przekazanie terytorium odbyło się na mocy dobrowolnej obustronnej umowy. Jakie jednak było podłoże tego aktu i jak dalece był on dobrowolny i zgodny z wolą ludności? Młody uczonej ukraiński, dr Markus, sam pochodzący z Zakarpacia, próbuje

wyświetlić w swym studium (1) bezpośrednie przyczyny, przebieg i skutki zaboru swej bliższej ojczyzny.

Jak wiemy, we wrześniu 1938 stworzona została autonomiczna Karpacka Ukraina. Fakt ten niepokoił nie tylko Polskę, ale i Rosję. Toteż, jak pokazuje w błyskotliwej analizie dr Markus, Hitler znakomicie rozegrał kartę Karpackiej Ukrainy: odstępując ją Węgrom, przywiązywał ich do siebie, „uspokajał Polaków, którzy bali się bardziej nacjonalizmu ukraińskiego, niż imperialistycznych Niemiec” i, co najważniejsze, przygotowywał tajny przetarg ze Stalinem, któremu zależało na likwidacji tego „Piemontu” ukraińskiego.

Oczywiście aneksja z r. 1939, nie uznana przez mocarstwa zachodnie, nie liczyła się w ich oczach. Ale rząd czechosłowacki w Londynie zdawał sobie sprawę, że po wojnie pretendentem do tego terytorium będą nie Węgry, lecz Rosja. Nic dziwnego, że przywitał z ulgą deklarację sowiecką w maju 1942, uznającą granice Czechosłowacji sprzed Monachium. Wynikało z tego pośrednio, że Rosja uznaje przynależność Zakarpacia do Czechosłowacji, co potwierdziły bezpośrednio późniejsze rozmowy Benesa ze Stalinem, zwłaszcza przy podpisywaniu traktatu przyjaźni w grudniu 1943. W maju 1944, zgodnie z tym traktatem, rząd czeski podpisał z Sowietami umowę o administracji terytoriów wyzwolonych: władza cywilna miała tam należeć do delegata rządu czechosłowackiego, który miał organizować administrację i wojsko według praw czeskich. W rządzie w Londynie znalazło się wnet trzech karpackich Ukraińców, BBC i radio Moskwa rozpoczęły, w ramach audycji czesko-słowackich, audycje po ukraińsku dla Zakarpacia, a wreszcie tworzone w Sowietach brygady czechosłowackie (w liczbie trzech) składały się w większości (80 % wg autora) z Ukraińców zakarpackich, bądź jeńców wojennych, bądź zwolnionych z obozów sowieckich nielegalnych „imigrantów” z lat 1939-41.

Między 18 a 28 października 1944, wojska sowieckie przeszły Karpaty i zajęły Karpacką Ukrainę. Już 27 października delegat rządu Benesa, minister Nemec, przybył wraz z misją wojskową do Chustu. Władze sowieckie przekazały mu lojalnie administrację cywilną pięciu powiatów wschodnich, niemal połowę kraju. Misja wojskowa ogłosiła w listopadzie mobilizację. Wszystko wydawało się więc na najlepszej drodze, gdy 19 listopada partia komunistyczna, jedyna na razie dozwolona, zebrała się na konferencję w Mukaczewie (w części kraju podlegającej administracji wojskowej sowieckiej) i uchwaliła rezolucję domagającą się przyłączenia Zakarpacia do Ukrainy Sowieckiej. Konferencja proponowała również zwołanie ogólnokrajowego kongresu reprezentującego całą ludność kraju.

Kongres zebrał się w Użhorodzie z podziwu godną szybkością, bo już 25 listopada, transportu dostarczyła Armia Czerwona. Tylko 30 % delegatów należało do partii komunistycznej, reszta składała się z sympatyków (m. in. byłych rusofili) oraz pewnej ilości naiwnych wysłanych przez własne gminy. Kilku z nich wysunęło w kuluarach i „bardzo delikatnie” (jak pisze autor) propozycję zorganizowania plebiscytu. Jak mówili z naiwnością by-

(1) Vasył Markus, Docteur en Droit, *L'incorporation de l'Ukraine Subcarpathique à l'Ukraine Soviétique 1944-1945*, Préface de M. André Pierre, Rédacteur au „Monde”, Centre Ukrainien d'Etudes en Belgique, Louvain 1956, str. 144, 1 mapa.

łych obywateli kapitalistycznej Czechosłowacji: 600 delegatów bez mandatu nie może decydować o losie całego kraju. Jednakże organizatorzy kongresu szybko i przy użyciu odpowiednich argumentów wyperswadowali im niestosowność tego rodzaju propozycji. Był to niewątpliwie ze strony sowieckich władz wojskowych krok przeźroczysty: mimo propagandy za „przyłączeniem do Ukrainy” zdecydowana większość ludności nie zapomniała rządów czeskich i pragnęła powrotu kraju do Czechosłowacji. Jedynym wyjątkiem, obok komunistów, była rusofilska część inteligencji. Partia rusofilska była wcale silna na Zakarpaciu, gdzie zresztą Czesi popierali ją w obawie przed nacjonalizmem ukraińskim. Była to partia antykomunistyczna i antyukraińska, znaleźli w niej schronienie liczni biali emigranci. Ci szowiniści rosyjscy wybrali siłą rzeczy patriotyzm sowiecki. Złośliwość losu kazała im ogłosić się Ukraińcami i porzucić język rosyjski. Ale z ich poprzednich przekonań pozostało najważniejsze: to, że Ukraina musi należeć do Rosji.

Kongres wyłonił Radę Ludową, która przez następnych kilka miesięcy zachowywała się jak rząd urzędujący w stolicy Użhorodzie i wydając np. dekret o zakazie mobilizacji do armii czeskiej i rekrutacji do armii czerwonej (9. XII, ale nawet na terenie administracji czeskiej brano przymusem młodych ludzi do wojska sowieckiego). Dnia 1 grudnia delegacja Rady przybyła do Chustu deklarując min. Niemcowi wystąpienie ze składu CSR i żądając by w ciągu trzech dni opuścił terytorium Karpackiej Ukrainy. Odczekałszy kilka dni delegat rządu czeskiego zdecydował pojechać do Moskwy po instrukcje Benesa (w Chuście nie miał z nim kontaktu, bo władze sowieckie nie pozwoliły mu na radiostację nadawczą).

Benesz kazał mu wracać, ale władze sowieckie, które ułatwiły mu podróż w tę stronę, nie spieszyły się teraz wcale. W rozmowie z Mołotowem dowiedział się, że Związek Radziecki nie może pozostać głuchy na wezwanie ludności Zakarpacia. Również komuniści czescy w Moskwie (między nimi ambasador CSR Fierlinger) reprezentowali sowiecki punkt widzenia. Nemec zrozumiał, że sprawa jest przegrana i w tym sensie depeszył do Benesa. Obaj obawiali się, że w razie zbyt stanowczego oporu, Sowiety zerwą z nimi i postawią całkowicie na komunistów. Toteż Benesz odstępuje zasadniczo Karpacką Ukrainę Sowietom i chce tylko, aby cesja odbyła się na mocy legalnego traktatu po zakończeniu działań wojennych.

29 czerwca 1945 Fierlinger (wówczas już premier) i Klementis jako minister spraw zagranicznych podpisują traktat ustępujący Karpacką Ukrainę Związkowi Sowieckiemu. Traktat ratyfikowany został jednomyślnie przez tymczasowe zgromadzenie narodowe Czechosłowacji dnia 22. XI. 1945. Nastąpił krótki okres „demokratyczno-ludowy”, a potem otwarta sowietyzacja, którą autor już się nie zajmuje wzmiankując tylko przymusową kolektywizację i krwawą likwidację Kościoła grecko-katolickiego.

Dr Markus, katolik (unita) i patriota ukraiński, ocenia wszystkie wydarzenia z punktu widzenia ukraińskiego. Nie pozwala sobie jednak nigdy na brak obiektywizmu w podawaniu faktów, co najwyżej dodaje do nich interpretację, jak np. tłumaczyć sympatie ludności do Czechosłowacji (niedopuszczalną z punktu widzenia „patriotycznego”, jako że ludność powinna nie nawidzieć dobrych „okupantów” tak samo jak złych) niechęcią do okupacji węgierskiej. Albo też krytykuje kapitulancą politykę Czechów, twierdząc, że mogli okazać więcej inicjatywy i zdecydowania wywołując

ewentualnie konflikt międzynarodowy. Potępia również Benesa za to, że doszedł do porozumienia z Moskwą ponad głowami ludności i traktując ją tylko jako obiekt przetargu. Zastanawia się nawet, czy ta polityka nie pomogła komunistom w zamachu 1948 r. Niewątpliwie skazywanie ludności nawet małego i zacofanego gospodarczo kraju na niewolę, nie jest tytułem do sławy. Benesz ma jednak na swoją obronę okoliczności łagodzące, z których najważniejszą był nacisk, by nie powiedzieć szantaż, sowiecki. Gdyby nawet Benesz zachował się równie nieustępliwie jak rząd Arciszewskiego, to Sowiety i tak by anektowały Karpacką Ukrainę. A być może, że ustępując część terytorium uratował nie tylko integralność terytorialną reszty, ale i niezależność wewnętrzną. Bo bądź co bądź, aż do r. 1948 Czechosłowacja nie była „demokracją ludową”. Zamach z 1948 nie był bezpośrednim skutkiem cesji Zakarpacia. Trzeba też przyznać, że traktat umożliwił pewnej ilości Ukraińców z Zakarpacia optowanie za Czechosłowacją.

Na zakończenie autor zastanawia się nad pozytywnymi stronami aneksji. Zalicza do nich „włączenie Zakarpacia w całość procesów społecznych, kulturalnych i ekonomicznych Ukrainy” oraz olbrzymi postęp (!) w dziedzinie kultury i uprzemysłowienia i związany z tym wzrost stopy życiowej. Niestety, żadnych cyfr dotyczących tego ostatniego punktu nie podaje. Także z punktu widzenia politycznego uważa autor przyłączenie Zakarpacia do „państwa ukraińskiego” za korzystne, twierdzi nawet, w zupełnej niezgodzie z przytoczonymi przez samego siebie faktami, że oddanie tego terytorium Ukrainie sowieckiej zgodne jest z samostanowieniem narodów. „Argumenty przeciwnie, opierające się na niektórych brakach formalnych (brak plebiscytu... obecność armii okupacyjnej) tracą całą swą wartość, jeśli się je umieści w kontekście ogólnego rozwoju Karpackiej Ukrainy oraz w duchu prawdziwej woli ludu”. Ta „prawdziwa wola ludu” na str. 94 nie ma nic wspólnego z antysowieckimi uczuciami tegoż ludu, o których autor pisał wcześniej. Zdaje on sobie zresztą z tego sprawę pisząc, że połączenie z Ukrainą było ziszczeniem dążeń wielu pokoleń Karpatoukraińców i to mimo antysowieckiego stanowiska ludności w 1944-45. Autor, który ma za złe Beneszowi nie liczenie się z wolą ludności, twierdzi jednocześnie, że *la solution définitive* „zgodna jest z teraźniejszymi i przyszłymi interesami ludności Karpackiej Ukrainy”. Dr Markus nie zdaje się odosobniony w swej opinii, bo — jak pisze — „liczne były osoby przychylnie przyłączaniu ich kraju (Karpackiej Ukrainy) do Ukrainy sowieckiej, które jednak optowały za Czechosłowacją lub nawet schroniły się na Zachód”.

To że ukraiński antykomunista przyjmuje za dobrą monetę propagandę sowiecką o radosnym i szczęśliwym życiu obecnie (bo przecież każdy wie, że w Sowietach jest o wiele gorzej, niż w Czechosłowacji), to jego sprawa. Ale gdy zaczyna mówić o „interesach przyszłych” tej nieszczęsnej ludności, to wkracza w dziedzinę mitologii patriotycznej nie gorszej, niż mitologia komunistyczna: zarówno jedna jak i druga poświęcają obecnie żyjących ludzi szczęściu — zupełnie zresztą hipotetycznemu — przyszłych pokoleń. Tyle że fikcję „ludu” zastępuje fikcja „narodu”. Można wątpić czy tego rodzaju apologia aneksji do Sowietów jest dobrą propagandą, ukraińską wśród obcych. Ale niewątpliwie jest niebezpieczna wśród swoich. Bo jeżeli przyłączenie Zakarpacia do Sowietów zgodne jest z „sensem historii”, to emigracja jest nie tylko niepotrzebna, ale nawet niemoralna.

Andrzej VINCENZ

Humanista na wojnie

Wiadomo, że w Polsce jest moda na literaturę „zachodnią”, to jest francuską i angielską. Szczególna moda jest oczywiście na książki „modne”, Hemingwaya *et consortes*, a z Francuzów Sartre’a i Camus’a (i to jeszcze zanim dostał nagrodę Nobla). Nie mówiąc już o Françoise Sagan czyli „Sagance”. Na szczęście kontakty Polski z literaturą francuską nie ograniczają się tylko do mody, choć już Wieszczy pisał, że „Francja często mody odmianą się chlubi”, a my za nią. Toteż jest zasługą PAX’u, że wydał obecnie po polsku pisarza francuskiego nie tak dawno we Francji wcale popularnego, a dziś „niemodnego”: Paula Cazin. Cazin jest w pewnej mierze Boyem naszej literatury we Francji. Przełożył na francuski nie tylko „Pana Tadeusza”, ale też Paskę, Zapolską, Reymonta i wielu, wielu innych. Trudno powiedzieć, by wdzięczność nasza wobec nienajmłodszego już dziś (77 lat) dobroczyńcy przejawiała się w znajomości jego własnej twórczości w Polsce: mało kto wie, że Cazin jest sam pisarzem, że jego opowieść *Décadi* doczekała się 20-tu wydań, a *L’humaniste à la guerre* — sześciu. Ta ostatnia cyfra jest wcale imponująca, jeśli się zważy, że chodzi o książkę „trudną”, nie tylko dlatego że naszpikowaną cytatami i aluzjami do Homera, Ksenofonta, Wirgiliusza i innych klasyków, ale przede wszystkim jako „genre”, bo jest to niby dziennik wojenny w formie listów do żony, ale w gruncie rzeczy coraz to przybierający inną klasyczną formę — eseju.

Obecnie *Humanista na wojnie* ukazuje się po polsku (I), z przedmową autora, w której w prawdziwie francuską galanterię twierdzi, że początek kariery literackiej we Francji zawdzięcza... Polsce.

Pisanie dziennika w błocie pierwszej wojny światowej jest samo w sobie przedsięwzięciem godnym podziwu. Jak łatwo jednak było poddać się w tych warunkach rozpacz czy choćby cynizmowi, który dał nam „Na zachodzie bez zmian”? Cazin nie należy niewątpliwie do *littérature noire*, w tym jest być może jedna z przyczyn jego obecnej niepopularności. Nie znaczy to, że notatki jego są hymnem na cześć wojny, Cazin jest przecież Francuzem; widzi okrucieństwa wojny i ciągle wyrывa mu się okrzyk zgromy, jak na przykład ten: *Czy to wiosna czy jesień? Idziemy brodząc wśród mokrych liści. Białe pnienie brzoź splatają się chętnie przed nami. Zarosła na wysięgi podstawiają nam nogi.*

Pada, bez przerwy pada żelazny deszcz. Każda detonacja jest straszną i każdy krzyk, który po niej następuje. Ale najstraszniejsza jest ta sekunda ciszy, gdy oczekuje się na krzyk. Jestem zawsze pewien, że krzyk musi nastąpić. Ktoś musi krzyknąć — gdy spada taki cios.

(I) Paul Cazin, *Humanista na wojnie*, przełożył i posłowiem opatrzył Konrad Eberhardt, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1957. Redaktorzy — Kamilla Klein i Stanisław Grochowiak. Redaktor techniczny — Krzysztof Olszewski. Korektor — Zofia Bartoszyńska. Nakład 5.000.

Gdzie jestem? Która godzina? Jestże to wieczór czy rano? Wiosna czy jesień? Otwieram usta, jakby ten krzyk miał wydrzeć się z mojej piersi.

A jednak nie opuszcza go nadzieja i swoisty humor: *Co do wszy, to nie miałem dotąd powodu uskarżać się na nie. Ale czego dobrego spodziewać się można po tych zwierzątkach? Wszak to one ponoć zagryzły Homera?* Tego rodzaju postawa oddaje chyba pełniej rzeczywistość wojenną, bo człowiek przyzwyczajony nawet do śmierci, i żołnierze, gdy tylko mają chwilę wytchnienia tak właśnie cieszą się czy bawią: *Żołnierze krążą wśród nich (to jest wśród trupów) z otwartymi pudełkami konserw w rękę, i spoglądają w niedomknięte oczy, na nosy wydłużone i zastrzone palcem śmierci. Bo, jak pisze Cazin: Co czynią ci ludzie? Żyją. Czyż mają natychmiast umrzeć?*

Cazin żyje: gdy tylko może, widzi piękno nocy, zauważa kwiaty w lejach od bomb i umie je przekazać czytelnikowi (Cazin jest wielkim znawcą kwiatów). W pewnym więc sensie „moral” tej książki podobny jest jak w „Dziumie” Camusa, która również niedawno ukazała się po polsku i która jest alegorią wojny. Tylko że Camus jest moralistą i wnioski jego są pesymistyczne, a Cazin jest humanistą: trudno wyobrazić sobie bardziej odpowiedni tytuł dla jego książki (choć zapewne odstraszył on niejednego czytelnika). Jak Remarque tak i Cazin był jedynym intelektualistą w gronie prostych żołnierzy, chłopów i robotników. Ale Remarque wybrał dostosowanie się, rezygnację z intelektu, a Cazin żyje tradycją klasyczną, grecką, żydowską: wciąż modli się słowami Psalmisty, oddalony od żony widzi ją pod postacią Penelopy, a swych towarzyszy jako towarzyszy Odyseusza lub Ksenofonta. Ale nie tylko na własny użytek, bo dzieli się z kolegami, powiadając im dzieje „boskiego cierpienika”, a oni reagują żywo: *Kapral spytał mnie, jaki stopień wojskowy miał Ulisses. Odpowiedziałem, że był generałem. — Ale opowiadałeś, że jeździł na statku. — No tak, bo był również admirałem.*

Słowo „humanista” ma (co najmniej) dwa znaczenia: jedno to 16-wieczne, człowieka oddanego studiom klasycznym, drugie, etymologiczne, człowieka „ludzkiego”, któremu *humanum nil alienum est*. Hamlet — jak to zauważył niedawno Stanisław Vincenz w swym szkicu o Hamlecie jako czytelniku — jest humanistą książkowym otoczonym przez ludzi równie wykształconych i ocytanych. Jeśli nie może znaleźć z nimi porozumienia, to dlatego, że za odczytaniem tym nie kryje się żadna „ludzkość”. I być może ze wstrętu do takiego hamletyzmu, autor „Na zachodzie bez zmian” wybrał postawę antyintelektualną. Cazin jest humanistą w obu znaczeniach tego słowa: jego książkę, wbrew temu co sam pisze żartobliwie w przedmowie, można czytać nie znając greki ani łaciny, bo nawet jeśli się nie rozumie wszystkich aluzji, to przemawia do czytelnika jej głęboka ludzkość.

Nie chcę twierdzić, że jest to cecha modna. Ale może dla czytelnika „nowoczesnego”, wychowanego na Hemingway’u, niemodny jest styl Cazin’a? W każdym razie takie fragmenty, jak przytoczony powyżej (Wiosna czy jesień) lub też to: *Wreszcie czysta stodoła, świeża słoma w obfitości, pompa w stajni, wiadro lodowatej wody na całe ciało, a później odpoczynek na utorze, na trawie i potłuczonych ceglach, między paleniskami różniewącymi w zmierzchu i w łzawiącym dymie, no i wreszcie jeść, jeść, co*

się da, czerpać wino pełnymi kwaterami, z wiader w których zanurza się łokcie i gdzie topią się nocne śmy, takie fragmenty przywodzą na myśl Rilkego, który jakoś wyciągnął szczęśliwy los i jest nadal w modzie.

Jak z przytoczonych cytów widać, przekład Konrada Eberhardta czyta się przyjemnie i swobodnie; nie porównując go z oryginałem zaledwie można łowić tu i tam drobne usterki polszczyzny: „kot zauważył mnie wchodzącego” (str. 133), „już zabierałem się za ser” (str. 78), „I zagrmiał pan z nieba” (w cytacie z Psalmów, a podobno PAX jest wydawnictwem katolickim). Niestosowne wydaje się użycie słowa „szkopy” w książce z pierwszej wojny światowej (już prędzej *Szwaby*). Tłumacz nie zadał sobie trudu przełożenia licznych cytów z Psalmów i z kanonu mszy, cytowanych zgodnie z tradycją francuską po łacinie, i to nawet takich jak *In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum*. W ogóle znajomość klasyków u tłumacza szwankuje, aluzji klasycznych nie rozumie, toteż nieraz je przekręca: Cazin wspomina „Anabazę” i pisze, że „kapral R. idzie tak parasang za parasangiem” (mila perska, Eberhardt tłumaczy „*krók za krókiem*”), imiona klasyczne cytowane są w formie francuskiej: *Cacus* zamiast *Kakus*, *Calipso* (str. 130), *księga Joba* (!), ojciec Ulisesa nazywa się *Laerte*.

Ale prawdziwa katastrofa następuje dopiero, gdy porównać przekład z oryginałem. Błędy znajdują się dosłownie na każdej stronicy, nieraz po dwa, trzy, cztery na stronę. Aby nie być gołosłownym, przytoczę kilkanaście najzabawniejszych nonsensów, wynikających przeważnie z tendencji tłumacza do dosłownego przekładania (jak zawsze, gdy nie zna się dobrze języka): a więc *ma pauvre amie* to raz „moja biedna przyjaciółko”, to znów „moje ty biedne kochanie”, *aventure* (przygoda) to u niego „awantura”, *la bonne sœur* (zakonnica) to „dobra siostra”, *commandant* (major) tłumaczy przez „komendant”, a „majorem” zostaje *major* (lekarz wojskowy). W ogóle z terminologią wojskową jest fatalnie (w książce o wojnie!), *adjudant* (chorąży) to „adiutant”, *gabelle* (mienażka) to jakaś „blaszanka”, *aumônier* (kapelan) to „jalmużnik”, a *prêt* (zółd) to „gotówka”. Te dwa ostatnie przykłady zawdzięczamy zapewne interpretacji etymologicznej, tłumacz słyszał, że *aumône* znaczy „jalmużna”, a *prêt* „gotowy”. Takich nieumyślnych kalamburów jest więcej: „nałożyć warstwę wosku na buty” (zamiast „pasty” — *cirage* bo *cire* to wosk), „baraki z desek” (*barques de planches*) to „baraki z podłogami” (podłoga — *plancher*); „poczułem się nagle zabity (*meurtre*) kawałkiem ziemi” (! zamiast „boleśnie uderzony”, no bo *meurtre* to „zabójstwo”); *ces gouttes abominables* to „jeden z tych obrzydliwych smaków” (pomieszał się *goût* „smak” z *goutte* „kropla”).

Szczególnie często spotykamy dosłowne przekłady nieznanymi tłumaczowi zwrotów: *ce gros pied de rhubarbe* (łodyga) staje się „grubymi nogami rubarbarów”; żołnierze „śpią z zaciśniętymi pięściami” (zamiast „śpią jak susły” — *à poings fermés*); *la retraite aux flambeaux* „odwrot przy pochodniach” (zamiast „defilada”); *tous les deux jours* to „przez dwa dni zrzędu” (zamiast „co dwa dni”).

Tłumacz nie zastanawia się nad sensem i tłumaczy na przykład: „w mojej norze na lwy” (*fosse aux lions* „jaskini lwów”), chociaż w następnym zdaniu mowa o proroku Danielu. Ordynarne przekleństwo *nom de Dieu* tłumaczy „W Imię Boże!”

A oto cały ustęp, który Eberhardt „przełożył” nie rozumiejąc go: „Czy mój pion moralny (*mon moral*) zaczyna się giąć? Cóż się właściwie rozumie

przez „moralność” (*le moral*)? Jest to słowo, które najczęściej uderza naszych ludzi podczas lektury dzienników, ale lękam się wyznać Ci co oni uważają za swoją moralność (*ce qu'ils appellent leur moral*). W prawdziwym sensie tego słowa, „moje” jest jeszcze dobre...” (sic: *Au véritable sens du mot, le mien est encore bon*; cały czas chodzi o *moral* — duch wojska, samopoczucie, a nie o *morale* — moralność).

Ciągłe ma się wrażenie, że tłumacz nie znając słowa, po prostu... zgadywał: *tête de moineau crevé* to „głowa zarżniętego barana” (zamiast „wróbla”), *colis postal* to „kartka pocztowa” (zamiast „paczka”), „błogosławmy naszą drogą, małą mieścinę” (*notre chère, petite bicoque* „naszą chałupkę” a nie żadną mieścinę).

I tak bez końca. Tłumacz ma również trudności z gramatyką, nie rozumie trybu warunkowego, kiepsko też z rodzajnikiem, nie wie nawet, że *à* oznacza *w*, a *u* należy tłumaczyć przez *chez*, gdyż przekłada *à Dieulouard* „u Dieulouarda” przemieniając w ten sposób miejscowość w czło-wieka.

Trzeba przyznać, że pewną winę ponosi też niedbała korekta. Jej chyba zawdzięczamy takie perły, jak „spokojnie” (p. 128) zamiast „pokornie” (*humblement*) i, jakby dla kompensaty, *poikorne* (str. 78) zamiast „po-tworne” (*monstrueux*). Niedopuszczalne jest też, że w kilku miejscach wy-lęciały całe fragmenty, zniekształcając zupełnie sens. Żeby to choć „ocen-zurowane”, ale to ze zwyczajnego niedbalstwa.

Za książkę odpowiedzialne są, obok tłumacza, aż cztery osoby. Dziw-ne, że nie znalazła się wśród nich ani jedna, której by przyszło do głowy rzucić okiem na wartość przekładu. Niewątpliwie dlatego, że — jak podkreśliłem — czyta się on lekko, przyjemnie. Ale przytoczonych przykładów wystarczy, aby przekonać się jakie pojęcie daje nam o oryginale. Uparty tłumacz naszej literatury na francuski zasłużył sam na lepszego tłumacza. Nie jest pewne czy zasłużył nań Instytut Wydawniczy PAX, który nie uważa za rzecz oczywistą, że tłumacz powinien również znać język ory-ginału.

CANDIDUS

W Londynie zatrzymaj się
w Polsko-Szkołkim Hotelu

"STRATHCONA COURT"

(wł. C.C. Szeziakowie).

Restauracja — w pokojach ciepła i zimna woda, radio i telefon. —

198, Cromwell rd. London S.W.5; tel. FREmantle 7878-9
st. kolejki Earls Court — Autobusy 31, 74 —
300 m. od West London Air Terminal.



Listy do Redakcji

Warszawa, 1 marca 1958.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Bardzo mnie wzrusza fakt, że po raz pierwszy zwracam się z listem, który dzięki „Kulturze” przemówi publicznie do innych czytelników niż ci, którzy mnie w Kraju czytają. Czynie to, prosząc Pana Redaktora o opublikowanie w swoim piśmie tych słów.

Mieliśmy tu gościa, wspaniałego pianistę, Witolda Małcużyńskiego, którego tysiące słuchaczy witało i oklaskiwało entuzjastycznie w przepelnionych salach filharmonii — w Warszawie, Krakowie, Katowicach i Poznaniu. Z drugiej strony, wiem, że nasi artyści, żeby wymienić tylko Halinę Czerny-Stefańską, Harasiewiczą, czy zespoły takie jak „Mazowsze”, przyjmowani są serdecznie w różnych krajach przez publiczność, wśród której jest wielu Polaków zamieszkujących te kraje.

Dowiaduję się, że pojawiają się zagranicą głosy, krytykujące przyjazd polskich artystów do Kraju. Mam nadzieję, że ten mój skromny list trafi do kilku przynajmniej spośród tych, którzy takie stanowisko zajmują.

Cieszymy się tu, że przełamana została na kilku przynajmniej odcinkach ta bariera, która odgradzała nas od osiągnięć artystycznych na zachodzie. Wśród tych osiągnięć jasne jest, że kraj nasz interesuje się przede wszystkim tym, co zagranicą napisali, wymalowali, skomponowali, czy tym co wykonują nasi rodacy. Jest to najżywiej odczuwany tu kontakt z tą sztuką, której osiągnięcia wiążą nas z kulturą europejską i światową. Bez tego kontaktu skazani jesteśmy na jednostronne czy domorośle tylko obracanie się w zamkniętym kulturalnym kręgu — żeby nie mówić podwórku.

Przypuszczam, że każdy z tych, którzy krytykują przyjazd Małcużyńskiego do nas, zmieniłby swe zdanie, gdyby mógł zobaczyć czym były te jego koncerty. Opisywać ich nie próbuję, entuzjazmu takiego bowiem nie widuję się. Dla mnie i dla nas, muzyków przebywających tutaj, koncerty te miały specjalnie wielkie artystyczne znaczenie. Mamy nadzieję, że obok zagranicznych wielkich nazwisk, artyści pochodzenia polskiego pójdą w ślady Małcużyńskiego i będą odwiedzać Polskę, zapoznając nas z repertua-rem i stylem wykonawczym, który uprawiają.

Na próbuję uzasadniać dłużej mego stanowiska, tak mi się ono wydaje proste i samo przez się zrozumiałe. Nie próbuję obwijać w polityczne czy artystyczne - kulturalne bawelny faktu, że przyjazdy i kontakty te uważamy tu za wielkie osiągnięcie dla kraju. Osobiście, od 13 lat walczę o takie zrozumienie tych spraw tutaj i jestem przykro zdziwiony, że może za granicą istnieć w tej dziedzinie inna wśród Polaków opinia. Próby czynione TAM, żeby nas TUTAJ odciąć od wszelkich kontaktów artystycznych z Zachodem — do czego właściwie zmierzają, poza pustą i jałową demonstracją polityczną kosztem kraju, w którym żyją miliony Polaków? Nie chcę do tej argumentacji dolewać sentymentalnej wody, ani przeciążać tego listu faktografią, która mogłaby znużyć czytelników „Kultury”.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów mego głębokiego szacunku i poważania

Zygmunt MYCIELSKI

Kraków, 12. II. 1958.

Szanowny Panie Redaktorze !

Marian Pankowski wykorzystuje swoje skromniutkie doświadczenia pisarskie, aby pouczać autentystów, jak mają pisać.

W numerze grudniowym „Kultury” umieścił recenzję z moich „Wierszy wybranych”, które stanowią w pewnym sensie zamknięcie całego mego dorobku pisarskiego z dwudziestu lat. Artykuł jest od początku do końca zbiorem balałutnych wiadomości zarówno o autentyzmie w literaturze jak i o mojej książce. Pankowski nie posiada zielonego pojęcia o tym, jakie są podstawy filozoficzne i estetyczne kierunku, który powstał w kraju z zasługi Czernika i jego współpracowników. Oto co pisze on na temat teorii, która rości sobie prawo zajęcia miejsca w rzędzie najciekawszych współczesnych zjawisk kulturowych:

„To co mogło stać się od biedy tematem wakacyjnego artykułu, rozdmuchali (autentyści) do rozmiarów „ruchu” czy „prądu” literackiego”.

Proszę — rozeznanie znakomite !

A dalej: „...Poetyka autentystów była na wskroś minimalistyczna. Cechowała ją nieufność wobec eksperymentu. Zamiast uczestniczyć w problemach ówczesnego życia literackiego, zamiast odkrywania zalecała odwrót pod skrzydła czystej natury...”

Cytuję, aby podkreślić z całą stanowczością, że tym czym chciałby autentyzm Pankowski widzieć, ów właśnie kierunek nigdy nie był i nie będzie.

Przystępując do omówienia mojej książki niedwuznacznie podsuwa mi Pankowski koncepcje naturalistyczne. Upraszczam, powiada, obraz wsi czyniąc z niej arkadyjski malunek, spostrzeżenia moje „pochodzą z wąskiego i kruchej świata doznań łatwych i powierzchownych”.

Co na to odpowiedzieć? Problem, w którą stronę ma świnia zakręcony ogon, w jaki sposób dokonuje się orki plugiem i jak wygląda dola głodnego chłopca — został już załatwiony dawno w literaturze polskiej, dość wymienić Konopnicką, Kasprzowicę i Orkana, czy choćby Czuchnowskiego, który w początkach pracy literackiej, zanim nie przejął się zasadami autentyzmu, sprzyjał tendencjom naturalistycznym.

Nie powiodło się Pankowskiemu określenie autentyzmu jako poezji ludowej o wsi i tylko o wsi.

Temat wiejski nie jest mi obojętny, ale nie jest on celem ostatecznym ani dla mnie, ani innych autentystów i narzucanie go czytelnikowi w sposób nachalny uważam za bezcelowy. Są sprawy o wiele ważniejsze i tym sprawom autentycy poświęcają wiele miejsca, choćby wspomnieć temat urbanistyczny, problem wojny i sprawy społeczne. Tymczasem co nie podpada Pankowskiemu pod treść wiejskie w pracach moich i innych autentystów to już arkadyjski malunek.

Mało widzi on w moich wierszach wyłącznie ślasy, maliny, bławatki, powoje, wisienki, glicynie, niezliczony szereg „ziołek”, jak on to nazywa, i to płytkie spostrzeżenie prowadzi go do karkołomnej konkluzji o moim rzekomo kwiatowo-warzywniczym poglądzie na świat. Czyżby został porażony lekturą swojej „Smagłej swobody” i to intensywne przeżywanie własnego utworu o ogrodach, sadach i polach do tego stopnia go oszalała i oślepiła, że niezdolny jest zobaczyć u innego pisarza niczego innego poza „ziołkami”, robaczkami i owocami z sadów?

Zasłyszawszy skądś tam o obowiązującej autentystów zasadzie sprawdzania każdego elementu obrazu poetyckiego przez doświadczenie, próbuje Pankowski doczepiać się do moich słów, zarzuca mi bezpodstawnie, że popełniam gaffy.

Zaręczam mu, że wiadomo mi, iż wół jest trzebieńcem, niestety mówi się na wsi bodajże częściej o prowadzeniu krowy „do wołu” niż „do byka”. Nic na tę ludową pruderię nie poradzę. Co się zaś tyczy użytego przeze mnie w wierszu „Ballada” określenia „dzwoni cyna kielni”, to „cyna” została tu wprowadzona jako element światła. Dziecko nawet zrozumieć potrafi, że o cynie — metalu nie może tu być mowy. Na wsi i nie tylko na wsi pewne naczynia wykonane z taniej blachy określa się mianem „cyniaków”, nie dlatego, żeby blacha wykuta była z cyny, ale że świecą jak cyna. Jasne?

Julian Tuwim użył kiedyś w wierszu „Ogrody szpitalne” (w tomie „Czyhanie na Boga”) takiego wyrażenia: „Na drzewach nagich — gniazda samotnych jaskółek”. Cemu to Pankowski nie obśmiewa Tuwima? Gdyby wziąć dosłownie, wypada absurd, nie? Wiadomo przecież, że jaskółki gniazd na drzewach nie lepia. Dla mnie sprawa przedstawia się nie tak prosto. Wyrażenie „gniazdo” użyte zostało przenośnie w znaczeniu „gromadka”. W tym przekonaniu utwierdza mnie wzmianka o drzewach „nagich”. Na nagich, bezlistnych gałęziach nie uwiję gniazda żaden ptak. Ani sroka ani czyż. Wyrazu „gniazdo” stosuje się w znaczeniu „gromadka” dość często na wsi i Tuwim z pewnością dobrze o tym wiedział.

Jeśli recenzent robi z książki, której nie rozumie, mimowolne pośmiewisko, wystawia sobie świadectwo nienajlepsze.

Jan Bolesław OŻÓG

Marzec 1958

Drogi Redaktorze,

Biję się w piersi: do artykułu „Na przystanku” wkraśl się błąd. Na str. 11 wiersze 21-y i 27. Nie Tomasz, ale Tadeusz Iwanowski być powinno. Przepraszam.

A. UZIEMBŁO

Panie Redaktorze,

Paryż, 3 marca 1958.

Byłbym rad, gdyby znalazł Pan w dziale listów do Redakcji miejsce na kilkuwierszowe sprostowanie, jakiego wymaga ogłoszone w nr 3/125 „Kultury” słuszne w treści i niemal doskonale w formie „Na Przystanku” p. Adama Uziembły:

1. Józef Piłsudski nigdy nigdzie nie powiedział jakoby „wysiadł z pociągu partyjnego na przystanku, który nazywa się Niepodległość”. Powiedzenie to wymyślił i puścił w obieg w r. 1919 Adolf Nowaczyński.

2. Józef Piłsudski nigdy nigdzie nie mówił, że „Polska jest skazana na wielkość”. To tylko u Kazimierza Wierzyńskiego — w wierszu „Wyrok Pośmiertny”, w zbiorze „Wolność Tragiczna” — mówi Marszałek: „Skazuję was na wielkość!”...

Takich rzekomych powiedzeń Marszałka krąży sporo. Ograniczam się do wyjaśnienia tych tylko dwóch, dźwięczących w szkicu p. Uziembły niezbędnym dysonansem. Dodam tylko uwagę ogólną, że to chyba Boy-Zeleński pisał u nas kiedyś, jak to pewne zwroty — powiedzenia z kart literatury przechodzą do codziennego życia i jak to z czasem ludzie nie chcą wierzyć, że słynne „świętości nie szargać!” pochodzi z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego a przysłowiowe „Murzyn zrobił swoje” nic wspólnego z Ameryką nie ma, bo pochodzi z „Fiesca” Fr. Schillera.

Zechce Pan Redaktor przyjąć — wraz z podziękowaniem z góry — szczerzy uścisk dłoni.

Wł. Pobóg-MALINOWSKI

London, 3. 3. 1958.

Drogi Panie Redaktorze!

W związku z moim artykułem „Ale nas to obchodzi...”, który ukazał się w „Kulturze” nr 3/125, 1958, byłbym wdzięczny Panu za zamieszczenie następującego wyjaśnienia: Wydrukowana została jedynie pierwsza część artykułu, obejmująca dane o autorze i streszczenie sztuki „Who Cares?”. Pominięte natomiast zostały — bez porozumienia się ze mną — paragrafy, zawierające uwagi krytyczne dotyczące sztuki i jej inscenizacji w sumie jedna trzecia artykułu. Uważam za wskazane przesłać to wyjaśnienie ze względu na to, że artykuł mój — tak jak go napisałem — miał mieć nie tylko charakter informacyjny ale i krytyczny.

Łączę wyrazy szacunku

Bolesław TABORSKI

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2^e Trimestre 1958

ARCYDZIEŁO POLSKIEGO FILMU O POWSTANIU WARSZAWSKIM SIERPIEŃ - WRZESIEŃ 1944

KANAŁ

ILS AIMAIENT LA VIE

Film Andrzeja WAJDY

Wersja oryginalna

NAGRODZONY NA FESTIWALU W CANNES 1957

CINÉMA D'ESSAI - CAUMARTIN

17, rue Caumartin

PARIS (9^e)

OPE. 81-50

STUDIO DES URSULINES

10, rue des Ursulines

PARIS (5^e) ODE. 39-19

Zapowiedź wydawnicza

HOWARD FAST

"KRÓL JEST NAGI"

Howard Fast jeszcze kilka miesięcy temu był komunistą. I był nim przez 13 lat. Był czołowym komunistą amerykańskim i jednym z najbardziej poczytnych pisarzy komunistycznych w świecie. Jego ostatnia komunistyczna książka pt. „Spartacus” — tłumaczona na szereg języków — w Niemczech Wschodnich rozszła się w nakładzie miliona egzemplarzy.

„Król jest nagi” jest pierwszą książką Fasty po nawróceniu. Autor „Spartacusa” nie nawrócił się jednego dnia. Walczył w Ameryce o sprawę komunizmu samotnie — kiedy wszyscy intelektualści już dawno opuścili sztandar z sierpem i młotem. Nawrócenie Fasty opisane w książce pt. „Król jest nagi” to dzieje wewnętrznego przełomu, który odbywał się długo, mozolnie i gruntownie. Jest to jedyna w swoim rodzaju autoanaliza „zniewolonego umysłu” szukającego uczciwej drogi wyjścia z ideologicznej matni XX wieku.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Lekszycka, Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganika, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4	220 fr.	1.100 fr.	2.200 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vatra Trade, 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : « Ostatnie Wiadomości », Mannheim-Schoenau, Lillenthalstr. 301; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziwanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

TOM XXVIII BIBLIOTEKI " KULTURY "

**Nagroda Literacka
" Kultury "**

MAREK HŁASKO

CMENTARZE



NASTĘPNY DO RAJU

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

Cena egzemplarza : 800 franków (2 dol., 15 sh.)